

POMIERANIA[®]

LISTOPAD 1993

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Nr 247 **11**



K O N K U R S F O T O G R A F I C Z N Y

KASZUBY • ZIEMIA I LUDZIE

REGIONY - ZA I PRZECIW

ZRZESZENIE KASZUBSKO-POMORSKIE - DOKĄD ZMIERZAMY?

KASZUBSKI ASTRONOM

WŁASNĄ DROGĄ

Trzeba się pogodzić z tym, że życie jest nieuleczalną chorobą, skoro ludzie zapominają o cności, jaką jest umiar. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie słusznie postrzegano jako organizację niezależną od partii politycznych i nurtów ideologicznych. Nie działało ono bez mała 40 lat w próżni społecznej, bo przybywało mu członków, których jednoczyła umiarkowana opozycyjność wspierana własną ideologią opierającą się na mniej lub bardziej kamuflowanej krajowości, spełniającej się jakby wstępnie w samoorganizacji i samorządności. Było organizacją neutralną światopoglądowo, czyli łączyło wszystkich, którym przyświecała myśl odrodzenia samorządnego Pomorza, na którym będzie można organizować życie publiczne oparte na tych wartościach, które legły u podstaw ruchu kaszubsko-pomorskiego, a które zachowały swoją aktualność bądź wymagały tylko modyfikacji zgodnie z wymogami przeżywanego czasu.

Piszę w czasie przeszłym, co nie znaczy, że w czasie dokonanym. Trzeba sobie jednak powiedzieć gorzką prawdę, że Zrzeszenie nie jest już tą organizacją, o jakiej myślał Lech Bądkowski i wcale małe grono działaczy niegdyś w niej zaangażowanych. Oni liczyli na młodych, że lepiej ją poprowadzą w kraju wolnego słowa i odzyskanej suwerenności politycznej, że wniosą do niej ducha nowoczesnego regionalizmu politycznego, łączącego śmieiej wielość w jedność.

Dusza chce do nieba, a świadomość i ciało kurczowo trzymają się ziemi. To dobrze, że trzymamy się ziemi, ale czy trzymamy się jej mądrze?

Każdy członek Zrzeszenia posiada własną opcję polityczną i tak być powinno, bo próżnia społeczna w życiu dla osobowości człowieka jest zabójcza. Wielu należy do rozmaitych partii politycznych, zgodnie z własnymi przekonaniami. I to też jest uzasadnione, ale czy właściwie rozumiane w Zrzeszeniu? Jestem pełen niepokoju, że Zrzeszenie może zaprzepaścić to, co było jego siłą, mianowicie jednocześnie na równych prawach wszystkich opcji politycznych i ideologicznych we własnym interesie.

Wybory do parlamentu zachwiały równowagę polityczną Zrzeszenia. Przynajmniej zewnętrznie wyglądało to tak, jakby nasza organizacja straciła swoją busolę i zdecydowanie odchyliła się na prawo. Dokumenty Zrzeszenia w zasadzie tego nie potwierdzają, ale potwierdza to praktyka. Twierdzę uparcie, że rozdrobniona, skłócona i nawiedzona prawica nie ma w Polsce szans politycznych, chyba że powstanie w miarę jednolita prawicowa partia narodowo-demokratyczna. Lewica natomiast (niesłusznie utożsamiana z komunizmem) po różnych zachwianiach parlamentar-no-rządowych może się ustabilizować jako siła sprawcza budowy Polski normalnej. Co z tego wynika?

Zrzeszenie powinno popierać każdego w każdej sytuacji, kto sprzyja szeroko rozumianemu dobru Pomorza, kto chce i umie dla niego pracować. W tym przypadku przynależność partyjna czy opcja polityczna nie powinny mieć żadnego znaczenia. Każdy poseł i senator z Pomorza musi mieć poparcie Zrzeszenia. Współpracować trzeba z każdym, nawet z diabłem, jeśli dysponuje on pozytywną mocą sprawczą. Lansowanie zaś selekcjonowanych opcji zabija przewodnią myśl Zrzeszenia, że umiejscawia się ono ponad partiami i realizuje własne cele ideologiczne, które wypływają z krajowości.

Dzisiaj, kiedy większość partii znajduje się w rozsypce, bo okazały się efemerydami odgórnie zakładanymi bez przyszłościowych programów politycznych i gospodarczych, osadzonymi w przeszłości i etosach, które są już tylko zapisem w historii, potrzebny jest jak nigdy przedtem przejrzysty program Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Program na dziś i jutro, w którym Kaszubszczyzna będzie tylko jednym, może najważniejszym elementem, ale w partnerskim układzie z wszystkimi innymi grupami regionalnymi Pomorza. Celem tego programu powinno być budowanie samorządnej dzielnic pomorskiej z priorytetem administracyjno-gospodarczym i społecznym, a nie ludowo-językowym.

Nie lecewać kultury, tradycji czy przestań ideowych naszych poprzedników w uprawie Pomorza, ale niech to wszystko selekcjonuje i wartościuje historiografia. My mamy tworzyć nowe, mamy sprostać czasowi przeżywanemu i budować drogowskazy pokoleniom, które będą od nas, miejmy nadzieję, mądrzejsze i bardziej sprawne w pracy społecznej.

Uważam, że Zrzeszenie jest zdolne do ideowego i społecznego zrywu pod warunkiem, że ktoś z odważnych powie wyraźnie, co uważa w organizacji za twórcze, a co za balast i nawet pospolitą głupotę. Co jest społecznym myśleniem, a co partykularzem osadzonym w prywacie. Jeśli społeczne myślenie okaże się przeważające, to warto dalej się trudzić z lepszymi i trwalszymi skutkami.

Tadeusz Bohdan

POMIERANIA

Nr 11 (247) Rok zał. 1963

LISTOPADNIK 1993

Tadeusz Bolduan		Własną drogą. <i>Na gorąco</i>
Tadeusz Bolduan	2	Szanse realizacji pomorskiej myśli politycznej
Stanisław Janke	7	Wokół regionalizmu
Stanisław Pestka	8	Pokolenie
Stanisław Janke	10	Dom pod gwiazdami
Jan Drzeżdżon	12	W Bukach (2). Białczeno
Eugeniusz Gołąbk	13	Kwiótczi i klósczi
Jan Lipuski	14	Poeta, który chciał być wichrem
Jan Rompski	16	Moja zemia, Skra Ormuzdowa
Ellen von Platen	17	Gdańsk
Grzegorz Berent	20	Uniwersytet żydowski w Wolnym Mieście Gdańsku
Jerzy Kiedrowski	22	Piaśnica
Jerzy Szukalski	24	Nad jeziorami potęgowskimi. <i>Najpiękniejsze krajobrazy Kaszub</i>
Izabella Trojanowska	26	Kamienica Szlachecka. Kielno. Kczewo. Wierzchucino. <i>Z podaniem i legendą na kaszubskich szlakach (6)</i>
Marian Fryda	28	Człuchowska Rada Ludowa
Stanisław Pestka	30	Spór o drogę
Alfred Majewicz	31	Kaszujska Biblia
Jerzy Treder	32	O słowniczku i uwagach, o wymowie i pisowni w tłumaczeniu Ewangelii ks. F. Gruczy
Jerzy Szukalski	32	250 rocznica powstania Towarzystwa Przyrodniczego w Gdańsku
Roman Klim	33	Wieża dla turystów
Izabela Pryczek	34	Polszczyzna regionalna Pomorza
Tadeusz Sadkowski	35	Czysta Wda
Tadeusz Linkner	36	Ku antologii kaszubskiego humoru
Maria Pająkowska	37	Metafory jak snopy iskier
Stanisław Mikos	38	Dziennik oficera
Ewa Rogowska	39	Blżej regionu i ucznia
Stanisław Janke	40	Madonna z kościerskich pól
	41	Listy
	42	Klëka
(Kow.)	44	Informacje regionalne
K.O.	46	Sztum. <i>Herby miast pomorskich</i>

Na okładce: „Wodociąg” - praca wyróżniona w konkursie „Kaszuby • ziemia i ludzie”. Fot. S. Kaniewski



REDAKCJA: Stanisław Janke, Stanisław Pestka (redaktor naczelny), Bożena Ptak, Krystyna Puzdrowska (sekretarz redakcji), Arkadiusz Stanisławski (opracowanie graficzne). Korekta: Maria Szrajber.
KOLEGIUM: Eugeniusz Gołąbk, Jerzy Kiedrowski, Kazimierz Ostrowski, Maria Pająkowska, Wiktor Pepliński, Jerzy Samp, Brunon Synak, Edmund Szczesiak.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów oraz zmiany tytułów.
Druk: Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Prasowe, Drukarnia w Gdańsku

WYDAWCA
Zarząd Główny
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
ADRES REDAKCJI
Straganiarska 20-23, 80-837 Gdańsk
tel. 31-90-16
KONTO
BG IV Oddz. Gdańsk 301817-664390-132

W prawie 150-letnich dziejach ruchu kaszubsko-pomorskiego Lech Bądkowski był pierwszym, który podjął próbę sformułowania pomorskiej myśli politycznej, jako podstawy i celu pracy regionalnej Pomorzan na Pomorzu, dla siebie i całej Polski w niepodległym państwie. Odczuwał potrzebę posiadania programu politycznego w pracy regionalnej, w którą się włączył, ale nie widział nikogo, kto chciałby i mógłby taki program opracować. W Toruniu, gdzie się urodził i spędził młodość, spotkał tylko jednego człowieka wielkiego formatu politycznego, którym był czołowy działacz Narodowej Demokracji, mec. Paweł Ossowski. Innym Pomorzan o wysokich walorach intelektualnych i zdolnościach politycznych nie dostrzegł.

W gimnazjum klasycznym Bądkowski zainteresował się historią polityczną Pomorza i ruchem kaszubsko-pomorskim. Skonstatował wtedy, pod koniec lat trzydziestych, że zaniedbywana przez Polskę Pomorze jest dzielnicą historycznie ukształtowaną między Wisłą i Odrą, skazaną na własne siły, które zdołały obronić jej polski, bądź słowiański charakter, ale zarazem - wskutek naporu niemieckiego i izolacji od Polski - wyodrębnioną kulturowo, szczególnie w części nadwiślańskiej.

Pomorze Nadwiślańskie do schyłku XIII wieku, a Pomorze Zachodnie do połowy XVII wieku były samodzielnymi strukturami państwowo-politycznymi. Po rozpadnięciu się tych struktur nastąpiło „obumarcie myśli i tradycji politycznej” Pomorza (L. Bądkowski „Pomorska myśl polityczna, Londyn 1945) co jednak nie znaczy, że zanikła ona zupełnie. „Istniała ona zawsze - pisał Bądkowski pod koniec drugiej wojny światowej w Londynie - i temu faktowi przypisać należy najzupełniej - zdawałoby się - nieoczekiwany jej renesans i rozkwit w połowie XIX wieku („Pomorska myśl...”).

Bądkowski tworzył pomorską myśl polityczną w specyficznych warunkach w Szkocji i Londynie, jako młody żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Nie mógł wtedy znać, znajdującego się w rękopisie, ważnego dla konstruowania programów politycznych odczytu Jana Karnowskiego „Refleksja nad ideologią pomorską”, wygłoszonego 2 maja 1922 roku na walnym zebraniu Bractwa

SZANSE REALIZACJI POMORSKIEJ MYŚLI POLITYCZNEJ

Pomorskiego w Toruniu. (Zapoznał się z rękopisem dopiero w 1950 r.). A jednak między wykładem Karnowskiego a publicystyką Bądkowskiego powstała w Wielkiej Brytanii, zachodzą zbieżności globalne, rozbieżne są natomiast konkluzje. Obaj są niekonsekwentni w szukaniu korzeni współczesnej ideologii ruchu kaszubsko-pomorskiego w państwowości pomorskiej; Karnowski odnajduje je na Pomorzu Nadwiślańskim, a Bądkowski na całym Pomorzu, od Odry poza Wisłę.

Karnowski pisze: „Nie kordony stworzyły szczepową i psychiczną różnicę, która cechuje Pomorzan w porównaniu do innych szczepów polskich, lecz pochodzenie i historia, bo nawet wobec Wielkopolan się różnimy”. Obaj są zgodni w tym, że począwszy od Władysława Łokietka Polska nieprzerwanie prowadziła na Pomorzu politykę kolonizacyjną, odsuwając tubylców od stanowisk w życiu publicznym, co wpływało na wewnętrzne zamykanie się Pomorzan i wzmacnianie w sobie poczucia odrębności etnicznej. W tym przypadku nie są dalecy od prawdy, bo nic bardziej nie integruje społeczeństwa, jak równoprawność i wzajemne poszanowanie.

Autor „Refleksji nad ideologią pomorską” odróżnia myśl państwową Pomorza, wpisaną do tradycji Pomorza Nadwiślańskiego, od ideologii ruchu kaszubsko-pomorskiego w rozumieniu doktryny, czyli programu pracy regionalnej, której początek jednoosobowo dał Florian Ceynowa w połowie XIX wieku. Zaprzeczając własnym, nieco wcześniej wypowiedzianym słowom, słusznie spostrzega, że „Okres porozbiorowy jest ... dla zrozumienia chwili obecnej może najważniejszy, gdyż on stworzył podstawy dla dzisiejszej psychiki pomorskiej”. W ruchu narodowym na Pomorzu różniła dwa kierunki: chełmiński (u Bądkowskiego wielkopolski) i kaszubski Ceynowy, które od 1908 roku starał się rzekomo łagodnie łączyć „Gryf” Aleksandra Majkowskiego, a od 1912 roku również Towarzystwo Młodokaszubów, typowo inteligentkie i nieliczne.

Kierunek chełmiński - w ruchu kaszubskim, w kwestii narodowej podwie-

szano pod ten kierunek stanowisko połono-kaszubskie - stawiał na unifikację Pomorza bez uwzględnienia jego właściwości kulturowych, natomiast kierunek kaszubski Ceynowy, a następnie kaszubsko-pomorski, zapoczątkowany przez Młodokaszubów „postawił nowy program kulturalny dla Pomorza, a przede wszystkim

dla Kaszub, opierając rozwój kultury i narodowości polskiej na rodzimych pierwiastkach”. Dalej Karnowski jednoznacznie stwierdza, że dniem chrztu narodowego dla Kaszubów był Kulturkampf: „Przez Kulturkampf i późniejszą politykę antypolską doszli przede wszystkim południowi Kaszubi do świadomości, że należą do narodowości polskiej”. To spowodowało, że „Pomorze zdołało odbudować narodowość polską o własnych siłach, ale własnej ideologii nie wytworzyło”.

Dlaczego? Zdaniem Karnowskiego „Ekspansja narodowa na Pomorzu nie stała się siłą inteligencji... lecz siłą tak zwanych hegemonów ludu”, a ci nie byli zdolni ani skłonni do ideologicznego teoretyzowania. To tylko częściowo prawda, bo w drugiej połowie XIX wieku życiem narodowym na Pomorzu kierowała bez wątpienia inteligencja, w tym rodzima, która z czasem tworzyła również trzon ruchu kaszubsko-pomorskiego. Hegemoni ludu wybiórczo czerpali z jej wskazówek. Nie podlega dyskusji, że Aleksander Majkowski na łamach „Gryfa” wypracował konkretny program ideowy na czas niewoli, polegający na przeciwdziałaniu germanizacji, rozwijaniu wśród Pomorzan świadomości narodowej polskiej przez swojszczyznę, własną kulturę i dumę szczepową, w myśl sformułowanego przez siebie hasła: „co kaszubskie, to polskie”.

W swoich wspomnieniach Karnowski przyznał, że wykład o ideologii pomorskiej świadczył o jego ówczesnym, po odzyskaniu niepodległości, nastawieniu psychicznym („Moja droga kaszubska”, Gdańsk 1981), czyli poddał się emocjom, chociaż nie przyćmiły one realistycznego myślenia, któremu dał wyraz we wnioskach wypływających z referatu:

1. „Podnoszenie pomorskiej koncepcji politycznej, chociaż objętej ramami ogólnej państwowości polskiej, byłoby dzisiaj wobec dokonanych faktów anachronizmem. Jednakowoż winno być poczucie szczepowości pomorskiej dalej utrzymane i pielęgnowane i to tak długo, aż naturalny proces asymilacyjny ogólnopolski pod względem cywilizacyjnym i społecznym będzie dokonany”. Pań-

stwowość polska nie jest spoista; do świadomości obywateli doszła jedynie potrzeba posiadania państwowości, zatem „stanowi szczepowość rezerwuuar sił, który w krytycznych chwilach cudów dokonać może i może być źródłem regeneracji”.

2. „W stosunku do innych dzielnic uchodzi Pomorze za kraj uspołeczniony i stosunkowo wysoce cywilizowany, ale z punktu widzenia kultury polskiej za duchowego żebraka”. Pomorze ma jednak wszystkie warunki, by tworzyć „dobroek własny dla kultury polskiej. Jedynie wtenczas przestaniemy być helotami i słusznie nosić będziemy nazwę Pomorzan”.

3. Unifikacja Pomorza polega na tym, że Pomorzan przenosi się na kresy wschodnie, dziewięć dziesiątych urzędników pochodzi spoza Pomorza. Jeśli to dzieło zostanie rzeczywiście przeprowadzone, wówczas wyrośnie przepaść między Pomorzanami a ludźmi z innych dzielnic Polski.

4. Żadnej dzielnicy tak nerwowo nie oświeca się, jak Pomorza. Rezultatem jest apatia oświatowa. Młody Pomorzanin powinien poznawać w szkole i poza nią rzeczy własne pomorskie, ogólnopolskie i ogólnoludzkie.

5. W sztuce Pomorze posiada swoje monumentalne piętno, ale nie wytworzyło własnej pomorskiej szkoły, np. w malarstwie. W życiu kulturalnym dominować będzie ruch amatorski.

Zastanawiające jest, że Jan Karnowski pod koniec zaboru pruskiego i w latach międzywojennych, a Lech Bądkowski podczas drugiej wojny światowej w Wielkiej Brytanii, dla uzasadnienia istnienia pomorskiej myśli politycznej szukali bardziej tego, co dzieli Pomorzan od reszty Polaków niż tego, co ich łączy, poza oczywistą dla nich wspólnotą narodową i państwową. Nie bez powodu zresztą, skoro znali doświadczenia Pomorzan, szczególnie po pierwszej wojnie światowej, gdy za ponurym słowem „unifikacja” kryła się dyskryminacja połączona z urągającymi dumie Pomorzan pomówieniami („Moja droga...”). Karnowski opowiadał się za rozwijaniem oświaty i kultury na rodzimym podłożu kulturowym, Bądkowski kładł większy, nawet zdecydowany nacisk na krajość, czyli samorządną dzielnicę pomorską; miało być w niej miejsce dla wszystkich, którzy wspólnie z Pomorzanami chcieliby pracować dla Pomorza. O ile Karnowski był ideologiem postulującym cele ruchu kaszubsko-pomorskiego i uzasadniającym sens pracy dla Pomorza, o tyle Bądkowski wystąpił - w zupełnie odmiennych warunkach politycznych - jako ideolog i polityk, nawet bardziej jako polityk proponujący efektywną działalność społeczną na Pomorzu po zakończeniu wojny.

Lech Bądkowski nie ukrywał, że w odrodzonej Polsce zamierza się włą-

czyć w nurt życia politycznego, był przekonany, że odegra w nim odpowiednią rolę i dlatego postanowił w sposób zorganizowany kontynuować działalność ruchu kaszubsko-pomorskiego w Wielkiej Brytanii. Jesienią 1940 roku skupił wokół siebie grupę Pomorzan z myślą o powołaniu jednej organizacji pomorskiej. Nie było to łatwe, gdyż na emigracji nie brakowało przeciwników regionalizmu pomorskiego, zrzeszonych głównie w Polskim Klubie Ziemi Zachodnich. Obawiali się oni postulowania zbyt daleko idących rewindykacji ziem pomorskich. Jeden z aktywnych działaczy, Bernard Kierzkowski pisał, że Pomorzanie natrafiali w swej pracy organizacyjnej na ogromne trudności „powodowane brakiem zrozumienia dla spraw pomorskich u władz emigracyjnych oraz wrogim ich stosunkiem do pomorskich żądań rewindykacyjnych (B. Kierzkowski „Krótki zarys działalności Ruchu Pomorskiego w wielkiej Brytanii 1940.-1945”. Maszynopis). Dwie grupy Pomorzan w Szkocji - Lecha Bądkowskiego i Bogdana Grzelachowskiego - połączyły się pod koniec 1941 roku, tworząc Ruch Pomorski. W następnym roku opracowano „Wytyczne programowe Ruchu Pomorskiego”, w których uznano potrzebę powołania Związku Pomorskiego. Przygotowano jego program i statut. Wskutek destruktywnej działalności członków Klubu Polskich Ziemi Zachodnich, do założenia Związku Pomorskiego doszło dopiero 10 marca 1945 roku w Londynie.

Zakładając w 1940 roku nieformalną grupę pomorską Bądkowski miał dopiero 20 lat, reprezentował więc najmłodszemu pokoleniu Pomorzan w siłach zbrojnych na Zachodzie. Jego zabiegi organizacyjne szły w parze z programowaniem pracy regionalnej na Pomorzu. Do programu ideowo-politycznego dochodził stopniowo. W 1941 roku zamierzał wydać w Wielkiej Brytanii monografię pomorską, o której tylko tyle wiemy, że napisał do niej szkic „Charakterystyka Pomorzan”, opublikowany po raz pierwszy dopiero w 1990 roku (L. Bądkowski „Wizerunek pomorskiej duszy” [tytuł od redakcji], „Dziennik Bałtycki” 1990, nr 185; zob też: „Charakterystyka Pomorzan” (w:) „Pomorska myśl polityczna”, wyd. 2, 1990).

W tym dojrzałym tekście Bądkowski przeanalizował skomplikowany charakter Pomorzan określający ich inność psychiczną, uformowaną w izolacji od Polski. Nie ukrywał, że Pomorzanie na ogół są „odintelektualizowani”, stąd brakuje im elit politycznych i wykształconych humanistów. Szczególnie Kaszubi, nastawieni na ostrożne odtwarzanie, nie stanowili elementu twórczego. Ich ważny w życiu codziennym pragmatyzm utrudniał programowanie pracy regionalnej o znaczeniu ponadpartularnym. Wady i zalety charakterologiczne Pomorzan Bądkowski próbował równowa-

żyć, co w konsekwencji wpłynęło na słabość jego teorii, oderwanej od autentycznego stanu pomorskich umysłów.

W artykule „Całe Pomorze” (w:) „Myśl Polska, Londyn 15.7.1943) Bądkowski już wyraźnie zarysował program ruchu wielkopomorskiego, wychodząc z założenia, że Pomorze jest jedno pod względem historycznym, geograficznym i etnicznym od Strzałowa aż poza Gdańsk na wschodzie i warunkuje istnienie i rozwój Polski. Podstawą wielkopomorskiej ideologii Bądkowskiego było założenie, że „Niemcy nie potrafili zabić świadomości, czy chociaż podświadomości plemiennej Pomorzan [...] pod grubą warstwą germanizacji lud pomorski przetrwał do tej pory” na Pomorzu Zachodnim. Zauważył optymistycznie, że po ponad sześciu wiekach germanizacji „Idzie wielka fala powrotna. Pomorze budzi się”. Jako jeden z celów wojny widział połączenie całego Pomorza z Polską. W jego zachodniej części, po usunięciu niemieckiego elementu napływowego i niemieckiej biurokracji czeka samych Pomorzan żmudna praca reslawizacyjna. Wszystkie działania nad odrodzeniem Pomorza trzeba będzie prowadzić „mózgiem i sercem”.

Kluczowym dokumentem programowym Bądkowskiego jest jego praca publicystyczna „Pomorska myśl polityczna”, napisana pod silnym wpływem dorobku programowego Floriana Ceynowy i Aleksandra Majkowskiego, interpretowanego na użytek własnej koncepcji politycznej powojennego ruchu wielkopomorskiego bądź kaszubsko-pomorskiego. Autor wymienne posługuje się terminami: „pomorska myśl polityczna” i „pomorska szkoła polityczna”, która jest „owocem dzielnicowej myśli politycznej, kształtującej się na długiej przestrzeni wieków”. Przyjmuje stanowisko odmienne od publicystów zajmujących się Pomorzem i przyszłymi ziemiami zachodnimi Polski, którzy pisali w tym czasie w Wielkiej Brytanii o myśli polskiej na Pomorzu (M. Jesko „Sto pięćdziesiąt lat myśli polskiej na Pomorzu”, Londyn 1945) bądź o polityce polskiej wobec Pomorza (A. Błoński „Wracamy nad Odrę”, Londyn 1942). Szczególnie praca Antoniego Błońskiego zaniepokoiła Bądkowskiego pewną arogancją i niezręcznością stosunków ludnościowych na Pomorzu. Błoński m.in. pisał: „Obserwowaliśmy w ostatnim dwudziestolecu niezwykle szybki proces repolonizacji Pomorza, Wielkopolski i części przyłączonego Śląska”.

Bądkowski obawiał się, że obwieszczenia powojenna repolonizacja będzie powtórką z nieodległej przeszłości, zaszczepiającą się na unifikacji Pomorza. Dlatego objaśniał, czym jest pomorska szkoła polityczna: „pod polityką pomorską rozumiemy politykę prowadzoną przez książąt Pomorza Nadodrzańskiego i Nadwiślańskiego, w pewnych okresach

mniej, w innych więcej niezależnych. Jej ostatki przypadają na pierwszą połowę XVII wieku. Zapadają dwa wieki głuchego milczenia, poczem w połowie XIX wieku w ciężkich bólach powstaje pomorska szkoła polityczna, która jednak - pomimo początkowych prób - nie reprezentuje już odrębnej w stosunku do Polski osobowości narodowo-politycznej, ale stanowi organiczny człon polskiej wspólnoty" („Pomorska myśl...”).

Rozważania Bądkowskiego wychodzą z błędnego założenia, że w okresach samodzielnosci państwowej jedno i drugie Pomorze wytworzyło wspólny naród pomorski. Pojęcie narodu jest znacznie późniejsze i nie powinno się go utożsamiać ze świadomością - użyjmy tutaj etnonimu - plemienną albo przynależenia do obszaru dzielnicowego, a także państwowego ówczesnych elit miejscowych. Można więc mówić jedynie o odrębnej państwowości, w przypadku Pomorza Nadwiślańskiego przejściowej w okresie rozbicia dzielnicowego, w przypadku Pomorza Zachodniego konsekwentnie przyswajanej niemieckiej przez biurokrację rodzimą i napływową. W konstruowaniu ideologii pomorskiej ciągłość historyczna jest dla Bądkowskiego niezmiernie ważna, skoro ciągle do niej wraca:

„Wracając do pomorsko-politycznych myśli przewodnich widzimy, że mają one swoje uzasadnienie, wyciągnięte z nauki wieków oraz swoją nowożytną historię, która ... ciągnie się niemal sto lat, zaś głębokimi korzeniami sięga zapadłych dziejów Zachodniej Słowiańszczyzny" („Pomorska myśl...”).

Pomostem między historią dawną a nowożytną jest dla Bądkowskiego historiografia pomorska, przede wszystkim XVI-wieczna „Pomerania” Tomasza Kantzowa, napisana w języku dolnoniemieckim. Słusznie zauważył Bądkowski, że język nie stanowi o narodowości, ważne, że duch tego dzieła i świadomość autora są pomorskie, słowiańskie. W przekonaniu Bądkowskiego „Kantzowie, że nie jest Niemcem, ale że jest Pomorzaninem i Słowianinem, a wypowiada to jednym tchem, ustanawiając tym samym jedną z zasad pomorskiej myśli politycznej, zrodzoną w najpierwszej linii walki z niemiecką” („Pomorska myśl...”).

Można co najmniej powątpiewać w założenie, że historiografia może być łącznikiem między państwowością pomorską a społecznym ruchem kaszubsko-pomorskim, spełniającym się politycznie - pod zaborem pruskim z konieczności był on obozem społeczno-narodowym - w dziedzinie przede wszystkim kulturalno-oświatowej i obyczajowej, szeroko przekraczającej granice folkloru.

Kantzow miał świadomość swojego rodowodu pomorskiego, z którego był nostalgicznie dumny, ale był na tyle zgermanizowany, że czuł się Niemcem po-

morskim. Istotne jest to, że Bądkowski - na podstawie lektury „Pomeranii” - doszedł do wniosku, iż jedną z zasad pomorskiej myśli politycznej jest walka z niemiecką. Natomiast do retoryki należy zaliczyć opinię, że „geniusz plemienia pomorskiego raz obudzony w łonie jego kaszubskiego szczątku znalazł tak niezbędny sukurs w «niemieckich» historykach Pomorza” („Pomorska myśl...”).

Omawiając dzieje ruchu narodowego na Pomorzu, a szczególnie kaszubskiego od połowy XIX wieku, Bądkowski wybiórczo precyzuje jego wątki ideologiczne. Można je odczytać w ten sposób, że historia Pomorza, zwłaszcza Nadwiślańskiego, jest posłaniem dla Kaszubów, żeby byli sobie wierni, to znaczy - żeby obudzili się z martwoty społecznej i świadomościowej, uwierzyli w swoją wartość jako szczepu pomorskiego plemienia, który ma długą tradycję trwania dzięki zakorzenieniu, na co wskazuje właśnie historia. Powinni więc być dumni z siebie, uwierzyć w swoją wartość obywatelską, bo to oni są gwarantem zachowania dla Polski słowiańskiej substancji ludnościowej nad Bałtykiem. W sumie jest to proste powielenie rozwinętego przez Majkowskiego programu Ceynowy.

Ruch kaszubsko-pomorski w ideowych przesłankach wyznaczał dwie płaszczyzny działania: wskrzeszanie i rozwijanie świadomości etnicznej równoległe z nadrzędną świadomością narodową, której jednak nie wolno kwalifikować na zasadzie: lepsza - gorsza, lecz w kategoriach inności, schodzącej się na szczycie spraw wielkich, ważnych dla całego narodu. W tę świadomość etyczną albo regionalną wpisana jest samorodna twórczość, psychika, doświadczenie sąsiedowania z Niemcami i wszystkie godne zachowania odrębności kulturowe. Drugą płaszczyzną działania jest wyprowadzanie wniosków z sąsiedztwa z Niemcami. Miało ono dobre i złe strony. Dobre, bo pod wpływem niemieckich sąsiadów pozwalało „cywilizować się” w pracy, zmuszało do rywalizacji gospodarczej i poznawania prawa, do oświecania się na szczeblu podstawowym. Złe, bo w defensywnym opieraniu się germanizacji zużywano, z konieczności nadmiernie, siły vitalne, co osłabiało ważny proces uświadamiania sobie etnicznej i narodowej odmienności oraz utrzymywało pasywny charakter Pomorzan. Te rozważania Bądkowskiego, wchodzące w skład jego ideologii pomorskiej, są w dużej mierze oryginalne i zachowały aktualność, bo wpisywały się w konkretne doświadczenia Pomorzan.

Uznając Ceynowę i Majkowskiego za głównych ideologów i polityków pomorskiego odrodzenia, Bądkowski właściwie odczytuje ich ważny program polegający na tym, że „przyszłość i rozwój Polski na Bałtyku leży i że jednym z głównych za-

dań Polski jest odzyskanie tego, co w ciągu dziejowej ucieczki od zachodu wydała na łup germanizacji, że dalej głównym wrogiem Polski i całej Słowiańszczyzny są Niemcy i że wszystkie kraje słowiańskie winny się łączyć w walce z nimi. Te zasadnicze myśli przewodnie charakteryzują pomorską szkołę polityczną” („Pomorska myśl...”).

Bądkowski zdaje się być zanedo zafascynowany Ceynową, któremu - w przypadku koncepcji wielkopomorskiej - przypisywał zasługi raczej Młodokaszubów i może nade wszystko ruchu kaszubskiego w okresie międzywojennym, który tzw. ofensywę na zachodnie Pomorze naiwnie wpisywał w swoje programy. Utożsamianie jednak zachodnich Pomorzan z państwem i narodem polskim było wyraźnie życzeniowym aspektem rozważań Bądkowskiego, wynikającym z potrzeby politycznego zaangażowania się na rzecz całego Pomorza w niepodległej Polsce.

Celem ruchu pomorskiego w Wielkiej Brytanii, jako kontynuacji ruchu kaszubsko-pomorskiego w kraju, z uwzględnieniem całej jego tradycji, było uzmysłowienie elitom politycznym, że:

1. Pomorze jest jedno i niepodzielne od Strzałowa po Elbląg i od Bałtyku po Drwęcę, Noteć i Wartę.

2. Dwujęzyczne plemię pomorskie jest organicznie związane z narodem i państwem polskim.

3. Ponieważ ekspansja niemiecka w stuleciach kierowała się głównie przeciw Pomorzu, zatem niezbędnym warunkiem bezpieczeństwa i rozwoju Pomorza jest zniszczenie siły zaborczej Niemiec i usunięcie śladów niemieczyny z wszystkich dziedzin życia.

4. W interesie Pomorza leży powrót dorzecza Odry do Polski.

5. Interesy narodów słowiańskich są wspólne i dlatego nakazem przyszłości jest jednocześnie się Słowiańszczyzną („Pomorska myśl...”).

Rozważania Bądkowskiego generalnie sprowadzają się do odbudowy całego Pomorza po klęsce Niemiec oraz zabezpieczenia jego składu etnicznego w państwie polskim. Równocześnie zauważył on, że koncepcja szkoły pomorskiej jest funkcją ruchu regionalnego, jego filozofią, ale zarazem służy całemu narodowi polskiemu i nawet prawdziwej słowiańskości. Zaraz dalej zreasumował całość swoich rozważań w sposób zaskakujący, chociaż konsekwentny: „Uzasadnienie zjawiska tego (koncepcji szkoły pomorskiej - T. B.) leży znowu w historii Pomorza, którego niewyżyte niegdyś ambicje państwowotwórcze wyłaniają się dziś po wiekach i to - ku słusznej jego dumie - nie w formie partykularyzmu lat minionych, ale w duchu ogólnoludzkich tendencji rozwojowych” („Pomorska myśl...”).

Ubieranie ideologii w kostium dość dowolnie postrzeganej historii miało uzasa-

dniać myśl polityczną jako koncepcję racjonalnej i efektywnej działalności społecznej, zmierzającej do wprowadzenia na Pomorzu ustroju krajowego.

Przyjmując, że „Pomorska myśl polityczna” Bądkowskiego była dla środowiska pomorskiego na obczyźnie dokumentem legitymującym działalność społeczno-polityczną na rzecz Pomorza, a następnie - łudzono się - organizowanie życia na Pomorzu w ramach autonomii samorządowej, nie sposób jej rozpatrywać w oderwaniu od napisanego w kwietniu 1946 roku w Londynie, ale z powodów politycznych nie opublikowanego artykułu „O krajowości” (pierwotny druk: „Dziennik Bałtycki”, 1990, nr 173; zob. też: „Pomorska myśl polityczna”, wyd. 2, 1990). Artykuł ten objaśnia bardziej konkretnie intencje Bądkowskiego uwolnione od historycznych dywagacji o ciągłości pomorskiej myśli politycznej od średniowiecza. Bądkowski jest przeciwnikiem systemu partyjnego, który proponuje zastąpić udziałem mas ludowych w służbie dla państwa w ramach samorządów terytorialnych i branżowych. Jego krajowość, to nic innego, jak samorząd krajowy, stojący „na stanowisku jednolitości dyspozytywnej państwa”. Jest on bardziej demokratyczny niż system wielopartyjny i przyczyni się do rozbięcia centralnej biurokracji.

Zastąpienie systemu wielopartyjnego samorządem krajowym było założeniem nierzeczywistym, z czego autor „O krajowości” zdał sobie sprawę w dalszych publikacjach. Sama zaś koncepcja krajowości była dojrzała i po wprowadzeniu modyfikacji nadal jest aktualna. Według Bądkowskiego w gestii władz centralnych powinny się znajdować: polityka zagraniczna, obronność oraz planowanie i koordynowanie gospodarki narodowej. Polityka wewnętrzna stanowi „kondominium władzy centralnej i władzy krajowej”. W koncepcji krajowości pomorskiej, rozwiniętej w porównaniu z samorządowymi inicjatywami w latach międzywojennych, Bądkowski widział następujące korzyści:

1. Samorząd krajowy wyzwala zasoby sił miejscowych w sposób naturalny, dostosowany do potrzeb terenu i uzupełnia obejmujący całe państwo system partyjny.

2. Wprzęga społeczeństwo w samorządy i tym samym utożsamia je ze swoją ziemią, wyzwala współodpowiedzialność za jej losy.

3. Formy zwyczajowe i kulturalne, rozmaita twórczość i pomysłowość wzbogacają skarbnicę narodową, „zapewniając jej stałą, naturalny dopływ świeżych zasobów, których wartość została doświadczalnie wypróbowana na pewnym terenie, a które później wykorzystać można na innych terenach, lub w całym państwie”.

4. Stopień pośredni w rządzeniu państwem odciąża je w wielu sprawach,

a przeszkalanie ludzi na szczeblu samorządu krajowego przysparza państwu doświadczonych kadr.

5. Scedowanie części władzy na samorządy krajowe może doprowadzić do „narastania szerszych tworów państwowych drogą dobrowolnego łączenia się”, poza tym „zacierają antagonyzmy i nadmierne ambicje centralne”.

Krajowość „nie stawia żadnych hamulców wewnętrznemu ruchowi ludności... Chodzi natomiast o silne wiązanie ludności z terenem, na którym ona żyje i zapewnienie jej potrzebom znalezienia pełnego wyrazu”. Pomorze uznaje Bądkowski za wzorcowe w rozwijaniu zasady krajowości, ponieważ stanowi obszar wyraźnie ukształtowany pod względem etnicznym, historycznym i geograficznym.

Całość prac programowych Bądkowskiego, opracowanych i częściowo opublikowanych na obczyźnie w latach wojny i krótko po jej zakończeniu, zawiera przemyślenia zamkniętego środowiska społecznego oderwanego od rzeczywistości krajowej. Dawały jednak grupie Pomorzan o dużych ambicjach, lecz małych możliwościach politycznych, pozorowanie czytelnej legitymacji do zaangażowania się w życie polityczne odrodzonej Polski. W „Pomorskiej myśli politycznej” dostrzec można elementy megalomanii, o której - w innym kontekście - wypowiedział się Roman Wapiński w ten sposób: „Megalomania jest obecna i po stronie społecznej, w potocznej artykulacji, w sposobie uzasadniania różnych zjawisk, przede wszystkim niepowodzeń, a także wyrażania niezadowolona. Czy wreszcie w odwoływaniu się do najdawniejszych okresów, kiedy istnieliśmy w innych układach międzynarodowych” („Bilans historyczny. O politykach, nacjonalizmie i tradycji” (w:) Z. Rykowski, W. Władysław „Sposób myślenia”, Warszawa 1985).

Megalomanię widać w ahistorycznym ujęciu ciągłości pomorskiej myśli politycznej, w ufności w rozum i aktywność Pomorzan, w ich zdolność do kierowania bądź współkierowania samorządnym krajem pomorskim. Bądkowski nie dostrzegał wyraźnie tej prawdy, że jedno, nawet najbardziej godne zachowania cechy ludzkie zamierają w procesie przemian cywilizacyjnych, inne zmieniają się wraz z potrzebami i funkcjami społecznymi.

Jeżeli założymy, że polityka jest realizacją potrzeb społecznych, stale sprawdzanych i weryfikowanych analizą rzeczywistości społecznej i narodowej, to myśl państwowa Bądkowskiego poddana została weryfikacji dopiero po 1955 roku, gdy można było fragmentarycznie ujawniać niektóre zagadnienia programowe ruchu kaszubsko-pomorskiego i publicznie konfrontować je z rzeczywistością społeczną. Po powrocie Bądkowskiego do kraju w 1946 roku nie było

możliwości weryfikowania jego teorii w zastanej rzeczywistości. Mimo ambicji politycznych - w latach 1946/7 Bądkowski studiował w Akademii Nauk Politycznych w Sopocie (oddział warszawskiej Szkoły Nauk Politycznych) - nie mógł on odegrać żadnej roli politycznej na Pomorzu z powodu rozbieżnego z jego poglądami ustroju i niewłaściwej biografii. Po powstaniu Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego otworzyło się przed nim małe i ciasne poletko społeczne, na którym mógł się obracać nieco swobodniej i niektóre koncepcje ideologiczno-polityczne przekazywać szczególnie młodemu pokoleniu. Ponieważ - trawestując Bismarcka i Liebknechta to - co w jego przekonaniu było politycznie możliwe, okazało się niemożliwe, poszedł na kompromis i swoją pomorską myśl polityczną zacieśnił do doktryny rozumianej jako „spójny system przekonań dotyczących rzeczywistości społecznej” (R. Kostro, R. Matyja „Świat polityki, dyplomacji, idei. Słownik podręczny, 1992), sprowadzanej coraz wyraźniej do programu Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, jako przyczółka do wprowadzenia w przyszłości, w sprzyjających regionalizmowi warunkach, krajowości pomorskiej.

W „Kaszubsko-pomorskich drogach” (na prawach rękopisu, Gdańsk, 1978) Bądkowski uporządkował swoje rozważania o krajowości - używał teraz tego terminu wymiennie z regionalizmem, jako pojęciem upowszechnionym. W krajowości, albo regionalizmie, zawiera się spójny program ideologiczno-polityczny ruchu kaszubsko-pomorskiego. Wyraźnie odstępuje od motywowania racji istnienia pomorskiej myśli politycznej ciągłością pomorskiej myśli narodowo-państwowej. Daje do zrozumienia, że subiektywnie odczytywana historia nie może ciążyć na programowaniu zadań i celów nowoczesnego regionalizmu. Wręcz nawołuje, żeby „nie nagiąć teraźniejszości do przeszłości, lecz przeszłość wykorzystywać dla teraźniejszości. Zasada ta postuluje umiejętne posługiwanie się elementami z tradycji w adaptowaniu nowych stosunków między ludźmi” („Nie chodzi o rezerwat, ale o konstruktywną siłę” [w:] „Życie i myśl”, 1961, nr 3-4).

Podtrzymał potrzebę niedogmatycznego kultywowania „swojszczyzny” z uwagi na jej walory społeczne i kulturalne, widział konieczność dalszego trwania zakotwiczonych na swojej ziemi Pomorzan, szczególnie Kaszubów, z wszystkimi szlachetnymi przymiotami, jakimi się obdarzali w dziejach, ale stale unowocześnianymi. Przecistawiając się konserwatywnym nurtom w ruchu kaszubsko-pomorskim, myśleniu w skali małej, pisał: „nowoczesny regionalizm musi rezygnować z obyczajów i form kulturowych charakterystycznych dla stosunków dawnych i tworzyć takie, które będą odpowiadały stosunkom nowym, zacho-

wując metodę ich tworzenia, klimat kulturowy i niektóre gotowe elementy materialne, właściwe - dla danego środowiska, jego umysłowości i tradycji" („Nie chodzi o rezerwat...”).

Bądkowski opowiadał się za zachowaniem w regionalizmie aspektów czysto politycznych, w zasadnym ujęciu: „Pełna społeczno-polityczna interpretacja regionalizmu kaszubsko-pomorskiego wzięła się stąd, że ruch ten zrodził się w walce o utrzymanie narodowej tożsamości ludu przeciwko zaborcy i jego usilnym zabiegom germanizacyjnym. Walka ta w istocie trwała do końca II wojny światowej, czyli od jego programowego podjęcia przez Floriana Ceynowę w ciągu około stu lat” („Kaszubsko-pomorskie drogi”).

Wykorzystując dogodnie położenie Pomorza Nadwiślańskiego, które nie ma już granic z Niemcami, należy je wewnętrznie umacniać poprzez krajowość. Ale problem niemiecki nie przestał istnieć. Bądkowski nie demonizował go - posiadał umysł otwarty, który nie uległ kompleksom kombatanctwa - ale ostrzegał: „Patrząc na wschód pamiętajmy, że za plecami mamy Niemców. Wielu Polaków mówi i zachowuje się tak, jakby Niemcy nagłe wyparowali, albo przeobrazili się w chór aniołów” („Pod rozważę ” [w:] „Biuletyn Informacyjny Klubu Myśli Politycznej im. Konstytucji 3 Maja”, 1981, nr 2).

Podstawą idei ruchu pomorskiego - po odrzuceniu kostiumu historii - jest spójny program krajowości albo nowocześnie rozumianego regionalizmu. W tym znaczeniu Bądkowski swoją myśl uściślił w latach siedemdziesiątych:

„Jest to koncepcja i praktyka działalności społecznej i organizacyjnej, opartej o określoną grupę etniczną (lub zespół bliskopokrewnych grup), która w toku procesu historycznego i kulturowego uformowania się w społeczność wewnętrzną spoiłą i trwała, wyróżniając się wśród innych. Koncepcja ta zakłada samorządne rozwijanie i wzbogacanie życia dzielnic zamieszkałych przez tę społeczność w ścisłym związku z innymi dzielnicami narodu i państwa oraz w podporządkowaniu nadrzędnym celom narodowej i państwowej wspólnoty” („Kaszubsko-pomorskie drogi”).

Społeczność regionalna nie jest zamknięta; przyjmuje wszystkich, którzy chcą w niej żyć i pracować. Samorządna wspólnota pozwoli - zdaniem Bądkowskiego - rozwiązywać w niej wszystkie podstawowe dla ruchu kaszubsko-pomorskiego założenia ideowo-programowe. Dostrzega przy tym, że w nowej sytuacji powojennej ujawniły się wciąż aktualne w tym ruchu trzy elementy:

- brak precyzyjnych założeń teoretycznych;
- szukanie odpowiedniego miejsca w układzie społeczno-politycznym Polski, określającego wyraźnie pozycję, rolę i zakres działalności;
- przewaga działalności pragmatycznej

nad programową, nadmiernie okazyjną i rocznicową.

W postulatywnej refleksji Bądkowskiego słabości te przemieniają się i w ruchu kaszubsko-pomorskim dają się zauważyć kierunki bardziej świadomego postępowania, a mianowicie:

- likwidowanie „złego samopoczucia” ludności kaszubsko-pomorskiej, jako rezultatu rozmaitych zapóźnień i niezależnych od niej przyczyn;

- poszerzanie wszechstronnych kwalifikacji, zwłaszcza na poziomie wyższym;
- przyspieszanie unowocześniania psychiki i struktury społeczeństwa;

- wychodzenie z pozycji obronnych na pozycję aktywniejszego działania, by zachować i rozwijać właściwości własne w sferze społecznej i kulturalnej;

- podnoszenie poziomu kultury pomorskiej, aby stała się ona twórczym członem kultury ogólnopolskiej („Kaszubsko-pomorskie drogi”).

Bądkowski kładł nacisk na unowocześnianie społeczeństwa, przede wszystkim kaszubskiego; zależało mu na tym, aby nie skostniało ono w odosobnieniu etnicznym i - nie daj Boże - w tradycyjnie rozumianym folklorystyce.

Na zebraniu Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w 1981 roku w Słupsku, Bądkowski zwięźle przedstawił już teraz nieco zubożoną ideę pomorską, definiując ją, przy pomocy wydawnictw encyklopedycznych, ogólnikowo: „Przez ideę rozumiemy myślą i zakorzonioną w uczuciach koncepcję, wyobrażenie czegoś, co chcielibyśmy wcielać w życie” („Pomorze w stanie powstawania”, Gdańsk 1981). Sformułował ją w 5 punktach, które podaje w skrócie:

1. Pomorzanie chcą być gospodarzami na własnej ziemi. Pomorzanie i nie-Pomorzanie mają równe prawa.

2. W dążeniu do odbudowy i rozkwitu rdzennej kultury pomorskiej szczególną wagę przywiązujemy do kultury i tradycji kaszubskiej, która zachowała największą pierwiastków czystej pomorskości.

3. Stoimy na gruncie decentralizacji władzy we wspólnym państwie.

4. Uczucie i miłość do ojczyzny narodowej i państwowej lepiej się realizuje w działalności dla ojczyzny małej.

5. Odepchnięcie Pomorzan od wpływu na losy państwa w znacznym stopniu jest zawinione przez nich samych. Stąd pilna potrzeba odrzucenia postawy bierniej i przyjęcie zaczepnej, aktywnej, ekspansywnej. Przeorać trzeba psychikę Pomorzanina.

Program wypełniający myśl pomorską (ideę), przedstawiony przez Bądkowskiego, nie odbiegał wyraźnie od postulowanego przez wszystkie kierunki w ruchu kaszubsko-pomorskim w przeszłości. Wypełniać go miała „praca od podstaw” - działalność informacyjna i upowszechniająca, oświatowa i wychowawcza, sprzyjająca przygotowywaniu kadr dział-

aczy, organizowaniu podstaw finansowych własnej organizacji; pozyskiwaniu dla idei pomorskiej duchowieństwa, sporadycznemu organizowaniu wielkich akcji publicznych oraz zabieraniu głosu i uczestniczeniu w procesie przemian społeczno-politycznych. Najważniejsze dla Bądkowskiego było Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, które - skonsolidowane i prężne - zagwarantuje realizację idei i programu pomorskiego.

Bądkowski odstąpił od terytorialnej koncepcji Wielkiego Pomorza, uznał ją za nieaktualną, gdyż na skutek przemieszczenia ludności po drugiej wojnie światowej Pomorze Zachodnie straciło własną substancję ludnościową, stało się zbiorowiskiem różnych grup etnicznych i narodowych. Ideę pomorską należy zatem sprowadzić „do szeroko, chociaż nieprecyzyjnie rozumianego Pomorza Gdańskiego, obejmującego województwa: słupskie, gdańskie, elbląskie, toruńskie po Drwęcę, północną część bydgoskiego” („Pomorze w stanie ...”).

W myśli politycznej Bądkowskiego - i w programach jego poprzedników - nie występują zagadnienia gospodarcze i społeczne. Poza samorządnością i wciąż aktualną sprawą niemiecką, wypełnia ją tradycja obyczaju, kultury, literatury i języka w obramowaniu historyczno-terytorialnym, nader życzeniowym. Być może właśnie to jest powodem, że idea pomorska znajduje zrozumienie bardziej w gremiach przewodników w pracy regionalnej i wśród badaczy akademickich niż w społeczeństwie pomorskim, które nadal nie wie, co jest jej czytelną nicią przewodnią w rozwiązywaniu podstawowych potrzeb Pomorzan, teraz i w przyszłości.

Bądkowski uchylił się od odpowiedzi na, moim zdaniem, bardzo ważne pytanie: jak jego myśl reaguje na rzeczywiste i stale zmieniające się potrzeby społeczeństwa pomorskiego, które powinna wyrażać. Bo przecież „ideologia i polityka jest w swej istocie funkcją określonych potrzeb i interesów społecznych (A. Micewski, „Postawy i poglądy. Z doświadczeń ideowych dwudziestolecia”, Warszawa, 1970). Mimo to pomorską myśl polityczną Lecha Bądkowskiego należy rozpatrywać jako regionalną koncepcję skutecznej działalności w sferze życia społecznego, z czasem coraz bardziej sprowadzaną do potrzeby fachowego i intelektualnego doskonalenia Pomorzan oraz programowania ruchu społecznego, czyli działalności Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Tej organizacji wyznaczał Bądkowski wiodącą rolę w autonomizacji Pomorza, która sprzyjać będzie wszechstronnemu rozwojowi jego mieszkańców i zagwarantuje niczym nie krepowany rozwój rodzimej kultury, wyrażającej najpełniej wciąż aktualne i korzystne dla państwa polskiego przymioty pomorskiej kulturowości. ■

Nie ulega wątpliwości, że nowa sytuacja polityczna naszego kraju korzystnie wpłynęła na środowiska lokalne. Rozwój samorządności gminnej, wzrost samodzielności społeczności lokalnych inspirowane do dalszych działań na rzecz upodmiotowienia społeczeństwa, wywołania aktywności obywatelskiej zarówno w sferze gospodarczej, jak i politycznej. Coraz częściej w publicznych dyskusjach pojawia się postulat: „Regionalizacja jako kolejny etap reformy samorządowej”.

W okresie PRL-u regionalizm kojarzono przede wszystkim z folklorem, wiejskim ruchem kulturalnym, w nowej rzeczywistości natomiast formuła regionalizmu ma coraz częściej zabarwienie ideologiczno-polityczne. Przed taką formułą nie należy uciekać, lecz próbować jak najpełniej określić jej znaczenie - mówił doc. dr Andrzej Zbiński, prezes Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, otwierając dwudniową sesję naukową pn. „Regionalizm jako folklorizm, ruch społeczny i formuła ideologiczno-polityczna”, która odbyła się w dniach 14 i 15 października.

Podczas dwudniowego spotkania uczestnicy sesji wysłuchali kilkunastu referatów, których autorami byli zarówno socjologowie, jak i historycy, geografowie, etnografowie. (Wszystkie materiały z sesji zostaną opublikowane w formie książkowej). Prof. Marek Latoszek, główny organizator sesji, zwrócił uwagę, że w gdańskim środowisku naukowym istnieje swoisty „nurt kaszubofilski”. Jego zdaniem ocena regionalizmu przez pryzmat pozytywnego nastawienia do ruchu kaszubskiego może być niekorzystna dla naukowego obiektywizmu. Jego apel o zachowanie dystansu wobec omawianych zagadnień regionalizmu, został tylko w pewnej mierze uwzględniony. Zarówno referentem, jak i dyskutantem nie udało się oddzielić własnych, emocjonalnych związków z poszczególnymi regionami od przedmiotu dyskusji. Obok często pojawiających się wątków kaszubskich i pomorskich, równie akcentowane były sprawy związane z regionem wielkopolskim.

Mówiąc o miejscu folkloru w idei regionalizmu, prof. Józef Styk z Lublina zwrócił uwagę, że pierwotnie spontaniczna ludowa działalność twórcza, z czasem podporządkowana została wspierającym ją mecenatom. Po wojnie rolę mecenatu zaczęła pełnić władza ludowa, co doprowadziło do przekształcenia tej autentycznej twórczości w swoistą karykaturę, aż do narodzin tak zwanego folkloru mundurkowego po stanie wojennym. Nowym zjawiskiem jest mecenat Kościoła i samorządu. Ten ostatni, jak się wyraził referent, najmniej zagraża folklorystycznemu autentyzmowi, jest najbardziej zbliżony do zapotrzebowań społecznych.

Regionalizm od schyłku XIX wieku po rok 1939 był przedmiotem historycznych

WOKÓŁ REGIONALIZMU

refleksji prof. Romana Wapińskiego z Gdańska. Profesor, przybliżając obraz społecznego zróżnicowania w tamtym okresie, podkreślił, że nasz kraj był wówczas przede wszystkim wielonarodowy, a wśród samych Polaków występował podział według przynależności do poszczególnych zaborów, stopnia peryferyjności, udziału w powstaniach narodowych. Dopiero po odzyskaniu niepodległości zaczynają dochodzić do głosu także grupy regionalne - między innymi Kaszubi, „krajowcy” wileńscy i śląscy, których łączyło poczucie zagrożenia wobec obcych, a jednocześnie szacunek do swojszczyzny. Pierwsza próba instytucjonalizacji regionów poprzez podział administracyjny kraju, odbyła się w 1927 roku. Istotą wszelkich zmian administracyjnych w okresie międzywojennym było zachowanie w dużej mierze podziałów z czasów zaborów.

O pozytywnym wpływie regionalizacji na zachowania etyczne społeczeństwa mówił w swoim referacie ks. prof. Henryk Skorowski z Warszawy. Referent zaznaczył, że każde społeczeństwo regionalne tworzy własny zespół idei, hołduje określonym wartościom i wskazaniom moralnym. System wartości wypływający z pokoleniowych doświadczeń, przede wszystkim trwałość obyczajów, stanowi źródło siły moralnej, jest ostoją społecznej harmonii. Regionalizm nie jest jednak wartością absolutną, podkreślił H. Skorowski, odnosząc się do niektórych przejawów antyhumanitarnych w regionalnej obyczajowości i prawie zwyczajowym.

Interesujący referat wygłosił dr Andrzej Porębski z Krakowa, który mówił o przemianach regionalizmu kaszubskiego na tle wybranych europejskich grup etnicznych - Serbołużyczan, Basków i Retoromanów. W swojej wypowiedzi wskazał na duże zbieżności tych grup w sferze traktowania języka, instytucji społecznych i demografii. Szczególnie charakterystyczne dla wszystkich grup są próby unifikacji własnego języka, istnieje też wspólny trend do zakładania własnych instytucji gospodarczych i politycznych, których brak Kaszubom, w przeciwieństwie na przykład do Serbołużyczan, ale mają oni w tych sferach również duże osiągnięcia. A. Porębski zwrócił również uwagę, że najbardziej zaawansowana „instytucjonalizacja grupowej odrębności” występuje wśród Basków, którzy zamieszkują własny autonomiczny region. Wszystkie grupy były jednak poddawane dużym procesom migracyjnym, co doprowadziło do tego, że na swoich rodzinnych ziemiach stanowią przeważnie mniejszość.

W referacie „Rola więzi regionalnej

w procesie identyfikacji etnicznej ludności kaszubskiej” prof. Jadwiga Kucharskiej z Łodzi uwypuklone zostały między innymi takie elemen-

ty, jak: naturalne przywiązanie do terytorium zamieszkania, łączność historyczna, językowa. Pani profesor podkreśliła, że więzi językowe stanowią najtrwalszy wyróżnik jedności etnicznej i że Kaszubi swój język traktują częstokroć na równi z polszczyzną, a niektórzy nawet stawiają go ponad polski. Poprzez działalność Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, w tym szczególnie wydawniczą, a także szkoły i Kościoła, więzi naturalne występujące w kaszubskiej wspólnotce regionalnej coraz bardziej przekształcają się we więzi stanowione. (Wypowiedź prof. J. Kucharskiej ukaże się w następnym numerze).

Red. Henryk Galus mówiąc o społeczno-kulturowych źródłach podmiotowości regionalnej na Pomorzu, podkreślił istotną rolę inteligencji w budowaniu tożsamości kaszubskiej. Niemniej „badania przeprowadzone pod koniec lat 80. wykazały zmniejszenie się obszaru identyfikacji kaszubskiej w stosunku do ustalonego wcześniej w badaniach językoznawczych oraz rozrzedzenie się tej identyfikacji do postaci bardziej deklaratywnej niż zobiektywizowanej i uświadomionej”. Według Henryka Galusa nastąpiło też załamanie się międzypokoleniowej łączności etnicznej. Według referenta ujawniła się również na obszarze Kaszub mniejsza niż oczekiwano „zdolność aktywnych Kaszubów do wchodzenia w kręgi kierownicze samorządu lokalnego”.

Prof. Andrzej Kwilecki z Poznania mówiąc o regionalizacji z perspektywy Wielkopolski wykazał, że społeczność zamieszkująca ten teren podejmuje zarówno funkcje regionoobronne, jak i regionotwórcze. W regionalizmie wielkopolskim dostrzec bowiem można zarówno tendencje obronne przed stałymi zagrożeniami (np. germanizacją), narzucanymi odgórnie zmianami administracyjnymi, jak i też ekspansywność zewnętrzną, objawiającą się m.in. organizacją wielkopolskich struktur administracyjnych na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Współczesny regionalizm wielkopolski cechuje się też znacznym wzrostem emancypacji gospodarczej.

Dr Roman Napiórkowski z Poznania, oceniając świadomość regionalną w Wielkopolsce z geograficznego punktu widzenia, również zwrócił uwagę na swoistą ekspansywność poznańską oraz na bardzo ugruntowany w społecznym odczuciu zasięg historycznego obszaru tego regionu, który obecnie rozciąga się w granicach pięciu województw.

Polemiczne wątki zawierał referat prof. Kazimierza Sopucha z Gdańska „Kurpie i Kaszubi - grupa regionalna czy grupa et-

niczna". Referent uznał za naganną i wręcz szkodliwą działalność niektórych członków ZK-P, którzy jakoby wbrew pragnieniom ogółu Kaszubów, dążą do nadania tej grupie statusu etnicznego, a tym samym idą w stronę nacjonalizmu i separatyzmu. Referat Kazimierza Sopucha dość znacznie odbiegał od naukowego obiektywizmu, w dużej mierze wypełniony był emocjonalnymi i postulatycznymi wypowiedziami.

Tadeusz Bolduan omawiając pomorską myśl polityczną Lecha Bądkowskiego spostrzegł, że idea ta jest bogata w wątki kulturowego dziedzictwa, tradycji samorządowej Pomorza, nie ma natomiast w niej odniesień do spraw gospodarczych i społecznych. Być może to właśnie sprawia, że pomorska idea Lecha Bądkowskiego spotyka się z zainteresowaniem środowisk opiniotwórczych, natomiast nie znajduje wystarczającego zrozumienia w społeczeństwie pomorskim. (Tekst referatu publikujemy w tym numerze).

Prof. Krzysztof Kwaśniewski z Poznania w referacie „Regiony, regionalizm a jednostki administracyjne” zwrócił uwagę na pozytywny wpływ regionalizmu na funkcjonowanie państwa. Właśnie w obrębie regionu (jako części większej całości, która realizuje globalne cele) poszczególne obywatele mają najszerzą płaszczyznę do korzystania z wolności. Region stanowi również naturalną więź z miejscem zamieszkania i barierę przed nadmiernym upolitycznianiem życia publicznego. Profesor podkreślił, że wbrew powszechnym twierdzeniom nie państwo harmonijnie rozwijających się regionów, lecz państwo silnie scentralizowane przyczynia się do narodzin tendencji separatystycznych.

Ostatni z referentów dwudniowej sesji, prof. Józef Borzyszkowski z Gdańska, omówił działania ZK-P w latach 1989-1993 na rzecz reformy administracyjnej kraju. W tym okresie Zrzeszenie pełniło wiodącą rolę w rozwijaniu samorządności i propagowaniu myśli regionalistycznej. Najbardziej znaczące osiągnięcia Zrzeszenie odnotowało w realizacji idei samorządowej, znajdując wielu sprzymierzeńców w gminach. Nadal jednak, mimo ogromnego zaangażowania w budowaniu świadomości regionalnej, działania zarówno ZK-P, jak i innych środowisk pomorskich, zbyt rzadko wychodzą poza koncepcje i plany. Jak się wydaje najbardziej spektakularnym osiągnięciem jest funkcjonowanie Komisji ds. Współpracy Międzywojewódzkiej z siedzibą w Toruniu, obejmującej sześć województw Pomorza Nadwiślańskiego.

Sesja potwierdziła, że idea regionalizmu jest szczególnie żywotna w kręgach naukowych, opiniotwórczych. Pełne instytucjonalne wprowadzenie jej w życie spotyka się z oporem, gdyż zagraża interesom władzy centralnej. Warunkiem jej spełnienia jest szeroka społeczna akceptacja.

(s.j.)

Każdy, kto wyrusza w uciążliwą daleką drogę, musi odpowiednio się przygotować do niej, dokonać oceny własnych sił, z grubsza przewidzieć rodzaj trudności i przeciwności, jakim trzeba będzie stawić czoła. Na dobrą sprawę można powiedzieć, że zawsze jesteśmy w drodze, bądź jako jednostki, stawiające sobie określone cele w życiu prywatnym, bądź jako członkowie jakichś stowarzyszeń, organizacji, ugrupowań, poczuwający się do odpowiedzialności za los szerszych wspólnot. Historia uczy, że w momentach przesilen politycznych i społecznych owa droga najeżona jest znacznie większymi trudnościami niż w epokach względnej stabilizacji. W tych trudniejszych okolicznościach trzeba zmobilizować większe zasoby energii, pomysłowości, przedsiębiorczości i duchowej siły.

Czy stosownie do potrzeb chwili taką wewnętrzną dynamikę zdołało wykrzesać z siebie współczesne młode pokolenie Pomorzan? Na tak sformułowane pytanie próbowali udzielić w miarę pełnej odpowiedzi organizatorzy Kaszubsko-Pomorskiego Forum Młodych, które odbyło się w lipcu tego roku w sali Senatu Politechniki Gdańskiej. Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego życzliwie patronował całemu przedsięwzięciu; w roli głównych organizatorów tego niecodziennego spotkania wystąpił Klub Studencki „Pomorania” oraz redakcja „Kurieria Bytowskiego”. Wiadomo, iż dużo zależy od autora prelekcji. Treścią swoich wywodów powinien on wprawić w ruch refleksję uczestników dyskusji. Ta sztuka udała się Cezaremu Obracht-Prondzyńskiemu, który swe rozważania zatytułował: „Kondycja młodego pokolenia Kaszubów i Pomorzan oraz wyzwania przed nami stojące”. (W „Pomeranii” nr 10 opublikowaliśmy wystąpienie pt. „Młode pokolenie Kaszubów i Pomorzan”). Wiadomo, że w przeciwnieństwie do starszych młodość z reguły bywa nastawiona bardziej futurystycznie, lokuje swe

nadzieje w przyszłości. Ażeby bardziej podkreślić swoją inność, często w sposób ostentacyjny manifestuje rezerwę wobec starszego pokolenia, dystansuje się wobec wzorców, jakie stworzyli poprzednicy. W europejskiej tradycji jest to zjawisko naturalne. Wszak jednym z charakterystycznych rysów europejskiego „ducha rewolucjonisty” jest kwestionowanie pewników, wątplenie i poszukiwanie samopotwierdzenia.

Pytanie, czy ów niespokojny duch, tęskniący za oryginalnością, pragnący zrobić coś nowego, zdobył uznanie w oczach młodego pokolenia Kaszubów i Pomorzan? Jeśli weźmiemy pod lupę zachowania młodych, którzy deklarują swą wierność wobec etnicznych imponderabliów, to trzeba powiedzieć, że większość z nich tkwi w jakiejś pasywności. W ich codziennym funkcjonowaniu brakuje swoistego rozmachu, przebojowości i ekspansywności. Z pokolenia na pokolenie przekazywane są raczej postawy i reakcje, które kojarzą się z powagą: ostrożność, spokojne wyczekiwanie, niechęć do ryzyka, do poszerzania autonomii jednostkowej, przyzwyczajenie do słuchania kazań, milczenia, mniej zaś do dialogu, ścierania się poglądów w trakcie ostrej, merytorycznej dyskusji. Nie powinno to budzić zbytniego zdziwienia. Pewna defensywność, przejawiająca się także w zachowaniach młodego pokolenia pozostaje w zgodzie z wzorcami ukształtowanymi przez tradycję. Tradycję rozumianą jako ciąg różnorodnych, najczęściej bolesnych doświadczeń. Stąd też ci, którzy przekonani są o przewadze swoich racji, przeważnie poprzestają na ich demonstrowaniu. Szczególną rolę przypisuje się symbolice, znakom zewnętrznym, które mają zaświadczać o wierności wobec wartości uznawanych w społeczności pomorskiej za najświętsze, najszacowniejsze. Na swój sposób jest to piękne. Jeśli jednak taka postawa dominuje, to codzienna praca organiczna, wymagająca systematyczności i inwencji schodzi na dalszy plan. I wówczas zaczyna nam zagrażać coś, co nazywa się zbiorową przeciętnością. Średniactwem. Według mnie jest to jedna z tych przypadłości, które nekwały nasze życie społeczne. Rzecz polega na tym, że człowiek odczuwając swoją sytuację ży-

POKOLENIE

ciową jako średnią, bywał skłonny uznawać ją za normę, wycofywać się do jakiegoś „nórcęka” i tam, niejako na marginesie ważnych zajęć powszednich, usiłował tworzyć coś na wyższy użytek, dla Kaszub i Pomorza. Najcenniejsze wszakże dokonania były zawsze dziełem nielicznej grupy ludzi - twórców, pasjonatów pracy społecznej, stawiających sobie ambitne zadania, wybijających się ponad przeciętność. Pytanie, czy wokół tych niezbyt licznych grup czerpiących satysfakcję z bezinteresownej pracy dla regionu, musi istnieć tak potężna „szara strefa”, jaką tworzy zadowolona z siebie przeciętność? Ze zdumieniem odkrywamy, że w tej szarości zanurzona jest od dłuższego czasu, czyli od ładnych kilkunastu lat nasza „Pomorania”, a także luźne grupy młodych, które dryfują nie wiadomo ku czemu, gdyż są pozbawione jakiegokolwiek programu. Po części jest to wina Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, ponieważ do tej pory nie wypracowało ono dla młodych atrakcyjnej formuły programowej. Kilku młodych usiłujących kroczyć tropami Zrzeszyców poczuło się do odpowiedzialności za misję historyczną, czerpiącą żywotne soki jedynie z radykalnych haseł. W parze z ową hasłowością idzie zniechęcenie do polityki, a także do pracy formacyjnej, czyli do budowania głębszego zaplecza intelektualnego. Jest ono potrzebne m.in. po to, by lepiej rozumieć świat dzisiejszy, w którym trzeba odrzucić skorupę starych nawyków i stereotypów, by tym skuteczniej stawiać czoła ogólnemu kryzysowi.

Czy młodość ma receptę na zmianę tej sytuacji? Przecież w przeszłości wielokrotnie była ona motorem różnych pozytywnych przeobrażeń. Poddawanie się obolałościom przez młodych sprzyja po prostu prowincjonalizmowi. Cierpiętnictwo, narzekanie na starych ze Zrzeszenia, przedwczesna zgorzkniałość i dziewczęca mimozowatość nie pasują do Remusowego wojska. Zresztą wojsko jest synonimem organizacji,

prężności i samodyscypliny. Tymczasem młodzi do tej pory - poza „Pomoranią” - nie zdobyli się na utworzenie jakiegokolwiek forum, które by ich skupiało, broniło

przed alienacją, umacniało więzi międzypokoleniowe i dostarczało młodym umysłom i charakterom odpowiednich impulsów rozwojowych. Czy w najbliższym czasie powstanie załóżek pomorskiego forum młodych? Chodziłoby o autentyczną wspólnotę, a nie o jeszcze jedną organizację, celującą w fasadowość i ceremonialnych gestach. Właśnie w łonie tegoż forum mogłyby z czasem zrodzić się jakieś oryginalne alternatywy programowe, które odnosząc się krytycznie do obecnych kierunków i opcji programowych torowałyby ruchowi kaszubsko-pomorskiemu drogę w przyszłe stulecie! Powodzenie tej idei w znacznej mierze zależy od stopnia otwartości na świat. Przede wszystkim na Europę. Jednym z warunków tej otwartości jest znajomość języków obcych. Niestety, pod tym względem ogólny bilans przedstawia się niekorzystnie; w środowiskach, które pretendują do miana pionierów nowego i nowoczesności opanowanie języków obcych wygląda tragicznie.

To, co nazywamy „duchem czasu” jest de facto stanem umysłów i nastrojów społecznych. Na ducha czasu większy wpływ mają ci, którzy dysponują odpowiednimi narzędziami i środkami. Jeżeli młodzi Pomorzanie i Kaszubi będą pasywnymi językowo i kulturowo, to należy już dziś pożegnać się z marzeniami i dążeniami obliczonymi na poszerzenie kręgu ludzi, którzy pokierują biegiem spraw publicznych tak, ażeby maksymalnie był respektowany interes mieszkańców regionu.

Między dyskutantami, uczestnikami forum zarysowały się różnice w sposobie widzenia problemu młodych. Dla jednych kultura kaszubska, będąca trudem i efektem scalania rozmaitych wartości, powinna energiczniej wchodzić w życie publiczne. Przede wszystkim do szkół i urzędów gminnych. Dzięki temu tworzy się swoisty system przyciągania, ku któremu grawitować będą w większym niż dotychczas stopniu najmłodsze pokolenia. Inni tradycy-

nie skłonni byli pokładać większe nadzieje na pożądane przemiany w świadomości wspólnot pokoleniowych, w działalności liderów, młodych zapaleńców, którzy niby pochodnie oświecać będą drogę innym. Zdaniem Eugeniusza Pryczkowskiego takim kadrowym zapleczem dla przyszłego forum młodych Kaszubów, miałyby być - pomimo wszystko - właśnie „Pomorania”. Z kolei Donald Tusk przestrzegał przed traktowaniem młodości jako kategorii stanowiącej wartość samą w sobie. Także kaszubskość, gdyż Kaszubami czy Pomorzanami już się urodziliśmy. Dla Tuska polityka nie jest metafizyczną chimerą, lecz sposobem organizowania życia publicznego. Istota sprawy zasadza się przeto na tym, ażeby Kaszubi i Pomorzanie przysposabiali się, zanim ujmą życie we własne ręce, do „zagospodarowania sfery wolności”. Właściwie ją zagospodarować oznacza m.in. dopomóc w odpaństwowieniu życia społeczno-gospodarczego. Jeśli jednak dzisiejsi pesymiści, którzy chcą być realistami, uznają za niemożliwe znalezienie 400 ludzi do obsadzenia samorządów (zbliżają się wybory do organów samorządowych) w skali całego regionu kaszubskiego, to wówczas już dziś należałoby bić na alarm.

Na przekór pesyście wpływ i oddziaływanie kaszubszczyzny w ostatnich latach zaznaczyły się wyraźniej na obszarze Pomorza Środkowego. Czy to jest zasługa młodych? Chyba nie. Nie ulega wątpliwości, że w znacznie większym stopniu niż starsi stają przed koniecznością wyboru drogi, życiowych decyzji, rozstrzygnięć. Jedną z dróg, tych najważniejszych dla klubu studenckiego „Pomorania” prowadzi przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. Prezes tegoż klubu, Dariusz Kiedrowski stwierdził, że Zrzeszenie nie jest zbyt atrakcyjne dla wielu młodych ludzi. W modzie znów więc jest narzekanie na organizacyjny paternalizm, kiedy go prawie nie ma... Nic nie stoi na przeszkodzie, by młodzi zrobili taki użytek z wolności, który zadziwi i wprowi w szczerzy zachwyt działaczy starszego pokolenia ZK-P. Ciężar naszej troski o przyszłość byłby łatwiejszy do udźwignięcia, gdyby było wiadomo, że powstało Kaszubsko-Pomorskie Forum Młodych, które otwiera nową kartę w dziejach ruchu kaszubsko-pomorskiego. ■

DOM *pod gwiazdami*



Wielka Mgławica Andromedy Fot. S. Miotk

Kobieta krzątająca się na podwórku przystaje i ożywia się, gdy pytam o Stanisława Miotka.

- Stasiu astronom? Mieszka pod lasem, tam gdzie stoi kapliczka.

Kębłowo, to niewielka sołecka wieś, obejmująca gospodarstwa rozrzucone na obszarze paru kilometrów kwadratowych. Zagroda Miotków, usytuowana tuż przy szosie Wejherowo-Lębork, należy już do Nowego Kębłowa. W przydomowym ogródku stoi kapliczka, która od zmroku niczym latarnia rozświetla zagrodę. Tuż za kapliczką, niemal na styku z lasem, wznosi się niedokończona budowla o nietypowym, wydłużonym kształcie. To przyszłe obserwatorium astronomiczne Stanisława Miotka. Gospodarz wita mnie przy furtce. Czekał już na mnie. Będąc tu parę dni wcześniej, nie zastałem go w domu. Jego matka wyjaśniła, że zazwyczaj z pracy wraca regularnie po trzeciej po południu, ale w soboty przeważnie gdzieś spotkać się ze swoim synkiem.

Stanisław Miotk ma sylwetkę sportowca i spracowane, mocne dłonie. Teraz pracuje jako murarz przy budowie

domu opieki społecznej w pobliskim Kochanowie. Mówi, że ostatnio został brygadzystą, ale ma wątpliwości, czy w ogóle warto o tym pisać w mojej gazecie. Z osobistych spraw zwierza się niechętnie. Jego wczesna młodość to niemal ustawiczne poszukiwanie sposobu na życie. W zawodówce wyuczył się fachu elektromontera, później po technikum został elektromechanikiem automatyki przemysłowej. Zaliczył jeden rok w Wyższym Seminarium Duchownym w Pelplinie, następnie kontynuował krótko studia teologiczne u Redemptorystów w Tuchowie w okolicach Nowego Sącza. Zaczął też studiować pedagogikę. Gdy pytam go, dlaczego zrezygnował ze studiów teologicznych, urywanymi zdaniem ucieka od tego tematu:

- Może byłem zbyt słaby... Nie chcę o tym mówić, to jest w ogóle zagadnienie tak szerokie jak astronomia...

Już we wczesnej młodości przeżył niezwykle olśnienie podczas lektury „Przewodnika po niebie gwiazdzystym” Jana Gadomskiego i wtedy zafascynował się astronomią. Skonstruował pierwszy teleskop i wiele nocnych godzin

zaczął spędzać pod gołym niebem, obserwując gwiazdy. Jak mówią w domu, „siedzi w tych gwiazdach od młodości”. On sam uważa, że patrzenie w niebo, przyglądanie się bardzo odległym obiektom w kosmosie, pozwala mu na bardziej tolerancyjną ocenę ludzi, akceptowanie ich takimi, jakimi są, z ich dobrem i wielkością, ale i też złem i małością. Zresztą, jak mówi, trudno oddać to, co się czuje, będąc sam na sam z nieskończoną przestrzenią.

- Człowiek mając czternaście, piętnaście lat, zaczyna pełniej postrzegać świat, chciałby sam do niego coś wnieść, kierując się własnymi marzeniami i wyobrażeniami - mówi Stanisław Miotk i zaraż pyta: - A ilu ludzi konsekwentnie trzyma się młodzieńczych planów? Ja powiedziałem, że nie popuszczę.

Dawniej było mu łatwiej oddać się tej pasji. Bywało, że rocznie prenumerował kilkanaście czasopism, kupował kilkadziesiąt bardzo specjalistycznych, drogich, także na ówczesne czasy, książek. Dziś nie stać go na nabywanie wszystkich wydawnictw, wybiórczo uzupełnia swój już i tak bogaty księgozbiór. Główne części do swojego najnowszego, dużego teleskopu udało się mu skompletować na początku lat osiemdziesiątych. Soczewka pochodzi z Francji, skądinąd zaś zwierciadło płaskie, o niebagatelnej średnicy 35 centymetrów, dzięki któremu można uzyskać nawet tysiąckrotne powiększenie. Kiedyś, wraz z kolegą ustawili ten teleskop na bardzo odległy słup wysokiego napięcia i zobaczyli pajaka. Umożliwia on oglądanie gwiazdy w kilkasetkrotnym powiększeniu.

Astronomia jest rozległą dziedziną nauki i ci, którzy są z nią związani, wybierają bardzo specjalistyczne zagadnienia. Stanisław Miotk sądzi, że mógłby na przykład zająć się obserwacją gwiazd kolorowych, zmiennych, robić spektroskopię, czyli badać gwiazdne widmo. Najbardziej interesują go i wręcz fascynują komety, ich fotografowanie za pomocą astrografu. Wbrew powszechnemu mniemaniu, w kosmosie można dokonać jeszcze wielu odkryć, uwiecznić swoje nazwisko w nazwie nowego obiektu.

- W Australii jest człowiek, który odkrył siedemnaście supernowych, gwiazd cechujących się nagłym wzrostem jasności - wyjaśnia Stanisław Miotk z coraz większym zapalem. - Niektórzy uważają, że w obserwatoriach w Krakowie czy Toruniu naukowcy nic innego nie robią, tylko patrzą w teleskop, by odkryć jakiś nowy obiekt. Tymczasem mają oni systematyczną robotę, zajmują się bardzo specjalistycznymi, wąskimi zagadnieniami. Astronom w takim ośrodku na przykład przez dziesięć, dwadzieścia lat „siedzi” nad kwazarami, cholernie dalekimi obiektami, poza Układem Słonecznym. Nie on osobiście, ale odpowiednio zaprogramowany komputer ustawia za niego teleskop, fotografuje. Odkrywcami są natomiast często amatorzy. Pewien astronom pasjonat w Japonii w ciągu jednej nocy potrafił odkryć aż trzy komety. Tam jednak jest bardzo precyzyjny i nowoczesny system pracy. Kilkadziesiąt amatorskich obserwatoriów połączonych jest komputerowo z bankiem danych centralnego obserwatorium w Tokio. Jeśli się dostrzeże coś niezwykłego, to można to natychmiast zweryfikować z danymi w tym banku i bardzo szybko wie się, czy to odkrycie, czy tylko błąd w obliczeniach.

Stanisław Miotk zaprasza mnie do swojego nieukończonego obserwatorium. W Polsce taki prywatny obiekt ma właściwie tylko Wacław Szymański z Dąbrowy Górniczej, na drugim końcu kraju. Stanisław Miotk budowę swojego rozpoczął przed ponad rokiem, ale bez odpowiedniej zgody. Poza aprobatą władz gminnych w Luzinie,

powinien mieć także zgodę z Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, bo obiekt jest nietypowy i znajduje się tuż przy drodze wojewódzkiej. Musiał wstrzymać prace budowlane, ale zdążył już wybudować parter i część piętra. Teraz S. Miotk jest w trakcie załatwiania formalności i ma nadzieję, że decyzja władz będzie pozytywna.

Wchodzimy po drabinie, bo jeszcze nie ma schodów, do górnej części obserwatorium. Wykonana już jest podstawa pod przyszły teleskop. Jest bardzo gruba i osadzona na solidnych kolumnach. Cała konstrukcja teleskopu będzie ważyć prawie pół tony, nie może być poddana żadnym drganiom. Nawet minimalne drżenie może zniekształcić obraz widzenia o wiele kilometrów. Stanisław Miotk już zaplanował, gdzie będzie mieścić się biblioteka i archiwum. Marzy, by jego obserwatorium stało się głównym punktem w Polsce, gdzie można uzyskać informacje o Janie Heweliuszu i jego astronomicznych osiągnięciach. Wielokrotnie już pisał o Heweliuszu w miesięczniku „Urania”. Postać tego XVIII-wiecznego gdańszczanina jest mu szczególnie bliska z powodu pewnej zbieżności w uprawianiu astronomii. Dla Jana Heweliusza, browarnika, nauka była również pasją, przedmiotem samodzielnych poszukiwań. Astronom z Kłębowa pragnie, by jego obserwatorium było też terenową agendą oddziału gdańskiego Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii. Do towarzystwa należy od 1977 roku, umożliwia mu ono kontakty z innymi pasjonatami, uczestnictwo w astronomicznych sesjach i sejmikach. Razem z kilkoma innymi członkami towarzystwa opublikował dane ze swoich obserwacji w amerykańskim piśmie astronomicznym „The International Quarterly”.

Gdy siedzimy w pokoju przy okrągłym stole, gościnną matką Stanisława Miotka częstuje nas kolacją. Właśnie w gospodarstwie było świnioobicie i na stół wędrują jeszcze świeże, apetycznie pachnące kielbasy. Pani Miotkowska pracownicy krząta się w kuchni, wekuje zylc. Wieczór poczercił już okna. Mój rozmówca ciągnąc swój monolog, nie kryje emocji:

- Kosmos to przedziwna sprawa. Człowiek gołym okiem widzi trzy tysiące gwiazd, za pomocą lornetki sto milionów, a jeśli ma mocniejszy przyrząd, to tam, gdzie nie było żadnej, widzi dziesięć, a tam, gdzie było dziesięć, widzi sto. To są potworne odległości, które wręcz paraliżują tych, co starają się to wszystko zgłębić. Oto nasza galaktyka - Stanisław Miotk rysuje palcem na pustym talerzu eliptyczny kształt układu gwiazd i materii międzygwiazdowej. - Gdybyśmy mogli latać z prędkością światła, czyli 300 tys. kilometrów na godzinę, to dopiero po 33 tysiącach lat opuścilibyśmy naszą galaktykę.

Na stole pojawiają się materiały z publikacjami Stanisława Miotka. Gospodarz pokazuje również wykonane przez siebie zdjęcia nieba, oglądamy plansze, wertujemy książki. Astronom mówi:

- Trudno sobie to wyobrazić, ale w tej chwili, siedząc za tym stołem, wykonujemy we wszechświecie około osiemnastu ruchów. Ziemia kołyszając się wiruje wokół słońca, razem ze słońcem pędzi gdzieś tam 30 tysięcy kilometrów na sekundę, krążymy po jakimś tam obwodzie z całą galaktyką z prędkością 240 tysięcy kilometrów na sekundę, a ta galaktyka też gdzieś pędzi i tak dalej, i tak dalej. To brzmi jak bajka.

Rozmawiamy w niewielkim pokoju, w domu państwa Miotków w Kębłowie na Kaszubach. Znajdujemy się w konkretnym miejscu, lecz któż wie, gdzie naprawdę jesteśmy. ■

Wele Tónku - rzek jednego dnia Fręc - tẽ môsz wiedno takã kruz munię reno, jakbẽ ta twoja Klara mia ce wẽkrzósóné. Jakusz to tẽ richtich z wama je?

Co tẽ so Fręku za taczemẽ rzeczamẽ czeręjesz - rzek Tóna - tu o krzosanim ni ma mowẽ. A reno tẽ wiesz, jak czlowiek wstónie te to tak wszẽtko w oczach pobięgo. Jõ tẽz so tak nierõz mészlẽ, jak jõ ce widzẽ reno na trapie z tẽmẽ twojimẽ klatamẽ to tak, jakbẽ ce mielẽ gäserẽ w roboce. A Wanda doch ce je dobrõ, przenómni ona tak wiedno powiõdõ. A te tẽz jẽ malo wie chwõlisz.

To bẽlo taczicẽ plestanie. Ale tak richtich oni obaji so dobrze znelẽ. Fręc wiedzõl, że Tóna jak przindze nagoloni wieczõr dodom te to dõ korkã, a przed lëdzamẽ Klara je wiedno usmiõno a flot coõ powiõdõ.

Rõz Tóna przeszed dodom zarẽ po põlniu, jima so w lesẽ zõga skazẽla, a te dwiërze bëlẽ przẽotemkle a Klara sznetrẽje w jego taszach. To mu dẽcht zmierzã a rzek - welẽ Klara, tẽ jes prõwdzewi straszõk, jakusz te mõszes mie w taszach grzebac. Ona so wõ to bialka dẽcht mia - a te on nõ miẽ rzek straszõk - powiõda Wandze a jinim bialkom na koscelny drodze. Fręc o tim so dowiedzõl, ale oni z Tõnã nijak o tim nie gõdalẽ. To so jednak o wszẽtczim nie gõdõ.

Tóna miõl taczicẽgo krepla swintõcha. A oni go mielẽ zabic prawie na jastra. Fręc przëszed pomoc z seczerã a bilkẽ. Tóna węcynã drõb, a Klara wëniosa goracã wodẽ do oparzenie. A te, jak nen swintoch wërwiõl z chlëwa, to so nie gõdõ, przez Klarenẽ wodẽ dziãl pod choinkẽ, to jaż tak zemia drëza. Ni dwaji za nim, ale jak oni wbiegle w choinkẽ, to on z niẽ wëlõz, a jak oni wëlazle, to on w niẽ wlõz. Jesz tak czego nicht nie widzõl.

Klara z Marikã stojã na drodze a wolajã: buć, buć, a ni lëdze so pitajã, cẽz w ti choince richtich je, kón cze swinia?

Tẽ sã ti naszi - gõda Klara - a czemu tẽ bẽ miõl bęc kón?

Ko to nierõz tak je, że kón wleze w choinkẽ - gõdalẽ lëdzẽ.

Niẽ, niẽ - odrzekla Klara - terẽ tẽ sã ti naszi a swinia a dze ona le lep wẽtknie, te oni sã slõdẽ za niã.

To je lëcho taczã swini - gõdalẽ ni lëdzẽ - ona nieborõk nie mõze rõz wẽtknac lepe z choinczẽ, od razu ti dwaji tẽ sã.

Swinia je swiniã a czlowiek czlowiekẽ - rzekla Mariczka Drawcowa, a te to im lëdzom richtich sztémowa.

Na ostatku Rutka rzek - tak to nie mõze jidz dali, mẽ jẽ muszimẽ z tẽ chojincze wëhalac.

Tak ni chlopi wzëlẽ kramólcẽ, Bruno Bięga wzã sztëk sztachetẽ a te oni szlẽ na nẽ choinkẽ ran. To so fejn przëzdrza. Tëli chlopów, kożdi mocni jak duz, a jakbẽ to bẽla wojna, te kazde wojsko bẽ przed nimẽ uceklo. To sã mësli, ale taczã chlopi to jednak majã kraft. Bialczie tẽz za nimẽ pobiegowalẽ, bo one chcelẽ widzec, jak to jima z tã swiniã pudzẽ. Klara z Wandã le dërch wolajã: buć, buć, a ni dwaji, Tóna z Fręcẽ, mërgajã medzẽ nẽmẽ chojnamẽ. Na ostatku Rutka, Bięga i jini chlopi wparzëlẽ w choinkẽ, a te to zaszemia a oni od raza wëbieglẽ nazod, taczã wëstraszeni, że nẽ bialczie so jich pitalẽ: cẽz wa tẽ widza chlopi?

Jan Drzeżdżon

W BUKACH

Bialczeno (2)

Nẽ ko swiniẽ, Tónẽ a Fręcã - rzek Rutka.

A nic wicy - pita so Truda Bialkowa - wa jęsta taczã wëstraszeni.

Nic wicy - gõdalẽ chlopi a nie chcelẽ dali nic gadac. Tẽ muszëlõ jesz co bęc, ne bialczie so mëslelẽ. Na ostatku oni zaczelẽ w nẽ choinkẽ strzelac. Nõprzõd wëszlẽ z niẽ Tóna z Fręcẽ a te podala jeden nos za drëdzim a lëdzẽ w Bukach so przeswiõdczalẽ, że terẽ na swinia je ju padlõ. Bõmẽ bëlẽ postrzelõne, a wietwẽ lezelẽ na stegnach a swinia tẽz.

Terẽ Tóna, Fręc a Wanda z Klarã urzeszëlẽ za jẽ nodzie linẽ a wleklẽ dodom. Ti drëdzi lëdze w Bukach so nõ to przëzeralẽ. Tak to muszëlõ bęc. Potemu oni szlẽ obzerac, dze to ji mia wsmarowónẽ. Ona mia dostónẽ wielẽ szosóf. Rutka gõdõl, że jeden to na pewno bël jęgo hip, bo to bẽlo widzec jak ona padla, jak on ji jednegõ pęk.

Ko to bẽlo wszẽtko mozlëwẽ, choinka nie bẽla dẽcht gëstõ, swinia bẽla sztõtamẽ z Buków dobrze widzec. Mõg to bęc Rutka, ona mia lep postrzelõne dẽcht tẽli, to wicy muszëlõ jẽ trafic. Zresztã z Buków do chojincziẽ nie bẽlo dalek a chto jesz miõl dobri cil, a przëložel, tak do oka, te on muszõl w nẽ swiniẽ trafic.

Wieczõr, jak ju nikogo ni bẽlo tak widzec na drodze ani w kól chęczi, a swinia wisa na drõbi a so swiēcëla, tak bẽla fejn oparzonõ, te w choinkẽ weszla stõrõ Bialczënõ a so rozezdrza w kól, a te so sadla na pień a rëcza. Ksëzec fejn swiēcõl, a w nim so blëkrowa tak samo wëmëtõ skõra swini i lzẽ Bialczënë. Ona tẽ bẽla nawet malo widzec w ti choincẽ, na glowie mia czõrnã chustẽ, a w rëce czij. Ona bẽla ju lëchõ na nodzie i od dõwna chodzëla prze cziju. Bialczënõ nie bẽla tak wielẽ widzec medzẽ lëdzamẽ. Terẽ, jak bël nen jõch ze swiniã, te ona zdrza przez okno, nawet nie wëszla buten. Ona malo gõda, choc w krõmie so ustapila a so blõs tak usmia.

Doma ona trzima trzẽ kotẽ, a lëdze mielẽ tẽch kotów strach. To bẽlo dziwnẽ, bo chtẽz bẽ so kotów bojël, ale te Bialczënë trze morëgowatẽ kotẽ bëlẽ jaczysz czësto jinẽ. Wiedno wieczõr te onẽ sedzelẽ na murze a zdrzelẽ na drogẽ, to tak wëzdrza, jakbẽ onẽ chcelẽ Bialczënë przed czimõs obronic. Mõze przed tim ksëzecẽ abo przed lëdzamẽ, chtẽz to mõzẽ wiedzec. Barzi pewno przed lëdzamẽ.

Na Jastre Klara mia no mięso swini uszmurowónẽ a te Fręc z Wandã bëlẽ zaproszony. Wanda so mia obleklẽ kled czerwiony w wieldzie biõle kwiate, a na põlcach dwa wieldzie strzëbrzne pierscienie. Jak ona poda komu rękẽ do przewitanie, te tak zebẽ tẽ pierscienie bëlẽ widzec. W Bukach tak so nie witalẽ dẽcht zebẽ so zare rękẽ podac, prawie jak przëszed chto cẽzy, nẽ te so poda. A jak Wanda węcyla tẽ swojã rękẽ, te tak pilowa w oczẽ, cze tẽz ten cẽzy zdrzi na ji põlce. W dõce te to nie bẽlo tak dobrze widzec, ale jak sloniszkõ bẽlo te jesz dõwa takã jasnoc z Wandzenëch põlców, a nen cẽzy zdrzi na ji põlce. W dõce te to nie bẽlo tak dobrze widzec, ale jak sloniszkõ te jesz dõwa takã jasnoc z Wandzenëch põlców, a nen cẽzy muszõl abo flot oczẽ zamknãc, abo zdrzec w jinã stronẽ, takã jasnoc to dõwa. Wanda to te richtich widza i zare so mëslela: niech ti cẽzy widzã, że bialczie w Bukach nie majã blõs ręk do

fudrowanie swini, ale złote albo strzebrne pierścienie na nich też mogą być.

Terę, jak oni weszli oboje z Fręcą w jizbę do Tónë, to też mia do nich wielki znaczenie.

Wanda przestała prężyć a so usmia, tak jak reno bialczie robią, jak wendą do koguż w jizbę, a te to doch bëłë Jastrą. Za nią so wtobaczól Fręc prze szlępsu, w bótach fajń wewęksowónych a so też podsmiół pod munią. Jak lędze w Bukach so pęznę usmieją, te to baro wielë znaczi.

Wanda z Klarą so przewitala i podalë so rękę, tak jak to robiłë z cezëmë, a te so ustąpiłë kol okna i zdrzą na drogę. Tę prawie nicht nie szed, tak one zaczęły gadac, że w tim roku Jastrą są wczas. To jesz je dęcht zëmno buten.

Chłopi stojelë po kónce stola z drędzie stronë a so zazelë. Tóna z Klarą też bëłë fejn oblekli. Klara miała bruną wólnianą spódnicę a te wólnianą jakę. Tóna miał czornicę, to so tak robią na Jastrą. Oni bëłë z rena w koscólë, a terę mogli przindz na goscenę.

Oni jedlë no szmurowóné mięso a so powiódalë, chto tego roku umar, dze bëłë chrzczënë. I taczë to bëłë Jastrą w Bukach.

Chtërny gódalë, że wieczór w choince coś wëło. Móże jacz strószk. Ale cheż bë so za tim czerowól. Chto wie, co to tę bëło. To, że Bialczënô sedza tam nego wieczora a rëcza, o tim nicht nie wiedzól, ale i ona o tim lędzom nie powiódla. Cęż tę lędze, ona so męslala. Ona nómili sedza w swoj jizbi zawito w wólnianą dekę a zdrza przez okno na drogę w Bukach. Koźdi dzén ona widza ten sóm mur, ten sóm plot a piósk pod nim. Czedesz to tak nie bëło, ale terę, czedë ona bëła stôrë te ona nôprzód widza, jak sloniszko so zabówia w tim pióskę a bëło jakbë przëpiarté o plot. Jakusz to mogło być, że ona tego czedesz nie widza, tak so wielë razy o tim męslala.

To je terę wszëtko jakbë jiné.

Bucze bëłë do nié terę jakbë klór, a czędiesz to ona miała dęrch czegoś strach. Nôprzód, jak przëszed ten ji chłop, terę on ju dówno nie żëje nieborók. Ona bëła skrëtó przed nim w szpini. Sztótamë ona zdrza przez dzurkę i widza jego szari krzept, a kónce bótów. On miał baro grëbi glos a jak on do tatka coś gódô, te w ti szpini jakbë grzëmia. Jak on wëszed, to oni ję tę wëwleklë wnet omglalą a muszële ję skropic zëmnią wodą.

Na drędzi rôz Stazijko - rzek tat - të mie so nie mdzesz po zódn szpini krëla, rozmia të!? Ona tatkwie bëła baro dobro, ale dęcht za krótko do niego nie szla.

- A cęż on od mie chce, ten Jan?

Në ko on so chce z tobą ożenic - rzekla nënka.

Ale cęsz wë gódôcë - rzekla Stazja - ko jô nie jem do żenieni.

A do czegoż të jes - rzekla nënka a wici nic nie góda. Stazja też bëła czësto sztël. Ona potemu o tim rozmiszla a so męslala, co ten młodi chłop od nié richtich chce. Ona doch mu ni mô nic zrobione, czemus on tu przëszed.

A po wieselim Stazja spa tidzén na szopce, a Jan koźdi wieczór stojól kol ni szopczy a wolól - pojżë Stazja, me doch jëmë żeniali.

Nié Janie - góda Stazja - të jes mie dobri, ale jô móm strach. Na ostatku ji so zrobilo zól Jan a zesza z né szopce, a terę Jan miał strach ję zarëszec. Cęż to bëła za obrota, to bëło czësto jinaczi jak kol jinëch lędzi. Zôs potemu, jak ję bialczë pitalë, jakusz to tę bëło z nim Janę, ona nic nie góda, a też one wicy so nie dopitiwalë.

(cdn.)

JAN
DRZEŹDŻON

TWARZ
SMĘTKA

Eugeniusz Gołabk

KWIÔTCZI I KLÔSCZI

o nowi ksążce
Jana Drzeżdżona

Gwëśno mało lędzy w całoscë i nié wiele wicy Kaszëbów mô czëtóné kaszëbsczë powiôstczë Jana Drzeżdżona. A szkoda. Jich to je strata. Pewno, że Drzeżdżon nie je letczy i czëtinić sę męczy... Ale je wórt sę pęznę namarachowac, żebë sę dokopac do skarbu.

Mogę sę wierę pochwalëc, że jô bëł jëdnym z piërszëch czëtiniów slédny ksążczy Jana Drzeżdżona pn. „Twarz Smętka”. Móm ję czëtóné jesz w maszinopisu i mogę rzec, że ta powiësc mie sę, na ogle widzała tak, jak też te poprzëdné jego powiôstczë. Ale zarô, z môla powiëm, że nie widzy mie sę nôdpis (miało być: „Twôrż Smętka” - nié: twarz) i dzëwuje mie, że autór ni mógł (abo nie zdąził) tego poprawic.

Nôprzód pęznę o stylu, w jaczim J. Drzeżdżon pisól. Bëto to, jak më wiëmë taczë eklekticznë sparłączenië rozmajitëch ôrtów i konwencji. Słowo „groteska” nié wiëdno do jego powiôstk je pasownë. Trafniëszë je miono, dzes przeze mie podczëtë: poetika snu. Po prôwdze u Drzeżdżona zwëczajné, codniowé zdarzenia przeplôtają sę z fantazją i cëdama. Czasë nie wiëmë czë to jesz je „jawa”, czë to le sę nama snije. Ale chcąc nie chcąc gnajëmë slôdë za nôremnyma męslama autora.

„Twórę Smętką” chtoś mógłbë uznać za opowiadanié jaczégos pustkowiôna spod Domôtowna. Jan lubił së wczuwać w dësze „prostégò” człowieka, a nawetk go to nie kosztowało za wiele. On tëch lëdzy dobrze rozmiôł, a nawetk czuł së, dzélë, jëdnym z nich. Bo Jan Drzeżdżón nigdë nie oderwôł së od swojëch domôcëch korzeni, a nawetk je dozérôł. Kaszëbizna bëła téż dzélë jego dësze, może nawetk tim nôwôżniészim. Prôwdac, on miôł distans do te wieszcégò żëcégò, ale znôł je od spôdku. A jego artisticznô wrzëlëwota pomôgła mu uzdrzec w nim „szarim” żecym „prostëchnëch” lëdzy skarbë pominiëté przez jinszëch autorów. W jego powiôstkach, téż w „Twarzë Smętką”, tak jak na kaszëbskich wësiwankach, pólné kwiôtczi skłnïą së jak kosztowné pôcôrczi.

W „Twarzë Smętką” téż së objawił nen znóny ju nama temperament J. Drzeżdżóna. Mómë tej odwôżné skoczë z jawernotë do czësti fantazjë, obrazë komudné, pełné bólu i strachu, a tej przëspieszenia akcji, jãż do rozbuclu. A wszëtko na pogrànczim kiczu...

Sã, jak më wiémë, wszëlëjaczë ôrtë grotesczë. Czësto jinaczë to wëdzrzi, wezmë u A. Kuśniewicza, G. Grassa, J. Haszka, N. Gogola. Ale u M. Cervantesa mómë podobny ôrt smiésznotë, a przë tim nen dobrotlëwi smiëch przez lżë i përnë sprośnosć. Tam najiukô szlachetnosć don Kichota je zestawionô z okrutną powszednoscią, np. czëj szlachetny wojôrz leżi pobiti i oblóny smiërdzącym mlékë. Tu téż mómë szlachetnosć, np. Markusa i Grëtë, posëniëtã jãż do bosczë przesadë. Ale mómë téż në wiôlgã smiërdzącã grëpë, nawalonã wëstrzód chojnë. Sã téż smiészne obrôzczi z akcentama eroticznyma, czëj bialczë, co kapałë së w błotku, muszã ucekać przed pijawnicama i së sësã na słuńcu. Je straszón wojna, w chtëry zamiast bômbów lecã klôsczi...

Pewno, że nié we wszëtczim J. Drzeżdżón je piërszi, oryginalny. Përnë podezdrzôł tu i tam. Wezmë, në kanónë z kulã na linie pòżëczil od Buszësza. Jinô rzecz, skądka pòżëczôł A. Budzesz... Ale, jak bë nie bëło, J. Drzeżdżón popchł najë lëteraturë o bëłny krok w przôdk. Tëgo dzëła ërë mu nicht nie umknie.

Ale terô jëdna zastrëga, zôł (możë nié dëcht czësto sprawdzilëwi): hëwo ni ma w „Twarzë Smętką” jëdny wërazny dejë, taczë jak np. w „Rémusu” A. Majkowsczégò - wëbawienié zómku - kaszëbiznë. Smëtk, prôwdac, wnetk ten sóm co w ksãżce A. Majkowsczégò, së tu téż ukazëje, nawetk straszniészë jak tam. Ale „Rémus” bëł programowô optimisticzny. A tu, u Drzeżdżóna Smëtk jakbë dobiwô i ni ma nôdzejë, że jego panowanié së czëdës skuńczë. Prôwdac, na kuńcu ksãżczë je „happy end”, ale jakos nie jesmë przekonóny, że Smëtkã diôblë wzëlë... i że on së zôs spod ti Bielawë nie wëkraglëje.

W ti përnë mëtny ideologii „Twarzë Smętką” je jëden wëraziészë cëch. Bo më së docygómë, że jëdnak autôr mësli wëbawic nen kaszëbsczë „zómek” przez poezjã. Wezmë nen obrôzk, czëj no dwoje upichanców, pôra kaléków, nôbarżë we wsë zgardzonô unôszô së w lëft na balicë zaprzëgli w kôłpia. Autôr chcôł wierë rzec, że takô niedołożnosć i wrzëlëwota dzecka sã wicy wôrt od lëdzczë chitrosć. Je w tim wszëtczim narôż tragizm i smiésznota. Tragizm kaszëbsczégò poetë, samotnégo w swojï nadlëdzczë wrzëlëwoce, chtërnégò swojincowie wikszi dzélë nie rozmiëjã. Je to gwësno jaczis pomiôn doswiôdczeniô autora „Twarzë Smętką” - „donkichotëriô” Drzeżdżóna. A bëł to dramat cëhégò, niesmiãlégò „proroka”, co próbówôł zmiëniwac nen lëchi swiat za pomocã słów zarzëklëch w ksãżkach. ■

Jan Lipuski

Poeta, który

„Të odszedł od nas tak chutko i na wiedno” - mówił poeta Jan Trepczyk, żegnając „wiôldziégò sëna kaszëbsczë zemi, lubotnégo drëcha” Jana Rompskiego 5 stycznia 1970 roku na cmentarzu w Kartuzach. Jan Rompski, podobnie jak jego szwagier Jan Trepczyk, był czołową postaciã wśród Zrzeszińców, grupy ideowo-literackiej skupionej wokół pisma „Zrzesz Kaszëbskô”. Zmarł w wieku 56 lat; 8 grudnia bieżącego roku mija 80. rocznica jego urodzin.

Jan Rompski należy niewątpliwie do wybitnych twórców literatury kaszubskiej. Mimo że był autorem wielu utworów, przede wszystkim wierszy i dramatów, poza publikacjami w prasie i pracach zbiorowych, za życia nie doczekał druku żadnej samodzielnej książki. Jak zaznaczył Ferdinand Neureiter w „Historii literatury kaszubskiej” Jan Rompski „był fanatycznym nacionalistą kaszubskim i musiał wiele w życiu wycierpieć z powodu swojej bezkompromisowości”. Etnograf prof. Maria Znamierowska-Prüfferowa, która przez kilkanaście lat śledziła jego karierę zawodową, pisała o nim: „Nielatwo jest scharakteryzować człowieka o tak skomplikowanych cechach osobowości. Jan Rompski był typem wodzowskim, człowiekiem silnym, twórczym, bardzo pracowitym, wkładającym energię, inicjatywę i pasję w swoje prace, przy jednoczesnym wysokim stopniu uspołecznienia. Był patriotą kaszubskim”.

Istnieje niewiele publikacji o życiu i twórczości Jana Rompskiego. Większość jego niedrukowanych prac znajduje się w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie. Z jego życiorysu dowiadujemy się, że urodził się w Kartuzach, „jako syn małorolnych gospodarzy z tego samego powiatu”. Już w okresie dzieciństwa, jak mówi w wierszu „Lubienie”, zaczęło narastać w nim kaszubskie i twórcze „odecknienie”. „Jedno miôł jem lubienié/ W szkołowi knôpa ławie: /Czëtac snôże spiëwanié/ Poetów naj o sławie. /Lërë zarzëkl Heyka w mie /Remusa kôłpów szorë/ Czël jem nocã w cëchim snie, /Jak czëjbë grałë borë”.

Bardzo wcześnie zaczął publiczną działalność na rzecz odrodzenia kaszubszczyzny. W 1927 roku ukończył szkołę powszechną w Kartuzach, a dwa lata później, gdy miał zaledwie szesnaście lat, w jego domu rodzinnym powstało biuro organizacyjne zjazdu założycielskiego Zrzeszenia Nauczycieli Kaszubów, który w istocie zapoczątkował działalność Zrzeszińców i ich pisma „Zrzesz Kaszëbskô”. Komitet zjazdowy, na czele którego stanął Aleksander Labuda, późniejszy przywódca Zrzeszińców, postanowił zawiesić nad biurem organizacyjnym, obok flagi narodowej, także chorągiew czarno-żółtą, symbolizującą barwy kaszubskie. Decyzja ta spotkała się z ostrą reakcją kartuskiego starostwa, które nasłało na organizatorów policję. Aleksander Labuda przywołując to wydarzenie, przyznał się do słabości i bezradności wobec poczynąń ówczesnej władzy. Gdy zwrócił się o radę do Jana Rompskiego, ten bez wahania odpowiedział:

chciał być wichrem

„- Co robić? To są chorągwie nasze, kaszubskie. Tych chorągwi nie damy usunąć, chociażby się nam o nie bić przyszło z całą policją kartuską. Symbole kaszubskie mają prawo bytu na ziemiach kaszubskich.

Spojrzałem mu w oczy - wspomina Labuda - zobaczyłem w nich po raz pierwszy prawdziwego Jana, całą jego zdecydowaną wolę. Taka z nich biła energia i siła woli, i zdecydowanie, że pomyślałem sobie: takie oczy chyba mógł mieć jedynie Napoleon pod Austerlitz”.

Po ukończeniu szkoły powszechnej, z powodu trudnych warunków materialnych, nie mógł kontynuować nauki w szkole średniej. Zaczął uczyć się rzemiosła drukarskiego. Później umiejętności te mógł wykorzystać w składaniu debiutanckiego śpiewnika Jana Trepczyka „Kaszëbski piesniôk” oraz przed - i powojennej „Zrzeszë Kaszëbsczî”. Naukę gimnazjalną rozpoczął najpierw w Kartuzach, potem kontynuował ją w Krakowie. Naukę przerwało mu powołanie do służby wojskowej. Egzamin dojrzałości zdał jako ekstern w Gimnazjum im. Marii Magdaleny w Poznaniu w 1937 roku. Skromne warunki materialne nie pozwoliły mu podjąć studiów wyższych, zaczął więc pracować w drukarniach w Wielkopolsce, w oświacie pozaszkolnej. W tej samej miejscowości pracował jako nauczyciel Jan Trepczyk, oddelegowany tam przez władze oświatowe za działalność kaszubską.

Dzięki pomocy burmistrza Teodora Bolduana zaczął Rompski w 1938 roku pracować jako kierownik referatu opieki społecznej w Urzędzie Miejskim w Wejherowie. Pracował tam do wybuchu wojny. Jeszcze we wrześniu 1939 roku został aresztowany i internowany w obozie Gross-Born - Borne Sulino w dzisiejszym województwie koszalińskim. Po zwolnieniu z internowania początkowo był pomocnikiem piekarskim, a od wiosny 1941 do 1943 roku konduktorem i robotnikiem warsztatowym w miejskim przedsiębiorstwie komunikacyjnym w Gdyni. Pod koniec 1941 roku rozpoczął działalność konspiracyjną w Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” i wkrótce został II komendantem miasta Wejherowa, obierając sobie konspiracyjny pseudonim Gryf.

Kaszubska poetka Agnieszka Browarczyk, która po aresztowaniu męża została sama z małymi dziećmi i prowadziła piekarnię, okres ten wspominała jako bardzo trudny. „W czasie okupacji - pisała we wspomnieniach, które zrodziły się z inspiracji Jana Drzeżdżona - przyszedł mi z pomocą Jan Rompski, jako podkomendant tajnej organizacji. U mnie w mieszkaniu odbywały się tajne narady. Sklep i interes piekarniczy, w którym brał udział Jan Rompski, bieżący kontakt z klientami nie rzucały podejrzeń na punkt kontaktowy konspiracji. Przez okres dwóch lat konspiracja działała bez jakichkolwiek podejrzeń. Nagle w moim domu Rompski zostaje aresztowany przez gestapo. Umożliwiający w ostatniej chwili ucieczkę Rompskiemu przez przytrzymanie drzwi, zostaje razem z nim aresztowany. Po tygodniu mnie wypuszczono, a Rompski zostaje wywieziony do Gdańska.

Po wielkich trudach i skomplikowanych staraniach dowiaduję się, że Jan Rompski został aresztowany omyłkowo. Po odbyciu narady tajnej organizacji podjęto decyzję, aby ratować naszego komendanta. Jeden z członków organizacji zawiera znajomość z oficerem SS i biorąc



Fot. Z. Zgierun

pół świni jako nagrodę, jadą razem do Gdańska. Po wyjaśnieniu sprawy i krótkim śledztwie Jan Rompski zostaje zwolniony z aresztu. Po pół roku zostaje ponownie aresztowany przez gestapo i wywieziony do Stutthofu. Ze Stutthofu Rompski przekazuje do mnie krótkie listki, abym jako członek i łącznik konspiracji pomagała żywnością partyzantom ukrywającym się w bunkrach”.

Natychmiast po wojnie, tuż po zwolnieniu z obozu, Jan Rompski podjął aktywną działalność kaszubską. Został członkiem kolegium redakcyjnego wejherowskiej „Zrzeszë Kaszëbsczî” i samodzielnie redagował dodatek literacki tego pisma „Chëcz”. Poza pracą redakcyjną, stworzył w tym okresie, jak mówił Jan Trepczyk, wiele „widzałëch dokôzów”. W jego poezji znaleźć można zarówno „strzeliste” zachwyty nad niezwykłością i bogactwem natury, nad swoistą „dziwnością” ludzkiego istnienia, ale nade wszystko radość z wzrastania kaszubskiej sprawy, głęboką wiarę, że nastaną czasy wielkiej pomyślności dla kaszubszczyzny. Podmiot liryczny w jego poezji to człowiek uosabiający pokolenia „dzejôrzów”, człowiek w pełni oddany sprawie i nieustannie pokonujący różnorodne przeszkody na drodze kaszubskości, aż wreszcie: „Pëkô lińcuch, co bëł mu zôwadze. /dobiwô jego dokôzu dejô! Triumfë, moc leno dëcha dzejô!”.

W 1945 roku realizuje wreszcie swoje wielkie marzenie i rozpoczyna studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Studiując etnografię pod kierunkiem prof. dr Bożeny Stelmachowskiej nie tylko bierze czynny udział w licznych pracach naukowo-badawczych, ale także aktywnie działa w życiu akademickim, jako prezes Studenckiego Koła Etnologów, członek „Bratniej Pomocy” i chóru UMK, uczestniczy również w pracach ówczesnych związków kombatanckich.

Po studiach, których owocem była praca magisterska pt. „Smętek kaszubski”, nie mogąc znaleźć zatrudnienia w swoim zawodzie, zajmował się poszukiwaniami archeologicznymi, a później zbieraniem kaszubskiego folkloru muzycznego. Od 1952 roku pracował na kierowniczych stanowiskach w muzeach w Gdańsku, Grudziądzu i Toruniu. Gdy po Październiku 1956 roku powstało

Moja zemia

Moja zemia, moja chęcza!
 W ji prostěchny zdrzôł jem dimk.
 Jakbë w modłach ona klęcza -
 Stądka žecô brała rimk...

Tëli drogów - moja dróżka!
 Tam motor draszëje reż.
 Wszetko dobri z chęcze krążka -
 Pitom siebie: „Co jesz chcesz”?

Chcę jesz spiëwe moji rodny!
 Młoda pażec - gdzie mój lud
 Swëgo szczescô w chęczech głodny -
 Dniowi mierzec muszi trud.

Skra ormuzdowa

Nigle skra Ormuzdowa w szuńc sę rozpôla
 I rozgrza wiehców mojih popiôł,
 Skra w moji dësze sę rozchlasta, żôla,
 Że w tuńc ze swiatem jô znów upiął...

To ni nen rozblek szed w dejowi wrëje
 I sôd so midze tasczi, worzte,
 Żebë wej widzôł jak stożelc so żëje,
 Czej burzon chlastnął midze chrôste!

Jeden mie liznął płomienisti wijok,
 I spôlël, przëskwarzël na grużel.
 Z gwiondzów mie wiecznëch bił godzenów bijôk
 I głos szed: syn mój niech mdze służël...

Wierzec mie musisz, jô, grużel z naj pola,
 Że bębnic mdę w te wieka trëmów,
 W zeleska, kâkel co zaszła jich rola,
 Co najëch wëprzą mie sę rëmów!

Omona swiata niech mdze nama cëzô
 Niech mowa, pole, morze cygnie
 W parłecz nas! Dzejani okrët niech wozy -
 Nick z nowëch rejów go nie scygnie!

Moja dzys spiëwa, wej, w szuńc sę rozpôla -
 Lud rozgrzôł swojëch dzejów popiôł!
 W jego chęcż skra spadła - rozchlasta, żôla!
 Na sjat! i w žëcy żôgle rozpiął...

Zrzeszenie Kaszubskie, włączył się aktywnie w działalność tej organizacji, reprezentując, jak i inni Zrzeszińcy, formację silnie podkreślającą kulturową odrębność kaszubszczyzny. W pracy „Moje życie” Jan Trepczyk przywołuje takie zdarzenie: „Pan Machno, I sekretarz PZPR w Gdańsku, uczestnicząc w jednym z zebrań Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubskiego, wyraził oficjalnie swoje oburzenie, gdy jeden z uczestników (J. Rompski) przemawiał w dyskusji po kaszubsku. W roku 1960 zarządzono rewizję u Rompskiego w Toruniu, Stefana Bieszka w Chełmie i Aleksandra Labudy w Tłuczewie”. Według Tadeusza Bolduana, ówczesnego redaktora naczelnego dwutygodnika „Kaszebë”, rewizji tej dokonano zarzucając Zrzeszińcom wspieranie rewizjonizmu niemieckiego. Na tym jednak sprawa się nie zakończyła. Władze Zrzeszenia musiały wybrać: albo odbędzie się proces oskarżonych, albo organizacja sama ukarze Zrzeszińców. Władze Zrzeszenia wybrały „mniejsze zło”, wykluczając z organizacji Aleksandra Labudę i zawieszając w prawach członkowskich Jana Rompskiego. Osądzony i potępiony przez najbliższych „drëchów” poeta pisze z rozgoryczeniem: „Przeżywôsz ciężką, gorzką chwilę! / Nurkę zdrzą tu, jakbës nie bël potrzeb”.

Mimo że został poddany swoistej kwarantannie wydawniczej, lata sześćdziesiąte należą do najaktywniejszego okresu twórczego w jego życiu. Jest to również czas jego szczególnej aktywności zawodowej. Jako kierownik muzeum w Grudziądzu przeprowadza poważne prace organizacyjno-inwestycyjne. Z kolei w Muzeum Etnograficznym w Toruniu, gdzie w 1966 roku obejmuje dział budownictwa ludowego, do nowej pracy zabrał się, jak wspomina prof. Maria Znamierowska-Prüfferowa, „z całym zapalem, oddaniem i pasją, choć była ona często żmudna, bardzo uciążliwa i jakże daleka od Jego marzeń o poświęceniu się badaniom folkloru Kaszub”. Ale jak notuje w innym miejscu: „dorywczo gromadzi materiały do folkloru Kaszub, a nocami pisze wiersze, opowieści, dramaty, komedie”. „Żëje wiedno - jak zapamiętał Jan Trepczyk - we wiecznym gonie, pospiëwaniu sę”. Gdzie indziej natomiast odnotował: „Më go znele wiedno usmionëgo, skopicą redotë žecëgo, choc bënë se baro głëbok przeżywôł każdą zwënëgę, ale i téż każdy stracenk w swoim dzejanim”.

Zmarł nagle, po krótkim pobycie w szpitalu, 30 grudnia 1969 roku, tuż przed uzyskaniem stopnia doktora za pracę o mitologii kaszubskiej i przeniesieniem do przymuzealnego skansenu w Toruniu chaty kaszubskiej. Jan Rompski, jakby przeczuwając swoją przedwczesną śmierć, nie tylko wciąż się spieszył, oddawał się szaleństwu intensywnej pracy, ale również utrwał te niepokoję ducha w swoich rzeczach literackich, tak jak w tych oto wersach: „Taczië žecë biwô, nie wiësz jak, czej / Jesz słuńce złotë dësżę grzeje / a serce sę do žecô smieje, / W nym urwią žecô przëdżę Parczy, /abo w pichu, kurzu ce znikwi los / Jaż scëchniesz - zlegniesz w cemné zarczy...”

Czas na książki pisarza przyszedł po jego śmierci. W 1970 roku ukazał się jego debiutancki tomik poezji „Pômiôn zwónów”. Trzy lata później wyszła drukiem jego praca naukowa o kaszubskim zwyczaju ludowym „Scinanie kani”. W 1980 roku Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie wydało obszerny tom wierszy Jana Rompskiego pt. „Wierztë”. W 1987 roku ta sama oficyna wydała jego komediową sztukę sceniczną „Jô chcę na swiat”. Wciąż na wydanie czekają rękopisy jego wierszy, opowiadań, dramatów. ■

Trafila mi w ręce książka, którą uznałem za cymelium. Otóż są to wspomnienia szwedzkiej arystokratki Ellen von Platen z podróży po Prusach, którą odbyła ona w 1915 roku. Książka nazywa się „Harjat och bärgat. Minnen fran de mäsursiska sjöarnas land”. (Opustoszone i uratowane. Wspomnienia z krainy jezior mazurskich) i ukazała się w 1916 roku. Tytuł jest dwuznaczny, można go też tłumaczyć jako: Przeorane i owocujące plonami.

Chcę tu zaprezentować pierwszy rozdział tej książki, poświęcony wizycie w Gdańsku (w dalszej kolejności autorka opisuje pobyt między innymi w Elblągu, Fromborku, Olsztynie, Pisz, Giżycku, Elku aż po Królewiec).

Ocenę naiwności, sentymentalizmu, germanofilstwa i słowianofobii (oraz stylu) pozostawiam czytelnikom.

Myślę, że wrażenia i stereotypy szwedzkiej arystokratki nabierają szczególnego znaczenia widziane przez pryzmat historii, szczególnie po drugiej wojnie światowej. Przyszłe wydarzenia rzucają cień na obecne - tak widział historię Hegel. Wykorzystajmy filozofię Wielkiego Prusaka do refleksji nad książką Ellen von Platen. Dla nadania tonu tej refleksji przytoczę fragment ze wstępu do tego osobliwego dziennika podróży:

„Nie mniej zachwycam się w Niemczech tym, że ludzie nie dali się zwieść narodowym i nienawistno-wojennym uczuciom do swoich wrogów. Niemcy próbowali znaleźć przyczyny psychologiczne, które by wyjaśniły, czemu mają tak dużą ilość zawziętych wrogów. Uważają oni teraz, jak i my w Szwecji, że narzekania i prześladowania mają swoje głębokie źródło w zawiści, wywołanej obawą przed wielką mocą rozwojową narodu niemieckiego, co dotyczy zarówno sfery ekonomicznej, socjalnej, jak i politycznej. A ja nigdy nie słyszałam Niemców inaczej mówiących o swych przeciwnikach niż tylko w chwalebnych słowach”.

Andrzej Chojecki

Ellen von Platen

GDAŃSK

„Nie płacz, dziecko, przecież ojciec wróci” - tak wołał na dworcu w Berlinie niemiecki żołnierz do swych małych dziewczynek, które stały szlochając, podczas gdy pociąg wyruszał w drogę ku frontowi wschodniemu.

Umieściliśmy się, moje dwie niemieckie przyjaciółki i ja, w jednym z przedziałów trzeciej klasy, które niosły ów z wyglądu nie kończący się strumień ludzi dążących do miejsca działań wojennych. Gdańsk był naszym najbliższym celem, miałyśmy zatem większą część dnia, by móc poznać naszych towarzyszy podróży. Pierwszy zaczął od pytania, czy pozwolimy mu zapalić, czego naturalnie nie można odmówić zwykłym żołnierzom frontowym. Wkrótce rozmowa była już w pełnym toku.

Mamy ze sobą torbę z jedzeniem i oni też mają torbę z jedzeniem: wiśnie, porzeczki, agrest, które jeden z nich, jak wyznaje z dumą, zrywał własnoręcznie na swej działce pod Berlinem. W czasie pokoju jest geodetą, inteligentny, wykształcony człowiek, który umie się zachować. Tak jak wszyscy inni Niemcy, z którymi rozmawiałam - chce nam ofiarować Finlandię i wymaga to dość dokładnych wyjaśnień, czemu my nie życzymy sobie powrotu „kraju tysiąca jezior”.

„My wszyscy wiemy, czego bronimy”, wtrąca 25-30-letni postawny artylerzysta siedzący naprzeciw nas, kiedy słyszy jak Finlandia jest rozbita przez walki partyjne. „Nasze 42-centymetrowe działa dają silne efekty. Byłem na froncie zachodnim od początku wojny i dobrze się czuję w życiu polowym”.

Jest kucharzem w jednym z większych hoteli berlińskich.

„Wikt na froncie jest znakomity”, mówi, „i ci, co narzekają na żarcie, robią to bez powodów. Służyłem też przy działach Gulasch, ale lepiej się czuję przy »długim Maxie«, który wali niesamowicie. Francuz, to przynajmniej »ein guter und ehelicher Feind«, ale Anglicy, którzy w pierwszych szeregach wysyłają swych kolorowych a sami, siedząc z tyłu w okopach, strzelają z karabinów maszynowych - tym możemy okazać tylko naszą pogardę”.

Tak rezonował kucharz, a jego oczy zabłysły w podzięcie, gdy moja przyjaciółka dała mu czterolistną koniczynkę. Znalazła ją w tej samej chwili, gdy biły dzwony na mobilizację, i miała nadzieję, że koniczynka będzie dla żołnierza dobrym znakiem.

Moja towarzyszka podróży, panna Giere, mieszkanka Prus Wschodnich i kuzynka podsekretarza stanu Richtera, ofiarowała całkiem bezinteresownie swój trzytygodniowy urlop, by towarzyszyć mi



ze zbiorów S. Figlarowicza

w swe rodzinne strony i poprzez swoje liczne powiązania być mi pomocną w podróży.

Taką samą spokojną pewnością siebie jak u kucharza-artyleryzisty można było wyczytać w twarzach innych mężczyzn. Jeden z nich, kupiec z zawodu, był czasowo odesłany do domu z powodu tyfusu i z dumą pokazywał nam fotografię żony i czwórki dzieci. Inny, mieszkaniec Prus Wschodnich, miał żonę przy sobie a wraz z nią najmłodsze, jeszcze karmione z butelki, dziecko siedzące na kolanach. Rodzina wracała teraz do spalonego przez Rosjan domostwa. Teść, człowiek około pięćdziesiątki, został uprowadzony, nie wiedząc, do jakiej miejscowości, gdzieś na Syberii. Gdyby najstarszy chłopak nie był z wizytą u sąsiadów, to podzieliłby los teścia.

A mimo wszystko nikt, żaden z nich nie poskarżył się o to, co musiał ofiarować. Długi rząd przedziałów trzeciej klasy cechował ten sam obyczaj, żadnego pijanego, chociaż piwo dostępne było na wszystkich większych stacjach. Daj Boże, by nasz szwedzki naród poszedł kiedyś wrogowi na spotkanie tak przytomny jak ci żołnierze! Wówczas zwycięstwo byłoby pewne!

Gdańsk jest dla większości objawieniem. Jeździ się do Norymbergi i Rothenburga, by podziwiać średniowieczną architekturę, ale nie do Gdańska, który w tej mierze ma bardzo dużo do zaoferowania. Krążyliśmy zachwycone po ulicach, a moja druga towarzysząca podróży, artystka, wszędzie znajdowała najbardziej oszałamiające motywy do swego szkicownika. Przez lata była osiadła we Florencji, ale musiała zostawić dzieci i męża, znanego rzeźbiarza Hugona Elmquista, na czas wojny, ponieważ jej pobyt we Włoszech, jako rodowitej Niemki, był niebezpieczny.

W osobie dra Seckera znaleźliśmy najlepszego cicerone po starym, patrycjuszowskim mieście. Był on intendentem i w większej części twórcą Muzeum Miejskiego (Stadtmuseum), które urządzone zostało dla pomieszczenia publicznych zbiorów sztuki w starym klasztorze franciszkańskim. Drewniane rzeźby, mosiężne figury w starych, ceglanych kościołach gotyckich są najwyższej artystycznej próby, zaś wnętrza bogatych domów kupieckich z XV i XVI wieku można zaliczyć do najbardziej zachwycających. W Gdańsku rodzili się znaczący malarze: słynny miedziorytnik Daniel Chodowiecki (1726-1801), rodzina Meyerheimów, ojciec i syn, a wśród filozofów Schopenhauer.

Dziwne, ale Gdańsk został oszczędzony w poprzednich wojnach, natomiast teraz nie oczekiwano podobnego losu. Tak ogromne bogactwa, jakie tu się znajdują, powinny być chronione i nawet cele wojenne nie mogą tłumaczyć ich niszczenia. Jak do tej pory jednak Rosjanie nie odważyli się tu dotrzeć i mało prawdopodobne jest, by teraz to uczynili.

Landeshauptmann baron Senfft von Pilsack, najbliższy człowiek nadprezydenta von Jagowa, jest niezmiernie ważną osobistością w prowincji Prus Zachodnich. W jego i jego pięknej żony gościnnym domu spotyka nas najserdeczniejsze przyjęcie i przyjaźń - jakkolwiek dziwnie to brzmi - pochodzącego z Wysp Samoa barona Pilsacka; przyjaźń do Szwecji i Szwedów, dzięki obecnemu gubernatorowi Cedercrantzowi i jego najbliższym ludziom. Naszego krajana na pewno ucieszy, że jego syn chrzestny, pierwotny landeshauptmann Pilsacka z Samoa, w wieku 24 lat zasłużył na krzyż żelazny I klasy. Młodszy syn, osiemnastolatek, jak do tej pory musi się zadowolić krzyżem żelaznym II klasy. (Jeden z młodych poruczników von Pilsack później zginął - przypis autorki). Ich towarzyszem z regimentu i przyjacielem jest znany nawet i u nas porucznik Otto von der Linde, który z niewielką liczbą ludzi jako eskortą zdobył fort. Córka z tego domu pracuje jako pielęgniarka przy froncie wschodnim.

Był wśród gości profesor dr Friedrich Luckwaldt, którego ostatnia praca „Die Vorgeschichte des Krieges”, zapewne jest jeszcze u nas nieznaną, ale nawet on - mężczyzna w swych najlepszych latach - miał za kilka dni ruszyć pod sztandary. Płomienny napis „Lud do broni” widnieje przed nami wszędzie.

I oto, gdy przybywamy kilka godzin później do wspaniale położonego nad morzem kąpieliska Sopot, któż by zgadł, że znajdujemy się pośrodku szalejącej wojny! Spacerują tu po wspaniałych promenadach biegnących wzdłuż morza wyraźnie radosni i szczęśliwi ludzie. Jakaś kapela przygrywa na wolnym powietrzu, przed przepięknym hotelem grają fontanny wodne, a małe dzieci bawią się wśród leżaków w miękkim piasku. Jest to najmiłszy wieczór z grą świateł zachodu słońca nad morzem, jakiego nigdy się nie zapomina. Jedyne, co skrzeczy o powadze wojny, to kontury kilku pancerników na horyzoncie.

My sami mieliśmy, dzięki konsulowi szwedzkiemu, radcy handlowemu Behnke, okazję, by przemierzyć trasę Gdańsk - Sopot drogą wodną na będącym do dyspozycji „Regierungsdampfer”. Port wypełniony flotą wojenną i okrętami podwodnymi robi imponujące wrażenie. Wejście do portu zostało właśnie pogłębione, tak że nawet największe okręty mogą czekać w porcie gotowe do wyprawy. Oficerowie marynarki płoną z chęci pójścia w ogień walki. Jeden z nich, komendant floty kutrów torpedowych, opisywał nam w żywych kolorach swój udział w bitwie pod Gotlandią. „Rosjanie strzelają dobrze”, mówił, „i czystym przypadkiem jest, że udało mi się ująć cało na moim kutrze torpedowym”.

W towarzystwie landeshauptmanna Senffta i naszego szwedzkiego konsula mieliśmy wolne wejście wszędzie - nawet do obozu jeńców rosyjskich na wyspie Troyl pod Gdańskiem. Już w drodze widzieliśmy kilku Rosjan w szarożółtych mundurach, zajętych robotami portowymi. Kiedy zesłiliśmy z naszego „parowca rządowego” na ląd, poprowadzeni zostaliśmy przez oficera dyżurnego do różnych warsztatów. W warsztacie szewskim reperowano zniszczone w czasie wojny obuwie, krawcy szyli, a w wielkich kotłach na wolnym powietrzu parowała zupa gotowana na ryżu i śliwkach, na wieczorny posiłek. W stolarni mogliśmy obejrzeć próbki doskonałego rzemiosła artystycznego i zabraliśmy stamtąd rozliczne prace, które sprzedawano na własny rachunek jeńców, tak że mogli sobie za to kupić po niskiej cenie w kantine obozowej nieco rozmaitości - nawet chleb nie na kartki!

Po ich wyglądzie widać było, że dobrze się tam czują, a jest ich ponad dziesięć tysięcy. Nie mogą pozostawać bez zajęcia, ponieważ są, jak wszyscy wiemy, korzeniami i zaczątkiem całego zła. Mogą natomiast założyć sobie mały ogródek warzywny, hodować króliki i kury, mają gimnastykę i kręglarnie w wolnych chwilach.

Przybyliśmy na czas, by otrzymać próbkę muzycznego i scenicznego talentu Rosjan. Przedstawienie zaczęło się muzyką orkiestrową, zagrany z rozmachem „Deutsche Melodien”, które przeciwiczyli pod dyktando własnego dyrygenta. Potem podniosła się kurtyna, odsłaniając własnymi siłami urządzoną scenę, na której chór złożony z 20-30 mężczyzn wykonał kilka pełnych temperamentu rosyjskich pieśni, co zostało nagrodzone, zarówno przez nas, jak i krajana w szarobiałych bluzach, żywymi oklaskami.

Jako clou przedstawienia wyszło na scenę kilku młodzieńców ubranych w stroje kozackie, znakomitych tancerzy, których pokazy były przeplatane występami kilku skaczących i tańczących komików ucharakteryzowanych na murzynów i pajaców. Widownia była zachwycona.

Naturalnie nie omieszkaliśmy obejrzeć prawie najważniejszego oddziału obozu jenieckiego: zakładu

dezynfekcji, „das Lausoleum”, jak go tu żartobliwie nazywają. Osiemset osób mogło tu, po tym wszystkim, co przeszły, być uwolnionych od pasożytów. Procedura tyleż konieczna, co skuteczna, o czym świadczy fakt, że początkowo trzysta osiemdziesiąt osób zachorowało na tyfus plamisty, ale z tej liczby umarło zaledwie trzydzieści pięć osób. Później wyznaczono cenę 20 marek za każdą złapaną żywą wesz. Korzystna przynęta nie przekracza obecnie wartości łupu. Rosjanie sami zaczęli już zauważać korzyści płynące z dezynfekcji i sami też, w razie potrzeby, starają się zdobyć od czasu do czasu nieco proszku kreozolu.

Mieszkają oni w obozach po 2500 osób w „alte Kasten” - znajdujących się przy brzegu, zdobytych na Anglikach statkach. Na jednej z map w obozie zaznaczone były aktualne pozycje różnych armii. Gdyby tylko ów humanitaryzm, którym było przeniknięte życie na wyspie Troyl, dotarł w jakiejś mierze do wysyłanych przez wielkie cesarstwo „barbarzyńców”...

Dzień pierwszy sierpnia, rocznica przystąpienia Niemiec do wojny światowej, świętowany był w Gdańsku w szczególny, uderzający sposób. Z rana odbyło się nabożeństwo w wiekowej, wspaniałej katedrze „Marienkirche”, na które przybyły grupy ludzi z bliska i daleka. Starzy i młodzi (...) - wszyscy, to było widać, chcieli tu szukać wewnętrznej siły na najbliższe lata, którym szli teraz naprzeciw pod znakiem bojowym. Bardzo ujmująco zabrzmiało pod sklepieniem „Nasz Bóg jest naszą ogromną twierdzą” i rozumiało się, jak może nigdy przedtem, żywą rzeczywistość, która kryła się za słowami: „Wenn die Welt von Teufel wär, so fürchten wir uns nicht so sehr” etc. Predykant, archidiakon Brausewetter, który właśnie powrócił z frontu zachodniego, zaświadczał w gorących słowach, jak to doświadczenie całego życia nie dało mu takich wspomnień, jak dni spędzone przy polu bitewnym i w rowach strzeleckich. Mówił o tym, jak odważnie żołnierze szli na spotkanie śmierci, bez skargi, choć często z olbrzymim cierpieniem. Opisywał miejsce ich ostatniego spoczynku, tam daleko w obcej ziemi, jak czule przystrojone jest kwiatami przez kolegów, którzy - także i oni - gotowi byli na spotkanie tego samego losu za swą ukochaną ojczyznę. „Ale czy my tu w domu”, pytał zebranych „dojrzelśmy do błogosławieństwa pokoju? Czy zdobyliśmy w czasie tych lat próby wszelkie cnoty, które nas upoważniają do tego?”

Jako obca i gość wysłan z tego nabożeństwa z uczuciem pokornej samokrytyki. Ów naród, który tak czuje i tak żyje, nie może być zwyciężony, niechby nawet i przybył „die Teufel all”. Od małego, ubranego niedzielnie chłopca z ludu, który wyciągał do mnie swój psalterzyk, bym mogła przeczytać, aż po księżnę (następczyni tronu), która też tam była obecna, błada, lecz w promieniującym cieple spojrzenia - wszyscy, to się wiedziało, wszyscy oni stali mocno, każdy na swym posterunku.

Natychmiast po nabożeństwie nastąpił uroczysty „Negelung der Kriegaäule” - także to wyrażenie oddaje moc ofiarą miasta Gdańska. Piękna kolumna uwieczniona żelaznym krzyżem wznosiła się wysoko ponad ruiny dawnej twierdzy, po części jako oznaka pamięci o pierwszych bohaterach walczących na froncie wschodnim, po części jako zachęta do nowych ekonomicznych poświęceń na cele wojenne. Księżna była pierwszą, która wbiła srebrne gwoździe, za siebie i pięcioro dzieci, każdy gwoździe z wygrawerowanym imieniem, za 100 marek. Potem następowali przedstawiciele miasta, armii i najwyżsi reprezentanci marynarki wojennej, dalej wszystkie prywatne osoby, z których każda, według swych możliwości, dorzuciła żdźbło do stogu wbijając srebrny bądź żelazny gwoździe w wojenną kolumnę.

Wśród znamienitych panów na miejscu był generał lejtnant von Baerensfels-Warnow, komendant twierdzy Danzig, który wywarł szczególnie przyjemne wrażenie. Osobliwie miłe dla mnie, gdy usłyszałam, jak mówił o swych dobrych wspomnieniach z wizyty marynarki wojennej Szwecji przed kilkanaście laty, pod dowództwem admirała Ehrensårda.

Bardzo interesujące było też i to, że nadarzyła się okazja poznania pani von Mackensen, małżonki generała marszałka polowego, wysokiej i postawnej damy o prawdziwie nordyckim wyglądzie, miłej i niezrozumiałej, ubranej w biały kostium spacerowy i czarny kapelusz z piórem. Nawet księżna w swym niebieskim szewiocie i kapeluszu tego samego koloru była tak skromna, że przyjemnie było patrzeć. I obie, wydawało się, są niezmiernie popularne wśród wszystkich, a miasto Gdańsk było zachwycone tym, że księżna wybrała na letnią siedzibę małą, bezpretensjonalną willę w pobliżu kurortu Sopot, około czterdziestu minut drogi koleją z Gdańska.

Nie możemy zostawić tego modnego kąpieliska morskiego, nie zaglądając do osad rybackich. Jest to mała osobna kolonia urządzona przy pomocy miasta Sopotu i prowincji Prus Zachodnich.

Małe budyneczki leżące kilka minut drogi od plaży wyglądają bardzo radośnie i zapraszająco. Przy każdym z nich jest mała działka owocowa oraz wspólna, większa plantacja sosen, które w czasie ostrych zim stanowią na pewno najlepszą osłonę przed wiatrem od morza.

Na zewnątrz jednego z domów siedział stary rybak i palił lulkę, a obok stała córka i prasowała swój biały, haftowany strój niedzielny. Starzec był całkiem zadowolony z tego, że jego syn służy na którymś z okrętów marynarki. Naturalnie zechcieliśmy obejrzeć wnętrze domu.

Na niższym poziomie był pokój stołowy i kuchnia ze światłem elektrycznym i wodociągiem, wszystko utrzymane w tym samym wzorze. Córka, dziewczyna w wieku 18-20 lat, sama wykonała taki specjalny - jak to mam nazwać - „śliniaczek” wokół przewodów instalacyjnych. Chodziło o to, by osłonić ścianę. Wzory były podobne, czy to małe czy duże, a na części z nich wyszyte były napisy, wyraźnie w mniemaniu dziewczyny, zdobiące domowe sprzęty. W kredensie nie brakowało bordiury na białych i czerwonych brzegach półek, zaś w oknie gałązka mirtu obiecywała bogaty plon do wianka panny młodej.

W domu innego rybaka, który nie bez powodów możemy pochwalić za wygodę i porządek, kobieta pokazywała nam z dumą kapitał rodzinny, duży strych zapelniony sieciami i sprzętem rybackim. „I pomyśleć tylko, jak my tu tanio żyjemy”, mówiła. „Trzy pokoje z kuchnią, z wodociągiem dochodzącym do małego składziku na piętrze, z kanalizacją i do tego z sadem - wszystko to za 17,50 na miesiąc. Warzyw i kartofli mamy tyle, że starczy nam na cały rok, także trzymamy drób i króliki. Obyśmy tylko byli zdrowi, to będziemy mogli stopniowo spłacić sumę, cztery tysiące marek, i dom będzie nasz”.

Kobieta była bardzo zadowolona i zrywała w swym kolorowym ogródku kwiaty, jeden za drugim, jakby dla okazania pamięci o dalekich podróżnych. Czyż to nie wygląda tak samo na całym zachodnim wybrzeżu Europy - daleko od kraju „barbarzyńców” - gdy człowiek przygląda się zwyczajom na przykład francuskich rybaków albo na Południu zwyczajom rybaków włoskich? A czyż pracowitość i czystość nie są podobną cechą angielskich domów rybackich? „Küche, Kinder” niemieckiej kobiety stwarzają jednak, tak sądzę, najlepsze, najbardziej szczęśliwe domy.

Tłumaczył z języka szwedzkiego Andrzej Chojewski

UNIwersytet Żydowski W WOLNYM MIEŚCIE GDAŃSKU

Pierwsza wojna światowa zapoczątkowała wiele zasadniczych zmian w europejskim krajobrazie politycznym i społecznym. Pojawily się nowe zjawiska, część starych zniknęła, inne znów uległy spotęgowaniu. Niechętny stosunek wielu kół do udziału Żydów w umysłowym i gospodarczym życiu społeczeństw europejskich owocował tworzeniem formalnych i praktycznych barier w dostępie Izraelitów do różnych instytucji publicznych, w tym również do szkół wyższych. W 1923 roku poseł Wincenty Lutosławski złożył w sejmie wniosek o regulowanie dostępu danej grupy wyznaniowej lub narodowej do uczelni w Polsce, proporcjonalnie do jej udziału w całym społeczeństwie. Zasada „*numerus clausus*” nie została wprowadzona wtedy przyjęta, ale dyskusje, jakie się wokół niej toczyły, jak również atmosfera na uniwersytetach i to nie tylko polskich stały się bezpośrednią przyczyną inicjatywy związanej z Wolnym Miastem Gdańskiem.

Warszawski finansista Henryk Doktorowicz, o którym niestety niewiele wiemy, stał się pomysłodawcą idei powołania do życia europejskiego uniwersytetu żydowskiego w Gdańsku. Według jego koncepcji miała to być uczelnia umożliwiająca żydowskiej młodzieży i pracownikom naukowemu zdobywanie i pogłębianie wiedzy w atmosferze spokoju i bezpieczeństwa. Miała być wolna od dominacji jakiegokolwiek grupy politycznej czy rytu religijnego. Aby uniknąć wrażeń, że tworzy się instytucję otwartą tylko dla Żydów, H. Doktorowicz zakładał, że przynależność do innej grupy narodowej lub wyznaniowej nie będzie stanowiła przeszkody w dostępie do uniwersytetu. W ten sposób chciał wyeliminować ograniczenia, których ofiarami stawali się Żydzi w innych miejscach i dać przykład możliwości współpracy i współżycia ludzi o odmiennej kulturze i religii. Kolegium profesorskie mieli tworzyć najwybitniejsi naukowcy żydowscy. Nie rozstrzygniętą pozostała kwestia języka wykładowego. Niewątpliwie mimo otwartości dla wszystkich chętnych miała to być uczelnia o jednoznacznie żydowskim charakterze. Sam Doktorowicz nie wskazał jednak, jakie elementy by o tym decydowały. Pozostawienie sprawy języka wykładowego wskazuje na brak umiejętności przewidywania konsekwencji, bowiem wybór hebrajskiego, jidisz, polskiego czy innego języka europejskiego wskazywałby na preferencje światopoglądowe inicjatorów.

Jeszcze w roku 1923 zostały podjęte praktyczne kroki zmierzające do realizacji pomysłu. H. Doktorowicz wybrał Wolne Miasto jako najbar-

dziej odpowiednie, jego zdaniem, dla żydowskiego uniwersytetu. Przeprowadził tam wstępne rozpoznanie, w wyniku którego jako miejsce lokalizacji wskazano obszar o powierzchni 250 000m² położony między kąpieliskiem w Jelitkowie a Oliwą. Rozpoczęły się rozmowy z władzami gminy Oliwa, które wyraziły zainteresowanie pomysłem. H. Doktorowicz deklarował gotowość opłacenia z własnych środków pierwszych kosztów związanych z inwestycją. Oczywiście sponsorowanie całego przedsięwzięcia leżało poza jego możliwościami, wobec czego wszczął akcję propagandową dla uzyskania szerszego poparcia. Zwrócił się do profesora Alberta Einsteina z prośbą o opinię. W załączeniu przesłał projekt uczelni, który na jego zamówienie wykonał warszawski architekt Styfelman. W wywiadzie udzielonym Żydowskiej Agencji Telegraficznej stwierdził później, iż A. Einstein odpowiedział natychmiast, wyrażając zainteresowanie projektem, zwłaszcza że, jak wyjaśnił, sam od dłuższego czasu rozważał pomysł stworzenia międzynarodowego uniwersytetu żydowskiego.

Wolne Miasto Gdańsk pozostawało pod protektorem Ligi Narodów będącej gwarantem jej ustroju wewnętrznego i integralności terytorialnej. 20 grudnia 1923 roku H. Doktorowicz przesłał na ręce przewodniczącego Rady LN - Antonio Salandry - szczegółowe memorandum dotyczące uniwersytetu. Odpowiedź z 8 stycznia 1924 roku zawierała informację o przekazaniu sprawy do rozpatrzenia przez Komisję LN do Spraw Współpracy Umysłowej i zaproszenie na 2 kwietnia 1924 roku do

Genewy. W tym dniu H. Doktorowicz stanął przed wspomnianą komisją i miał okazję zaprezentować swoje argumenty i odpowiedzieć na stawiane mu pytania. Finansista w uzupelnieniu zaproponował utworzenie specjalnej komisji naukowej, złożonej z przedstawicieli Anglii, Francji, Holandii, Niemiec, Polski, Stanów Zjednoczonych i Włoch, pod przewodnictwem profesora Einsteina. Komisja miała zajmować się koordynacją prac, tworząc podkomisje odpowiedzialne za zdobywanie poparcia dla akcji w poszczególnych krajach. Jak można przypuszczać, w skład tego gremium miały wchodzić osoby zdolne do wypracowania całościowych i szczegółowych założeń uczelni, co było rzeczą niezbędną, a czego Doktorowicz nie był w stanie zrobić. Natomiast chętnie udzielał prasie wywiadów dotyczących projektu i stanu prac, co przez niektórych dziennikarzy było komentowane jako przejaw jego megalomanii, tym bardziej że wszystko przedstawiał bardzo optymistycznie, podkreślając przy tym swoją skuteczność w realizacji zamierzeń. Jego dobre samopoczucie okazało się jednak przedwczesne, bowiem nie uwzględnił czynników o zasadniczym znaczeniu.

Wolne Miasto nie było idealnym miejscem dla żydowskiego centrum umysłowego, między innymi z powodu antysemitycznych tendencji wykazywanych przez część tutejszego społeczeństwa oraz co ważniejsze przez władzę zdominowaną wówczas przez koalicję niemieckich partii centro-prawicowych. Trwający od 1919 roku napływ żydowskich emigrantów do Wolnego Miasta spotykał się ze

zdecydowaną wrogością nacjonalistów niemieckich. Doprowadzili oni do usunięcia Juliusa Jewelowskiego, broniącego w negocjacjach z Polską interesów i niezależności Gdańska. Bardzo silne nastroje antysemickie występowały również w środowisku akademickim Politechniki Gdańskiej, by wymienić tylko sztandarową w tej dziedzinie postać profesora Ernsta Petersena.

Trzeba zauważyć, że sam tryb postępowania Doktorowicza był niezbyt przemyślany. Otóż Senat Wolnego Miasta - najwyższy organ władzy wykonawczej na tym terenie - dowiedział się, jak stwierdził jego przedstawiciel, o sprawie uniwersytetu z gazet. Wprawdzie wydaje się to dziwne, zważywszy, że władze gminy Oliwa musiały poinformować Senat o rozmowach z H. Doktorowiczem, ale oficjalna informacja o wymianie korespondencji między Ligą Narodów a warszawskim finansistą dotarła do władz gdańskich dopiero w lutym 1924 roku. Wtedy to Wysocki Komisarz Ligi Narodów w Gdańsku poprosił Senat w imieniu Ligi o wyrażenie opinii na ten temat. Przedstawił ją senator Hermann Strunk w specjalnym oświadczeniu skierowanym do komisarza Ligi i osobnym dla prasy. Senat był przeciwny idei otwarcia żydowskiego uniwersytetu na terenie Wolnego Miasta Gdańska.

Stwierdzono, że istnieje tu już wyższa uczelnia, gdzie prowadzone są nie tylko studia inżynierskie, lecz funkcjonują również katedry humanistyczne, a dostęp do wszystkich specjalności jest otwarty dla niemieckiej młodzieży z Wolnego Miasta i spoza jego granic. W istocie w latach 1922-1923 studiowało na politechnice w Gdańsku około 700 „innych”, stanowiąc około 40 proc. wszystkich studentów. Powstanie międzynarodowego uniwersytetu w bezpośrednim sąsiedztwie miało, według Senatu, stanowić zagrożenie dla bytu niemieckiej uczelni. Ponadto nawiązano do trybu załatwiania sprawy, krytykując fakt niewłączenia do genewskich konsultacji przedstawicieli Wolnego Miasta. Zgodnie z umowami międzynarodowymi interesy Wol-

Jüdisches Gemeinde- blatt

Herausgegeben

von der Synagogen-Gemeinde Danzig

Verantwortliche Schriftleitung:

Rabbiner Dr. I. Grün, Danzig, Karrenwall 5. — Telefon 23389

Druck, Verlag und Inseratenannahme:

Westpreussischer Verlag A.-G., Danzig, Am Sande 2.



nego Miasta reprezentowała na zewnątrz Polska, jednakże gdańszczanie walczyli o własną podmiotowość i omawianie projektu uniwersytetu poza swoimi plecami uznali za naruszenie swojej suwerenności. H. Strunk określił postępowanie Doktorowicza jako dyletanckie i zarzucił mu kompletną ignorancję w dziedzinie polityki.

Senat w piśmie do Ligi Narodów prosił, aby cały projekt odrzucić już na etapie konsultacji, ponieważ ludność gdańska nie akceptuje tego eksperymentu i będzie zwalczała go wszelkimi środkami.

Zabrzmiało to jak otwarta groźba i nie dawało nadziei na atmosferę życzliwości i owocną współpracę w przyszłości, a bez pomocy władz gdańskich nie można sobie było wyobrazić realizacji całego zamierzenia. Nie wspomniano o tym w piśmie, ale Senat obawiał się zapewne, że nie będzie mógł kontrolować żydowskiego uniwersytetu, chociażby ze względu na autonomię, jaką cieszyły się tego typu placówki. A przecież nikt z Niemców nie mógł liczyć na to, że stanie się ona ostoją ducha wielkoniemieckiego tak jak to miało miejsce w przypadku politechniki.

Prasa opublikowała również wypowiedź profesora O. Halickiego, który był wówczas polskim przedstawicielem w Komisji Ligi Narodów do Spraw Współpracy Umysłowej i równocześnie pełnił funkcję jej sekretarza. Zdementował on opinię, jakoby komisja podjęła wiążące decyzje w sprawie uniwersytetu i wyjaśnił, że pomysł H. Doktorowicza był jedynie omawiany na posiedzeniach obok innych projektów.

Za znacznie ciekawszą uznano propozycję Hiszpanii, dotyczącą planu przekształcenia jednego z uniwersytetów na jej terenie w uczelnię o międzynarodowym charakterze pod pa-

tronatem Ligi Narodów.

Nawiązując do powoływania się przez H. Doktorowicza na dobro żydowskich studentów, Centralny Komitet Żydowskich Organizacji Akademickich w Polsce ogłosił, że H. Doktorowicz nie został przez to środowisko upoważniony do organizowania uniwersytetu w Gdańsku

i nawet nie pozostaje w kontakcie z żydowskimi organizacjami studentckimi w Polsce. Obszernie o uniwersytecie informowała gdańska gazeta „Baltische Presse” wspierana przez Komisariat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Gdańsku. Z tonu komentarzy można wnioskować, że władze polskie nie udzielały pomocy swojemu poparcia. Przyczyn można się doszukiwać w rozgłosie nadawanym sprawie w prasie zagranicznej, który wiązał się nieodłącznie z przypomnieniem, że idea jest reakcją na antysemityzm panujący nad Wisłą.

Chłodno do inicjatywy odnieśli się również syjoniści mobilizujący wówczas wszelkie środki dla budowy Uniwersytetu Hebrajskiego i Biblioteki Narodowej w Jerozolimie. Nie mogli oni wprawdzie otwarcie dyskredytować projektu uczelni o wyraźnie żydowskim charakterze, wszak sami postulowali konieczność rozwoju poczucia narodowej i kulturalnej odrębności Żydów. Dla nich jednak urzeczywistnienie idei takiej uczelni w Europie oznaczałoby spadek wsparcia finansowego dla uniwersytetu w Palestynie. Pomysł nie mógł się spotkać także z poparciem wśród zwolenników asymilacji Żydów w społeczeństwach, w których żyli. Koncepcję odrębnego żydowskiego uniwersytetu odbierali w skrajnych przypadkach jako powrót do getta i zaprzepaszczenie emancypacyjnych osiągnięć XIX i XX wieku, otwierających im drogę do świeckich szkół wyższych.

Brak poparcia i sprzeciw władz gdańskich spowodowały zarzucenie pomysłu Henryka Doktorowicza, który zniknął tym samym z łam gazet. W kwietniu 1925 roku nastąpiło uroczyste otwarcie Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie.

Piaśnica. Wioska w centrum olbrzymiego zespołu leśnego, ciągnącego się w kierunku północno-zachodnim od Wejherowa. Na dziesiątym kilometrze od miasta, po lewej stronie szosy krokowskiej, rozegrała się największa tragedia na Pomorzu. W latach 1939-1940 zamordowano tutaj około 12 000 ludzi - Polaków z Pomorza i przywiezionych z głębi Niemiec. Zginęła inteligencja pomorska - działacze społeczni i polityczni, urzędnicy, księża, wojskowi, a także robotnicy i chłopci zaangażowani w życie państwowym i społecznym. Piaśnica. Jedno z największych miejsc bezpośredniej zbrodni hitlerowskiej w Polsce, pierwszej zbrodni na taką dużą skalę w Europie.

Pamięć i ostrzeżenie.

Piaśnica - objaśnił nagle szofer, wskazując ruchem głowy krzyż, który niespodziewanie zaczętniał w wylocie bocznej drogi prowadzącej w las. Tu esesowcy zakatowali kilkanaście tysięcy naszych. Jest tu niedaleko taka polana. Wielka, prostokątna. Tam zwozili ich po nocach ciężarówkami. Kazali kopać rowy. Potem strzelali. Partia za partią, aż rów był pełny. Trzydzieści takich grobów wypełnili, zasypali. Ale w czterdziestym trzecim, po Stalingradzie, wziął ich strach. Przywieźli więźniów ze Stutthofu, żeby wykopali zwłoki i palili je. Potem i ich rozwalili. Tylko trzy groby ocalały. Krzyże teraz tam stoją. Jeden przy drugim. We trzy, cztery rzędy... (wg. Franciszka Fenińskiego „Kamienny uśmiech”).

Jak doszło do tej tragedii?

Polityce Niemiec hitlerowskich na okupowanych zachodnich ziemiach Polski przyswiewały trzy zasadnicze cele: usunięcie ludności nie nadającej się według kryteriów programu narodowo-socjalistycznego do zniemczenia, zasiedlenie tych obszarów Niemcami oraz zgermanizowanie pozostałych Polaków. Cele te miały być zrealizowane w sposób radykalny, przy użyciu metod wskazanych przez Hitlera już przed wojną, zwłaszcza w jego znanych przemówieniach z 23 maja i 22 sierpnia 1939 roku, w których domagał się

zniszczenia Polski i usunięcia jej sił żywotnych w sposób twardy i bezwzględny. Do żądań i zaleceń Hitlera nawiązywały liczne dekrety i memoriały. Dyrektywy władz Trzeciej Rzeszy, dotyczące tej polityki, zawierały prawie zawsze zalecenia likwidacji warstwy kierowniczej społeczeństwa polskiego. W wyniku takich założeń jesienią 1939 roku przystąpiono do masowych aresztowań, które objęły prawie całą pozostałą na miejscu inteligencję.

Dużą rolę w agresji na nasz kraj i w późniejszej eksterminacji społeczeństwa polskiego odegrali Niemcy zamieszkujący na Pomorzu w okresie międzywojennym. Ich udział w akcji aresztowań był jedną z przyczyn wielkiego rozmiaru akcji zagłady na Pomorzu.

Niemcy w Polsce ulegli bardzo łatwo wpływowi narodowosocjalistycznym, głównie dzięki znacznym zapomogom finansowym przekazywanym im z Rzeszy. Pozostawali w bliskich kontaktach z gdańską NSDAP, zdyscyplinowaną przez Alberta Forstera.

Na Wybrzeżu ważną placówką wspierającą działalność NSDAP był konsulat niemiecki w Gdyni, w którego siedzibie urzędowało kierownictwo obwodu tej partii, liczącego w 1938 roku 272 członków, a obejmującego, poza okręgiem morskim, teren Starogardu i Tczewa.

Przewaga liczebna i techniczna niemieckich sił zbrojnych oraz doskonałe rozeznanie terenowe przyczyniło się do szybkiego zajęcia powiatu m o r s k i e g o i Gdyni. Należy pamiętać, że dotkliwe straty poniesione przez obrońców Wybrzeża były rezultatem nie tylko przewagi Niemców, ale także stosowanych przez nich barbarzyńskich metod walki.

Wbrew zasadom prawa międzynarodowego żołnierze Wehrmachtu mordowali także jeńców. Było to niejako prelude Piaśnicy. 9 września padło Wejherowo i Puck, 14 września Gdynia.

PIAŚNICA

Jerzy

Kiedrowski

Bezpośrednio po zajęciu Gdyni (jeszcze przed zdobyciem Kępy Oksywskiej) przyjechał do Gdańska Hitler, który przekazał Forsterowi zalecenie, aby z kraju tego powstał w ciągu najbliższych 10 lat kwitnący okręg niemiecki, zamieszkały przez szczęśliwych ludzi, okręg, który w sposób wielokrotny wynagrodzi Rzeszy krew dla niej przelaną. Żądanie to stało się hasłem wzywającym partię narodowosocjalistyczną do „podjęcia dzieła”.

Forster z miejsca skierował swoich ludzi na kierownicze stanowiska administracyjne, mianując burmistrzów i starostów w miastach kaszubskich. W Gdyni nadburmistrzem został SS-Oberführer Horst Schlichting, a kierownikiem partyjnym Erich Tempa. Nowomianowani urzędnicy przystąpili do pracy z wielką gorliwością.

W pierwszych zarządzeniach pozbawiono Polaków prawa własności, zlikwidowano polskie placówki kulturalne oraz stowarzyszenia, zmieniono nazwy miejscowości (Gdynia-Gotenhafen, Wejherowo-Neustadt, Puck-Putzig), zakazano używania języka polskiego, ograniczono prawo swobodnego poruszania się.

Przystąpiono do wysiedlania ludności do Generalnej Guberni. W Gdyni, mieście liczącym około 120 000 mieszkańców, we wrześniu internowano kilka tysięcy osób dziennie. Około 20 października 1939 roku rozpoczęto w Gdyni i w powiecie morskim zorganizowane aresztowania, do których przystąpili, poza członkami SS i policji gdańskiej, miejscowi Niemcy. Forster zwrócił się do nich słowami: *Musimy ten naród wytępić od kołyski począwszy*. W październiku aresztowano niemal wszystkich księży, nauczycieli, urzędników i kupców, a także działaczy robotniczych, którzy zasłużyli się pracą w organizacjach politycznych i społecznych. Zatrzymanych traktowano brutalnie i osadzono w wejherowskim więzieniu. Wskutek licznych aresztowań przeprowadzonych w miastach i wsiach, więzienie wejherowskie przepełniło się do tego stopnia, że w celach przeznaczonych np. dla 9 osób przebywało 30 i więcej. Więźniów umieszczono nawet w kaplicy i na korytarzach. Tłok panował także w stojącym obok budynku, gdzie przebywało 500 osób. W listopadzie przywożono na jeden, dwa dni przed egzekucją zakładni-

ków ujętych w Gdyni. Każdego z aresztowanych stawiano przed grupą gestapowców i przesłuchiwało. Niektórych bito przy tym dotkliwie. Po przesłuchaniu wyprowadzano skazańców na dziedziniec więzienny, ustawiano w dwusereg, wreszcie bijąc i popychając kazano im wsiadać do samochodów ciężarowych, które szosą krokowską kierowały się do lasów piaśnickich.

Za daty rozpoczęcia wywozu skazanych do Piaśnicy przyjmuje się okres między 29 października - 9 listopada 1939 roku. Najwięcej, bo przeszło 300 osób więziono w kościołach, salach kinowych, kawiarniach, wreszcie na otwartych placach, oświetlonych nocą reflektorami samochodów, strzeżonych przez kordon wojska i policji. W Gdyni więziono inteligentów pochodzących nie tylko z tego miasta, ale także z Wejherowa i Gdańska. Niektórych przewieziono około 30 września do więzienia w Gdańsku, a po trzech tygodniach zgładzono w Piaśnicy. Wielu z zatrzymanych skierowano do obozu koncentracyjnego w Stutthofie.

Różne były losy aresztowanych. Na przykład ks. Teodora Turzyńskiego, jego wikariuszy ks. Jana Bieńkowskiego, ks. Piotra Dunajskiego i ks. Kazimierza Kalisza oraz ks. Jana Zakrzewskiego, a także ks. Czesława Rackiego - kapelana szpitala, ks. Brunona Olkiewicza, ks. Józefa Mówińskiego, ks. Anastazego Fierka oraz dziewięciu księży jezuitów i franciszkanina

ks. Henryka Jamroga zabrano drugiego listopada do Stutthofu, stamtąd zaś w tydzień potem wywieziono razem z innymi przebywającymi już od kilku tygodni w areszcie Polakami - na straconie do Piaśnicy. Tam trafiło też wielu urzędników kolejowych, których wcześniej osadzono w wejherowskim więzieniu. Stracono ich razem z funkcjonariuszami policji, uczestnikami walk obronnych o Gdynię i Oksywie, których wzięto do niewoli 19 września

i początkowo więziono w Gdańsku i Pucku. Pierwsza fala aresztowań w Gdyni trwała do końca listopada.

W tym samym czasie rozpoczęła się zagłada tysięcy ludzi przywożonych bezpośrednio z Rzeszy. Świadkami ich przyjazdu byli pracownicy stacji kolejowych w Lęborku i Wejherowie.

Wywożenie ludzi z więzienia wejherowskiego i tamtejszej stacji kolejowej do Piaśnicy budziło zrozumiałe niepokój wśród mieszkańców miasta i okolicznych wiosek. Każdemu transportowi towarzyszyły motocykle i samochody osobowe wiozące plutony egzekucyjne. Z lasów piaśnickich dochodziły odgłosy strzałów najpierw z broni maszynowej, potem z karabinów ręcznych i pistoletów. Słychać było rozpaczliwe krzyki zabijanych. Przy wejściu do lasu stały tablice z napisem: *„Kto wejdzie dalej, zostanie bez ostrzeżenia rozstrzelany”*. Widać było patrole wartownicze SS i Wehrmachtu.

Jedynym żyjącym naoczny świadkiem egzekucji jest Polka Elżbieta Ellwart, w owym czasie mieszkanka Orla. Jej wstrząsające zeznania oddają grozę dokonywanych zbrodni. Jesienią 1940 roku, kiedy wstęp do lasu był już dozwolony, ludzie zbierający grzyby znajdowali szczątki ciał ludzkich wyciągnięte z grobów prawdopodobnie przez lisy i wałęsające się psy. Świadkowie różnie oceniają czas zakończenia egzekucji. Niektórzy twierdzą, że odbywały się one do 8 grudnia 1939 roku, inni uważają, że do kwietnia 1940.

Zachowane źródła pozwalają przeprowadzić charakterystykę tylko tych ofiar, które pochodziły spośród mieszkańców Gdyni, powiatu morskiego i obszaru Wolnego Miasta Gdańska. Znamy nazwiska 427 osób. Te niepełne dane potwierdzają dążenie władz hitlerowskich do zagłady inteligencji polskiej.

Wśród rozpoznanych 427 osób było 53 księży, 45 nauczycieli, 11 urzędników, 11 prawników, 9 pracowników służby zdrowia, 53 przedsiębiorców handlowych. Najlicniejszą grupą byli tu księża. Zagłada w Piaśnicy pozbawiła Gdynię i powiat morski niemal całego duchowieństwa. Z pracowników gdyńskiego wymiaru sprawiedliwości w Piaśnicy zostali straceni: Jarosław Czarliński - prezes Sądu Okręgowego, dr Adam Kozłowski - szef prokuratury, sędziowie - Jan Konwiński, Leon Najman, Mirza Kryczyński, Władysław Kiedrowski, Kazimierz Schwarz, dr Jan Wunschik, adwokat Zdzisław Józewicz, notariusz Stefan Bereza.

Wyszczególniając grupy ofiar, trzeba wspomnieć o jeńcach pol-



Phot. A. Klejna

skich, których tożsamości dotychczas nie ustalono. Znane jest tylko nazwisko jednego z nich - podoficera Pawlaczuka, wyciągniętego z szeregu wziętych do niewoli obrońców Helu, przetrzymywanych początkowo w farze w Pucku, straconego w Piaśnicy. Zginął tam też obrońca Poczty Polskiej w Gdańsku, Leon Fuz, który zbiegłszy po kapitulacji, uniknął śmierci na Zaspie, ale wytropiony przez gestapo został, po okrutnych torturach w więzieniu gdańskim, zamordowany w Piaśnicy. Brak też źródeł określających dokładnie straty poniesione przez Żydów zamieszkujących Gdynię i powiat morski.

Niemcy, wycofując się z Polski, spalili zwłoki we wszystkich miejscach masowych egzekucji, zwłaszcza na Pomorzu, co uniemożliwiło ich ekshumację. W Piaśnicy ocalały tylko dwa groby zawierające 305 ofiar.

W końcu sierpnia 1944 roku Niemcy przystąpili do usuwania śladów egzekucji dokonanych na Pomorzu w 1939 roku. Akcją tą zajęły się znowu jednostki SS i policji, a do najcięższych prac zmuszono więźniów obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Miejsca zbrodni w Piaśnicy otoczono, jak w czasie przeprowadzania egzekucji, patrolami, a wokół lasu ustawiono tablice ostrzegawcze wzbraniające wejścia. Sprowadzeni ze Stutthofu więźniowie pracowali w Piaśnicy przez siedem tygodni. Sympiali na ziemi przykrytej warstwą słomy. Pracowali przez cały czas mając nogi skrupowane kajdanami. Paleniska były osłonięte płachtami przyczepionymi do pni drzew, aby ślup ognia, podsycany płynem, nie wybuchał zbyt wysoko. Po zakończeniu palenia zwłok wymordowano wszystkich zatrudnionych przy tym więźniów, a ciała ich również spalono.

Bezpośrednio po wycofaniu się Niemców w 1945 roku wszczęto na Pomorzu poszukiwania grobów zamordowanych. W Piaśnicy odnaleziono je bez trudu już w pierwszych dniach wolności. Wkrótce powstała w Wejherowie, z inicjatywy członków PZZ, specjalna komisja ekshumacyjna, która razem z Okręgową Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich pod kierownictwem sędziego Sądu Okręgowego w Gdańsku Antoniego Zachariasiewicza przystąpiła jesienią 1946 roku do ustalenia rozmiarów zbrodni. Odkopano 30 grobów, z których tylko 26 zbadano.

Z dwu grobów wydobyto spod warstwy wapna nie spalone zwłoki 305 ofiar. Rozbite czaszki utrudniały

identyfikację. Ciała pozbawione były wierzchnich ubrań. Wszystkie groby otoczono opieką, uporządkowano i zabezpieczono. Piaśnica stała się po wojnie miejscem manifestacji narodowych, religijnych, patriotycznych. Uroczystość poświęcenia miejsc egzekucji odbyła się 31 sierpnia 1947 roku.

We wrześniu 1955 roku odsłonięto pomnik ku czci pomordowanych, wzniesiony dzięki ofiarności społeczeństwa. W lesie wytyczono Drogę Krzyżową upamiętniającą marsz śmierci ofiar ludobójstwa. Odtąd miejsce męczeństwa w Piaśnicy otacza się kultem. Od szeregu lat, w ostatnią niedzielę października, w Piaśnicy odbywa się uroczystość religijno-patriotyczna.

Ks. biskup ordynariusz chełmiński Marian Przykucki (obecnie metropolita szczecińsko-kamieński) stwierdził: „*Na tej gólgocie ziemi kaszubskiej spoczywają najwspanialsii ludzie tamtej ery. Umacniamy się w świadomości, że musimy kroczyć ich drogami i wiernie służyć Bogu oraz ojczyźnie*”.

Piaśnica znalazła oddźwięk w poezji i prozie, w twórczości Lecha Bądkowskiego, Józefa Ceynowy, Franciszka Fenikowskiego, Alojzego Nagla, Jana Piepki, Edmunda Puzdrowskiego, Jana Rompskiego, Jana Zbrzycy.

Augustyn Necel w książce „*Nie rzucim ziemi*” pisze: „*Drogi wiodące z różnych stron Wybrzeża przepełnione były ludem ciągnącym w kierunku piaśnickiego lasu. Szły całe parafie na czele ze swymi księżmi, którzy powoli wracali z ukrycia lub obozów karnych. Byli wśród idących ci szczęśliwi, którym udało się przeżyć długą wojnę. Wielkie tłumy dzieci szkolnych szły ze swymi nauczycielkami. Jechały drabiniaste wozy, pełne ludu wiejskiego, śpiewającego pieśni żałobne. Tłum ciągnął z ziemi puckiej, lęborskiej, wejherowskiej, kartuskiej.*”

Przybyli rybacy z Półwyspu Helskiego, wszyscy, którym udało się powrócić z wygnania. Samochody ciężarowe, kryte grubym brezentem wiozły mieszkanców Gdyni, Gdańska, Oksywia. Nie było bowiem na Wybrzeżu miejscowości, w której nie zabrano by kogoś i nie zamordowano w piaśnickich lasach.

Dwanaście tysięcy ofiar spoczywa na tym cmentarzu.

Dwanaście tysięcy ludzi tu leży - powtarzał lud”.

Pamiętajmy o tym.

Autor niniejszego opracowania korzystał przede wszystkim z pracy B. Bojarskiej pt. „*Piaśnica*”.

Jerzy Szukalski

Najpiękniejsze krajobrazy Kaszub

NAD JEZIORAMI POTĘGOWSKIMI

W północno-zachodniej części Kaszubskiego Parku Krajobrazowego, na skraju Lasów Mirachowskich, znajduje się niezwykle malowniczo położona grupa jezior, która od wsi Potęgowo nosi nazwę jezior Potęgowskich. Niezwykle to jeziora, a jest ich w sumie dziesięć, i niezwykle jest ich położenie - w nietypowej rynnie polodowcowej. Tylko jedno z nich - Jezioro Potęgowskie stanowi centralną część zbiornika wodnego. Trzy następne to jego odnogi mające swoje odrębne nazwy: na zachodzie Czarne, na południu Odnoga, a na wschodzie Kłaczyno Duże. Pozostałe jeziora wypełniające rynnę, to od wschodu Kłaczyno Małe, zwane też Kocenko, i Lubygość, a od zachodu - Białe, Junno, Kamienickie i Święte. Nietypowość rynny jezior Potęgowskich polega na tym, że przebiega ona w kierunku równoleżnikowym, a większość rynien polodowcowych ma przecież kierunek południkowy, bo z północy na południe odpływały pod lodem wody topniejącego w okresie ostatniego zlodowacenia lądolodu. Ponadto jeziora Potęgowskie są bardzo płytkie, a zbiorniki wodne tego typu są w większości przypadków głębokie, ba, często nawet bardzo głębokie. Tu najgłębsze jest jezioro Junno (11,6 m), a naj płytsze - Jezioro Białe, którego maksymalna głębokość wynosi zaledwie 3,2 m. Największa głębokość jeziora Lubygość wynosi też zaledwie 4 m. Co więc o tej nietypowości tutejszych jezior zadecydowało? Jak powstało ich najbliższe otoczenie i w ogóle krajobraz tej części Kaszub? Odpowiedź jest stosunkowo prosta, jeśli przyjrzeć się piaszczystem obrzeżom, miejscami płaskim, gdzie indziej zaś zróżnicowanym, wręcz pagórkowatym. Same masy jeziorne tkwią głęboko w tym piaszczystym materiale. Mamy tu więc do czynienia po części z piaszczystymi polami i tarasami sandrowymi, w innych zaś miejscach, tam gdzie nierówno, z kemami, czyli tak zwanymi morenami martwego lodu. A zatem krajobraz okolic jezior Potęgowskich po-

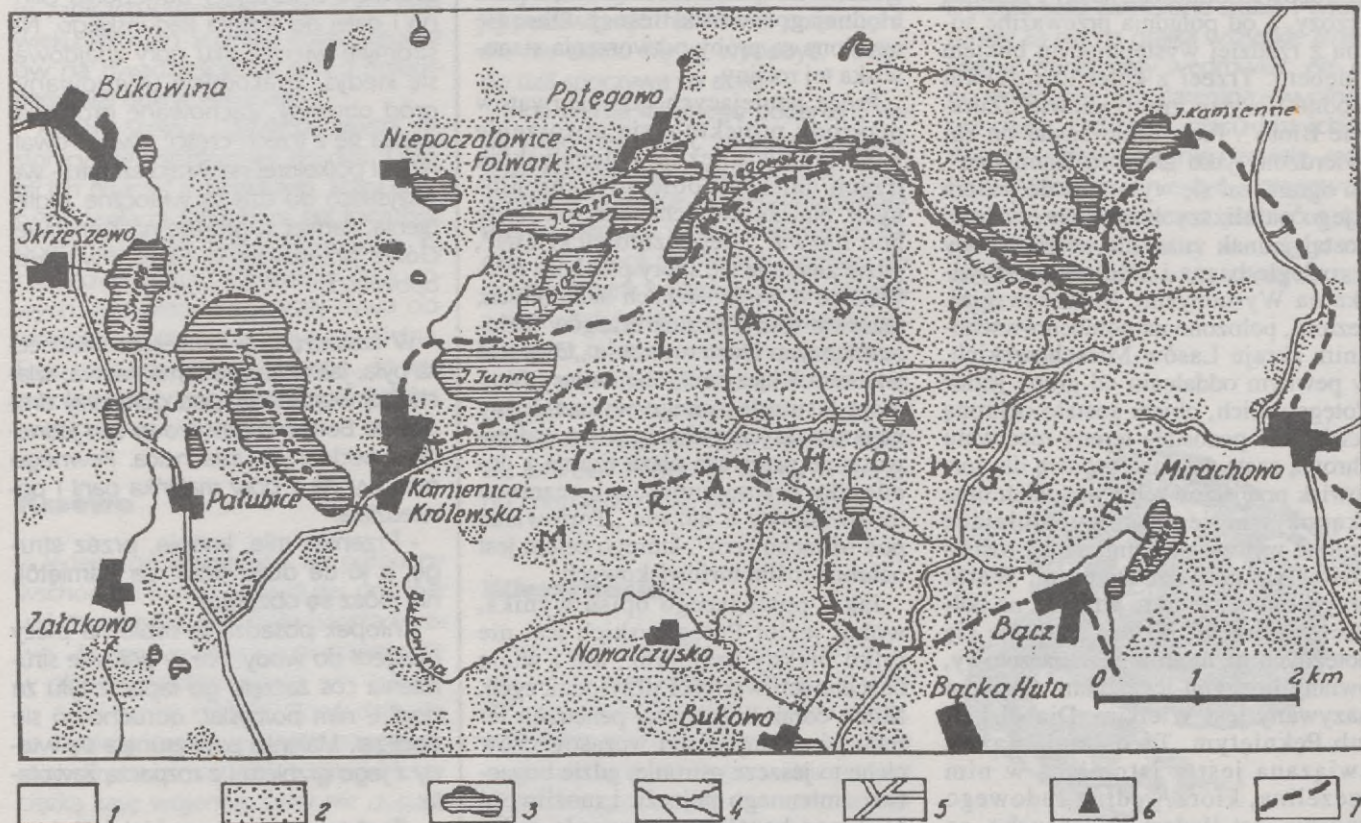
wstał u schyłku zlodowacenia, kiedy czasza zalegającego tu lądolodu już rozpadła się na odosobnione bryły, zalegające w rynnach jezior Potęgowskich jeszcze dość długo, bo przysypane były piaskiem niesionym przez wody roztopowe. A potem, kiedy klimat już na tyle się ocieplił, że cały lód lodowcowy uległ stopnieniu, przegłębienia w rynnach zajęły jeziora, a ich obrzeża porosła z wolna pomorska puszcza. W kolejnym zaś etapie rozwoju krajobrazu, w wyniku organizowania się polodowcowej sieci wodnej, jeziora uzyskały połączenie i do dziś są zbiornikami przepływowymi w dorzeczu Łupawy. I tyle można najkrócej powiedzieć o genezie tutejszego krajobrazu. A czy jest to krajobraz również piękny, który może zainteresować przeciętnego turystę? Niewątpliwie tak. Dzieło natury w tej części Kaszub jest wspaniałe. Już sam dojazd do jezior Potęgowskich od strony Mirachowa jest niezwykle urokliwy. Droga prowadząca przez Lasy Mirachowskie do Kamienicy Królewskiej pełna jest zakrętów i dosłownie wije się przez rozległe połacie mieszanego lasu z płatami młodej buczyny i świerka. Jesienna kolorystyka tej buczyny, uzupełniona ciemnymi plamami dorodnych świerków, widoczne z drogi okazałe jałowce i liczne mrowiska - wszystko to nadaje tutejszemu krajobrazowi ce-

chy pierwotności. Aż trudno uwierzyć, że las ten pochodzi ze sztucznego nasadzenia. Nawet poręby jakoś tu nie rażą.

Z Kamienicy Królewskiej droga nie tak już malownicza, piaszkowa i nierówna, prowadząca przez pola o dość wyrównanej, prawie płaskiej powierzchni. Większe urozmaicenie terenu występuje jedynie w pobliżu jeziora Junno i w Kamienickim Młynie, gdzie droga przecina wyraźną dolinę cieką łączącego tu jeziora Białe i Kamienickie. Ten krajobraz nie jest może piękny, bo zdominowały go w wyniku uprawy ziemi cechy kulturowe. Absolutną przewagę zyskała tu roślinność pól uprawnych. Mimo to zachował on jeszcze wiele cech naturalnych. Rzadka zabudowa i położenie z dala od głównych dróg powoduje, że jest tu cicho i spokojnie. Autentyczne kaszubskie pustki. Doceniły to już co poniektóre mieszczuchy, budując tu domki letniskowe. Na szczęście niezbyt jeszcze liczne. Wprowadziły one wyraźny dysonans w krajobrazie.

Nad północny brzeg Jeziora Potęgowskiego najwygodniej można dotrzeć samochodem przez Niepoczałowice, Linie i Potęgowo. Miejsce to wyjątkowej urody, też już „odkryte” przez wczasowiczów, bo i tu są dalekie od piękna i estetyki ośrodki wypoczynkowe.

Chcąc jednak prawdziwie zachwycić się krajobrazem kaszubskim okolic jezior Potęgowskich, trzeba udać się na szlak pieszy, choćby tylko skrócony, wiodący z leśniczówki Mirachowo nad brzeg jeziora Lubygość i dalej wzdłuż południowych obrzeży jezior do Kamienicy Królewskiej. Jest to szlak czerwony, zwany „Kaszubskim”, wytyczony z przyrodniczego punktu widzenia niezwykle atrakcyjnie. Jeden z najpiękniejszych znakowanych szlaków turystycznych na Kaszubach. Przyroda prezentuje się tu w pełnej krasie na całej długości szlaku. Na niewielkiej przestrzeni obejmuje się wzrokiem zróżnicowaną rzeźbę terenu, wodę jezior i otulającą ją las. Cóż za wspaniała harmonia tych podstawowych elementów środowiska przyrodniczego, składających się na oblicze krajobrazowe tego urokliwego zakątka ziemi kaszubskiej, zakątka mniej znanego, bo położonego z dala od utartych dróg. Powietrze z wodą tu też cudownie czyste, bo nie skażone przemysłem. Słowem, wspaniała enklawa nad podziw urozmaiconego reliefu, czystej wody i obfitych lasów, gdzie atrakcją zwiedzania jest sama przyroda. Pomiędzy jeziorami Kłaczyno Małe i Lubygość rynną polodowcową wyraźnie się zwięża i jest w dodatku głęboko wcięta, co stało się przyczyną nazwania jej „Szczeliną Lechic-



Okolice jezior Potęgowskich 1 - pola uprawne, 2 - lasy, 3 - jeziora, 4 - ciek, 5 - główne grogi, 6 - rezerwat przyrody, 7 - szlaki turystyczne.

ką". Widok jest tu nadzwyczajny, ale nazwa nieudana, bo przecież określenie „szczelina” sugeruje pęknięcie w podłożu skalnym, a tu nigdy nic takiego nie miało miejsca, bo i mieć nie mogło. Należało więc swoiste piękno tego odcinka rynny połodowcowej nazwać mniej tektonicznie i mniej prentensjonalnie. Twórcy tego określenia kierowali się wyłącznie wyobraźnią, podnieceni wspaniałością przyrody.

Wartości przyrodnicze tutejszego terenu i jego cechy pierwotne zostały również dostrzeżone przez czynniki upoważnione do podejmowania decyzji w zakresie konserwatorskiej ochrony środowiska. Wyrazem tego jest utworzenie w najbliższej okolicy jezior Potęgowskich aż pięciu rezerwatów przyrody. Wspomniana „Szczelina Lechicka” to rezerwat krajobrazowy, gdzie ochronie prawnej poddana została unikatowa rzeźba młodoglacjalna, śródlądne jezioro Kłaczyno Małe i zbiorowiska roślin lasów otaczających jezioro. Najwspanialszy widok na owe wyjątkowej urody miejsce roztacza się z krawędzi rynny po północnej stronie jeziora. Drugi to rezerwat leśno-krajobrazowy pod oryginalną nazwą „Jezioro Lubygość”. Ochroną prawną objęto tu długie i wąskie, rzadko spotykanej malowniczości jezioro i otaczający je las, w skład którego wchodzi od północy głównie buki i dęby z domieszką sosny i rzadziej brzozy, a od południa przeważnie sosna z rzadziej występującym bukiem i dębem. Trzeci z kolei to rezerwat wodno-florystyczny o nazwie „Żurawie Błoto”. Pierwotnie został on zatwierdzony jako „Jezioro Kamienne”, bo ograniczał się wyłącznie do jeziora i jego najbliższych obrzeży, później został jednak znacznie powiększony o rozległe bagna i śródlądne torfowiska na Wysoczyźnie Miłoszewskiej. Jezioro, położone na północno-wschodnim skraju Lasów Mirachowskich, w pewnym oddaleniu od grupy jezior Potęgowskich, objęte zostało ochroną ścisłą, zaś pozostałe tereny rezerwatu chronią szatę roślinną typową dla torfowisk przejściowych i wysokich oraz skąpożywe jeziora, wypełniające drobne wytopiska z unikatową roślinnością i ptactwem wodnym. Warto przypomnieć, że to tu właśnie, na północnym brzegu jeziora znajduje się potężnych rozmiarów głaz narzutowy, owiany licznymi legendami. Głaz ten nazywany jest Wielkim, Diabelskim lub Pękniętym. Ta ostatnia nazwa związana jest z istniejącą w nim szczeliną, która według ludowego podania jest śladem po łańcuchu, na którym miał go dźwigać diabeł, zanim rzucił go na ziemię ze złości po nieu-

danej transakcji o ludzką duszę. Głaz ten, uznany za pomnik przyrody, stanowi niewątpliwą atrakcję rezerwatu. W nieznacznym też oddaleniu od grupy jezior Potęgowskich, w samym środku Lasów Mirachowskich, znajduje się czwarty rezerwat przyrody, największy w Kaszubskim Parku Krajobrazowym, torfowiskowo-faunistyczny, zwany „Kurze Grzędy”. Obejmuje on niewielkich rozmiarów śródlądne Jezioro Wielkie oraz sąsiadujące z nim torfowisko wysokie i okoliczne lasy z czterema małymi skąpożywnymi jeziorkami - wyjątkowej urody uroczysko. Rezerwat utworzony został pierwotnie w celu ochrony miejsc lęgowych żurawia i tokowisk głuszca. Obecnie jednak głuszca już się tu nie spotyka. Za to innego ptactwa, zarówno wodno-błotnego, jak i leśnego, jest tu całe mnóstwo. W zbiorowisku leśnym przeważa las bukowo-dębowy. Tuż obok, od strony południowo-zachodniej rezerwatu „Kurze Grzędy”, położony jest piąty rezerwat florystyczny pod nazwą „Jezioro Turzycowe” - najmniejszy w Parku. Obejmuje on niewielkich rozmiarów Jezioro Turzycowe i położone na południe od jego brzegów torfowisko. Obiekt ten utworzono w miejscu, gdzie rosła turzyca skąpokwiatowa. Było to jej jedyne stanowisko na Pojezierzach Południowobałtyckich. Zostało zniszczone na skutek błędnej gospodarki leśnej. Obecnie czynione są próby odtworzenia stanowiska tej rośliny.

Prócz istniejących już rezerwatów przyrody projektuje się utworzenie w sąsiedztwie jezior Potęgowskich trzech dalszych obiektów chronionych. Należą do nich: rezerwat leśny pod nazwą „Niepoczołowski Las”, gdzie znajduje się spory płat boru mieszanego o wielu cechach naturalnych; rezerwat leśny wzdłuż brzegów jeziora Kłaczyno Duże o nazwie „Oles nad jeziorem Kłaczyno”, obejmujący fragment lasu mieszanego wykształcony na podmokłych glebach, gdzie w drzewostanie przeważa olsza czarna z domieszką brzozy omszonej; rezerwat torfowiskowy o nazwie „Torfowisko pod Mirachowem”, którego celem jest ochrona roślin torfowiskowych.

Jak z powyższego opisu wynika, wokół jezior Potęgowskich jest nie tylko piękny krajobraz, ale i wiele bezcennych wartości przyrodniczych. Mimo coraz liczniejszej penetracji terenu przez turystów i wczasowiczów ciche to jeszcze ustronie, gdzie bogactwo zmiennego pejzażu i możliwość bliskiego kontaktu z przyrodą zadowolą każdego, kto zdecyduje się na jego zwiedzenie. ■

Izabella Trojanowska

Z podaniem i legendą na kaszubskich szlakach (6)

Kamienica Szlachecka

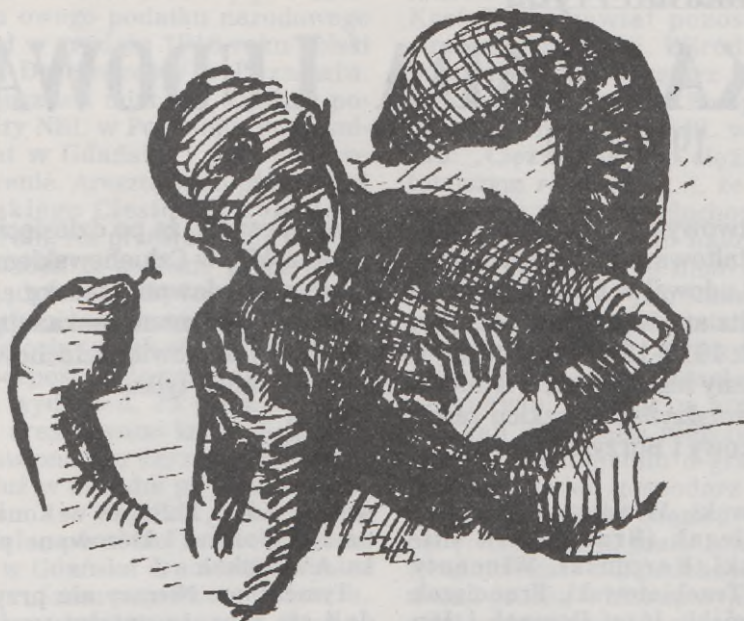
Niespełna kilometr przed wsią Kamienica Szlachecka, odległą dwadzieścia dwa kilometry na południowy zachód od Kartuz, po prawej stronie drogi wiodącej do wsi z Borucina, wznosi się Zamkowa Góra. U jej podnóża płynie strumień, zmierzający do jeziora Glinno i dalej do Jeziora Raduńskiego. Na stromym wierzchołku góry znajdował się kiedyś, znakomicie usytuowany, gród obronny. Zachowane grodzisko składa się z trzech części: dwóch owalnych i półkolistej na skraju szczytu - we wszystkich do dziś są widoczne zagłębienia. Pamięć o grodzie na Zamkowej Górze przetrwała w okolicy w takiej opowieści:

W czasach, gdy Kamienica Szlachecka była, jak wskazuje sama nazwa, szlachecką własnością, pod górą przy drodze do Borucina pał krowy syn jednego z poddanych szlachcica. Pewnego razu wyszła z góry młodziutka pani i powiedziała:

- Przeniesie mnie, knopie, przez strugę, a jô cê dużo dóm. Le pamiętôj, nie mószyć się obzérac!

Chłopak posadził ją sobie na plecach i wszedł do wody. Ale w połowie strumienia coś zaczęło go łąpać z tyłu za nogi i, nim pomyślał, odruchowo się obejrzał. Młodziutka pani zsunęła się wtedy z jego grzbietu i z rozpaczą zawołała:

- Terô będzie jész gorzi jak bêtô!
I znikła. Znikł też zamek, który już z góry się wyłaniał.



Kielno

Między Kartuzami a Wejherowem leży wieś Kielno, znana z zapisów źródłowych od 1340 roku. W średniowieczu nazywała się Kolno. Właśnie z Kolna, dzisiejszego Kielna, miał pochodzić, jak chce legenda, żeglarz wymieniany w zapisach historiografów z XVI-XVIII wieku jako Jan Scolnus, Polak. Żeglarz ów na dwadzieścia lat przed Kolumbem miał odkryć Amerykę!

Kim był Scolnus i gdzie się urodził, historycy nie rozstrzygnęli do dziś. Ubiegli ich pisarze, a pierwszym, który przyswoił żeglarza Kaszubom był kaszubski poeta Hieronim Jarosz Derdowski. Tą nietypową drogą, z literatury do ludowych opowieści (zazwyczaj bywa odwrotnie), trafił Jan Scolnus do Kielna. Dziś na Kaszubach wiadomo, że Jan z Kolna, który ma ulice i w Gdańsku, i w Gdyni, to kieleński rodak.

Kczewo

Jedenaście kilometrów na północny wschód od Kartuz, koło dużej gminnej wsi Przodkowo, leży mała wioska Kczewo. Za wsią wzdłuż szosy ciągnie się w głębokiej dolinie wąską rynną jezioro o tej samej nazwie. Powiadają, że w czasie cofania się wojsk napoleońskich Francuzi zatopili w tym jeziorze ciężką kasę wojenną, żeby nie dostała się w ręce wroga. Potwierdzeniem tego faktu był ponoć następujący przypadek:

Pewnego razu, a było to już dawno, jednego z kczewskich rybaków zaskoczyła na jeziorze burza. Wiatr był tak silny, fala tak wysoka, że łódź się przewróciła i rybak utonął. Kiedy szukano topielca, sieć zahaczyła o coś i żeby jej nie zerwać, jeden z poszukujących zanurkował. Zobaczył wtedy żelazną skrzynię, tak jednak ciężką, że nie mógł jej podźwignąć. Nurkowali potem inni, ale nie udało się jej wydobyć. Ponoć do dziś spoczywa na dnie.

Inna wersja lokalnego podania o kasie wojennej mówi, że trzech Francuzów zakopało ją na skraju wsi. Żeby odnaleźć miejsce, w którym została ukryta, rozrzućli wokół krzemienie. Żaden do Francji nie wrócił, wszyscy po drodze zmarli z wycieńczenia. Ostatni z nich zdążył jednak przed śmiercią powiedzieć o kasie pewnemu Anglikowi, który, wiele już lat temu, do Kczewa przyjechał, znalazł krzemienie i najął ludzi do kopania. Miał im zapłacić kilkaset talarów! Podobno wtedy wykopał żelazną skrzynię, ale - była pusta.

Wierzchucino

Na wysokości północnego krańca Jeziora Żarnowieckiego znajduje się wieś Wierzchucino. Od wydm nadmorskich, odległych o cztery kilometry, oddziela ją Wierzchucińskie Bagno. Dziś nie jest ono takie groźne, ale był czas, że stanowiło siedlisko żmij. Każdemu, kto trafił do Wierzchucina, mieszkańcy wsi opowiadali o tym okropnym sąsiedz-

twie, szukając pomocy lub przynajmniej rady.

I zdarzyło się, że opowiesci o żmijach wysłuchał pewien stary wędrowiec, który rzekł:

- Jõ sę żnijów nie boję.

Obiecał, że za dziesięć talarów wszystkie gady zgładzi.

Kiedy targu dobito, wziął szablę i poszedł na bagno. Tam szablą zakreślił duże koło, sam stanął w jego środku, wyciągnął zza pazuchy zwyczajną fujarkę z drewna i zaczął na niej grać. Ledwie fujarka się odezwała, całe bagno jakby ożyło, zewsząd do starego wędrowca zaczęły pełznąć żmije. Duże, małe, średnie - wszystkie dopętały do kręgu zaznaczonego szablą, kładły na nim głowy i zastygały jak martwe. Na te, które przybyły pierwsze, wpętały następne i następne i wokół grajka narastał żmijowy wał. Żaden z gadów zakłętego koła nie przekraczał.

Gdy wszystkie żmije z bagna już wypętyły, na ostatek pokazała się ich królowa. Gruba, w złotej obręczy na łbie. Zobaczywszy ją, wędrowiec spociał się ze strachu i zaczął krzyczeć:

- Cziejbõ jõ wiedzõt, że ona tu je, jõ bõ sę lepi wészëkował. Terõ je ju po miel!

I tak też było. Bo królowa żmij przekroczyła koło zakreślone szablą i wtedy runęły za nią na grajka wszystkie żmije. Marnie zginął stary wędrowiec. Ale jego śmierć nie była daremna - wyginęły też gady. Od tego czasu jest ich w Wierzchucińskim Bagnie niewiele, można w Wierzchucinie żyć i pracować. Stąd we wsi wdzięczna pamięć o starym wędrowcu, który nie zdążył nawet zainkasować owych dziesięciu talarów.



Ilustracje M. Malinowska

CZŁUCHOWSKA RADA LUDOWA

1918-1920

Niedawno odnalezione w Archiwum Państwowym w Bydgoszczy dokumenty sprawiły, że po dziesięciu latach wróciłem ponownie do sprawy kształtowania się granicy polsko-niemieckiej w Człuchowskim.

Akta Podkomisariatu Naczelnej Rady Ludowej w Gdańsku wzbogaciły się od niedawna o teczkę zatytułowaną „Strafakte des Pfareers Schultz aus Konarzyn”. Znajdują się w niej dokumenty wskazujące bezspornie na istnienie i działalność w latach 1918-1920 Powiatowej Rady Ludowej na powiat człuchowski.

Fakt ten nie był dotychczas znany historykom, o istnieniu rady wspomnieli tylko

Cezary Obracht-Prondzyński w szkicu zamieszczonym w tomiku „Borzyszkowy i Borzyszkowsky” (Gdańsk 1991).

1 grudnia 1918 roku w Borzyszkowach i Brzeźnie Szlacheckim odbyły się wiece ludności polskiej, na których wybrano delegatów do Polskiego Sejmu Dzielnicowego w Poznaniu oraz wybrano parafialne rady ludowe. W Brzeźnie mandatem delegata obdarzono znanego działacza narodowego, Augustyna Lew Kiedrowskiego. Reprezentować miał parafie Brzeźno i Borowy Młyn. W Borzyszkowach wybrano dwóch delegatów: ks. Leona Reimera i gospodarza Jana Ziółkowskiego. Tydzień wcześniej, 24 listopada podobny wiec odbył się w Konarzynach. Prawdopodobnie wybrano wówczas także delegata do Sejmu dzielnicowego - proboszcza ks. Alfonsa Schultza. Jedynie on z całej czwórki wziął udział w posiedzeniu Sejmu w Poznaniu w dniach 3-5 grudnia 1918 roku (wymieniono go w spisie sejmowym jako przedstawiciela powiatów człuchowskiego i złotowskiego). Dlaczego nie dotarli pozostali? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć. Być może, zważywszy na ówczesne trudności komunikacyjne i wrogą postawę Niemców wobec niepodległościowych akcji Polaków, nie zdołali po prostu wyruszyć ze swych miejscowości.

W trakcie wspomnianych wieców wybrano także parafialne rady ludowe. W Konarzynach obok księdza A. Schultza do rady weszli: Gospodarek, Ciesiołka, Dykler, Józef Jeszka (Reszka?), Józef Oliś, Ostrowski, Aleksander Meger. W Borzyszkowach: ks. Leon Reimer, Władysław Lipiński, Franciszek Ginter, Wojciech Lemańczyk, Leon Ossowski, Edward Lesmann, Maksymilian Gubiński i Jan Borzyszkowski. W Brzeźnie wybrano wspólną radę dla parafii Brzeźno i Borowy Młyn. W jej skład weszli: ks. Leon Rygielski, Augustyn Lew

Kiedrowski, Władysław Rompa, Jan Spiczak (Brzeziński), Gliszczyński, Karpiński, Wincenty Żmuda Trzebiatowski, Franciszek Gliszczyński, Józef Domach i Jan Mysza - wszyscy z Brzeźna oraz ks. Bernard Gończ, Jan Skiba, Franciszek Rudnik, Kapiszka, Marcin Fryda, Franciszek Ryngwelski, (Józef?) Fryda, Krauze, Gliszczyński i Anna Rudnik. (W niektórych przypadkach nie sposób ustalić imion członków rady, ponieważ nie podano ich w dokumentach, a często ludzi o tych samych nazwiskach było we wsi wielu. Na uwagę zasługuje obecność w radzie kobiety - Anny (Agnieszki?) Rudnik z Borowego Młyna. Rudnikowie byli właścicielami miejscowej karczmy, gdzie ogniskowało się ówczesne życie polityczne i kulturalne wsi i okolicy).

Już po powrocie ks. A. Schultza z Poznania, 6 grudnia 1918 roku odbyło się w Konarzynach spotkanie członków parafialnych rad ludowych z wymienionych wyżej parafii, na którym ukonstytuowała się Powiatowa Rada Ludowa na powiat człuchowski. Na jej przewodniczącego wybrano ks. Alfonsa Schultza, zastępcą został ks. Leon Reimer, proboszcz z Borzyszków, sekretarzem Władysław Rompa, nauczyciel z Brzeźna Szlacheckiego, a skarbnikiem Augustyn Lew Kiedrowski, gospodarz z Brzeźna.

Od tej pory wszelką korespondencję z Podkomisariatem Naczelnej Rady Ludowej (NRL) w Gdańsku prowadzili: ks. A. Schultz lub W. Rompa.

Wraz z powołaniem rad parafialnych uaktywniły się polskie towarzystwa działające na tym terenie: Spółka Pożyczkowa, założona w 1869 roku i Towarzystwo Ludowe w Brzeźnie, kierowane przez ks. L. Reimera i A. Lew Kiedrow-

skiego; Kółko Rolnicze w Konarzynach, założone i kierowane przez ks. A. Schultza.

Tymczasem Niemcy nie przyglądali się biernie patriotycznemu ożywieniu Kaszubów człuchowskich. Pierwszego zaatakowano przewodniczącego rady powiatowej. 15 stycznia 1919 roku na plebanii w Konarzynach pojawił się pracownik sądu w Człuchowie w towarzystwie dwóch żołnierzy i miejscowych żandarmów. Oświadczył proboszczowi, że ma nakaz prokuratora przeszukiwania plebanii i podwórka w poszukiwaniu ukrytych rzekomo karabinów i amunicji. Po trzech godzinach bezowocnych poszukiwań Niemcy opuścili plebanię. Po południu w Konarzynach pojawiła się grupa żołnierzy z Czarnego, mająca również polecenie szukania broni. Dowiedziawszy się jednak na posterunku policji, że rewizję przeprowadzono już rano, żołnierze zaniechali poszukiwań. Następnego dnia ci sami żołnierze zjawili się ponownie na plebanii, tym razem z nakazem rewizji kościoła i jego podziemi. Trudno powiedzieć, czy owe, zdawałoby się opieszale, działania władz niemieckich były tylko wynikiem nieskoordynowania działań prokuratury i wojska czy też był to celowy zabieg mający wywołać atmosferę strachu i zagrożenia wśród ludności polskiej. Ks. A. Schultz, wezwawszy na świadków przeszukiwania dwóch członków rady parafialnej, pozwolił na rewizję. Oczywiście nic nie znaleziono. Żołnierze tylko zniszczyli jedną z klamer żelaznych na płycie kamiennej zasłaniającej wejście do krypty. Przeprowadzono także dodatkową rewizję w plebanii, skąd zabrano listę ofiarodawców na nową „drogę krzyżową” w kościele oraz listę tych, którzy złożyli ofiary na tzw.

„skarbu narodowy”. Decyzję o zbieraniu owego podatku narodowego podjął w grudniu 1918 roku Polski Sejm Dzielnicowy w Poznaniu. Fundusz ten miał być dzielony pomiędzy NRL w Poznaniu, Podkomisariat w Gdańsku i rady ludowe w terenie. Aresztowano przy okazji niejakiemu Ciesiołkę, kolektora w parafii. Na przesłuchaniu podobno zeznał, że zebrane przez niego pieniądze miały być przeznaczone na organizację wojska polskiego. Informacja ta, jak się wydaje, stała się bezpośrednią przyczyną kolejnych wydarzeń. 25 stycznia 1919 roku aresztowano ks. A. Schultza. Postawiono mu zarzut zdrady stanu. Już w dwa dni po jego aresztowaniu ks. Szydzik, proboszcz z Wiela, pisał do Podkomisarza NRL w Gdańsku dra Józefa Wybickiego: „Szanowny Panie Doktorze, w sobotę aresztowano ks. Proboszcza Schultza z Konarzyna, rzekomo za zbieranie podatku narodowego. Nie można w tej sprawie co zrobić?”

Tymczasem ks. Schultz siedział w areszcie sądowym w Człuchowie. Jego obrony podjął się Feliks Kopiczki, adwokat z Chojnic, znany działacz niepodległościowy. Interweniowały liczne polskie organizacje, wśród nich Rada Żołnierzy Polaków w Gdańsku. Dopiero 24 marca 1919 roku władze niemieckie uznały, że nie ma podstaw do dalszego przetrzymywania księdza w areszcie. W Konarzynie powstał komitet powitalny. Specjalną sztafetą powozów konnych przewieziono księdza do Konarzyna. Jednym z organizatorów tej akcji był Bernard Tyborski, późniejszy ochotnik w wojnie z bolszewikami.

Atmosferę tamtych dni najlepiej oddaje treść okolicznościowej ulotki: „Lud polski serdeczną radością przyjmuje wiadomość o uwolnieniu zasłużonego działacza na niwie narodowej, a ludność niemiecka ma teraz sposobność przekonania się jak bezpodstawne były i są oskarżenia ludności polskiej, że uprawia zdradę stanu i dopuszcza się czynów karygodnych”.

Tymczasem w Wersalu rozstrzygały się sprawy Polski. Kwestia granicy polsko-niemieckiej na Pomorzu stała na forum obrad Rady Najwyższej w końcu stycznia 1919 roku. Wkrótce też powołano specjalną Komisję do Spraw Polskich, która zajęła się sprawami szczegółowymi.

Ludność powiatu człuchowskiego w pierwszej połowie maja 1919 roku dowiedziała się z lokalnej prasy

(„Kreis-Blatt für den Schlochaer Kreis”), że powiat pozostaje po stronie niemieckiej. Wśród Kaszubów zawrzało. Sekretarz Powiatowej Rady Ludowej W. Rompa pisał do Podkomisariatu NRL w Gdańsku: „Ciężko, bardzo ciężko było tutejszym rodakom (...), że ta polska część powiatu człuchowskiego nie jest włączona do naszej ukończonej Polski. W tę niedzielę widziałem dopiero jak Kaszuby po polsku czują. Po południu przebywałem na plebanii i tu przychodzili obywatele Brzeźna (Szlacheckiego) i ciekawie, z wielkim strachem trzymali swe blatki (gazety) w ręku, aby im niejedno o granicach objaśnić. Jeden gospodarz odchodząc rzekł: »Spod Niemca uciekać będę!« (...) Co ja mam robić? Już teraz uciekać?”. Z podobnym pytaniem i prośbą o bliższe wyjaśnienie całej sprawy zwracał się także proboszcz z Borzyszków. W jego liście odnajdujemy jednak pewne nutki nadziei: „A może to tylko gazety podały nieprawdę”. I miał rację czcigodny borzyszkowski dobrodziej. W tekście traktatu przedstawionym do podpisania Niemcom 28 czerwca 1919 roku parafie: Borzyszkowy, Borowy Młyn, Brzeźno Szlacheckie i Konarzyna znalazły się po stronie polskiej. Rozpoczęły się przygotowania do wyznaczenia granicy w terenie.

Dobrze znany i wielokrotnie opisany jest epizod wytyczania granicy na odcinku Borowy Młyn - Brzeźno Szlacheckie. Dziś możemy powiedzieć nieco więcej o odcinku konarzyńskim, a to dzięki odnalezionemu w archiwum parafialnym w Konarzynie sprawozdaniu specjalnego przedstawiciela starosty w Chojnicach, delegowanego do nadzorowania wytyczania linii demarkacyjnej na tym odcinku.

Akcję wytyczania owej linii rozpoczęto 16 lutego 1920 roku o godz. 10.00 od spotkania na szosie Konarzyna - Sapolno niemiecko-polskiej komisji. Polską stronę reprezentował por. Rozkosz, delegat starosty oraz ks. A. Schultz. Stronę niemiecką - landrat człuchowski w towarzystwie przedstawiciela urzędu mierniczego. Po każdej ze stron zebrała się miejscowa ludność. „Żywiol polski atoli daleko przeważał”. Komisja przystąpiła do pracy, ale wnet okazało się, że linia graniczna jest przeprowadzona ze stratą dla strony polskiej. Polacy zaprotestowali. Argument komisji, że granica powinna biec obrzeżami gmin lub gospodarstw nie trafił do przekonania, ponieważ

ustępstwa dotyczyły w istocie tylko strony polskiej, a nie obu stron. Prace komisji przerwano. Delegat starosty zwrócił się o decyzję do Chojnic. Po dwóch godzinach przyszła odpowiedź: „Wytyczać granicę zgodnie z mapą!”. Około godziny 15.00 komisja ponownie rozpoczęła pracę. „Lud okoliczny wielkimi gromadami ciągnął za komisją, nie mogąc pojąć, że żołnierz polski dobrowolnie oddaje część co dopiero oswobodzonej ojczyzny. Nie dał się lud przekonać, że to tylko linia tymczasowa, twierdząc, że co Niemiec ma, tego więcej nie odda (...). Naprężenie było takie, że lud wnet rzucił się na wojsko polskie i niemieckie. Było trzeba całego wpływu ogólnie lubianego ks. Schultza, aby lud uspokoić”.

Podobnie groźnie przedstawiała się sytuacja w północnej części powiatu. Dostyc powiedzieć, że wytyczanie granic ostatecznie przerwano, a całą sprawą zajęła się międzynarodowa komisja graniczna, której siedzibą był Toruń. W połowie maja 1920 roku komisja przybyła na miejsce i zdecydowała o nowym wytyczeniu linii granicznej, w większości miejsc zgodnie z postulatami Kaszubów.

Na koniec kilka słów o dalszych losach wspaniałego konarzyńskiego jegomościa. W latach II Rzeczypospolitej działał bardzo aktywnie na niwie narodowej i społecznej. W latach trzydziestych był między innymi senatorem. Zginął, zamordowany przez hitlerowców, w obozie Stutthof.

PRENUMERATA

„Pomeranie” można zaprenumerować u listonosza (na terenach wiejskich) albo na swojej poczcie, z gwarancją otrzymywania pisma, bez żadnych dodatkowych opłat, do domu.

Termin przyjmowania prenumeraty na I kwartał roku przyszłego minął 20 listopada br., do 15 lutego można jeszcze opłacić prenumeratę na II kwartał.

Cały czas prenumeratę, na I i II kwartał, przyjmuje redakcja i biuro ZK-P. Prenumerata kwartałna w kraju na 1994 rok wynosi 36 tys. zł, półroczna 72 tys. zł; za granicę kwartałna 96 tys. zł, półroczna 192 tys. zł.

Prenumeratę za granicę przyjmuje również Ruch-Zakład Kolportażu Prasy i Wydawnictw, 00-958 Warszawa, konto PBK XIII Oddz. Warszawa 37004-1195-139-11

Spór o drogę

Każdy felietonista pisze jakby na własny rachunek, ma prawo przedstawić indywidualne, często kontrowersyjne poglądy. Niby to oczywiste dla wszystkich, niemniej większość naszych czytelników skłonna jest kojarzyć felietony Tadeusza Bolduana „Na gorąco” z redakcyjnymi „wstępniakami” zawierającymi, jeśli nie wykładnię, to przynajmniej stanowisko redakcji w poruszonych kwestiach o istotnym znaczeniu dla Zrzeszenia, dla całej społeczności zrzeszonej. A tak de facto nie jest. Redakcja „Pomeranii” nie pozostaje obojętna na różne propozycje tematyczne, poglądy, stanowiska, opcje, szczególnie jeśli rzecz dotyczy regionalizmu, tożsamości kulturowej Kaszubów, polityki czy ideowych podstaw ruchu kaszubsko-pomorskiego. Publikujemy je, choć w niektórych przypadkach mamy w zespole redakcyjnym nieco inne, niekiedy diametralnie odmienne zdanie niż to, które sformułował dany autor.

Bywa i tak, że w autorskim tekście są stwierdzenia i wnioski budzące zbyt duże wątpliwości, mogące stanowić pożywkę dla różnych nieporozumień, dziwnych wyobrażeń i fantazyjnych interpretacji. Wówczas niezbędny jest krytyczny komentarz, wskazujący na nieprzystawalność punktów widzenia redakcji i danego autora. Do takiej właśnie reakcji zmusza tekst z drugiej strony „Pomeranii”, który Tadeusz Bolduan opatrzył wymownym tytułem: „Własną drogą”

Już w pierwszym akapicie czytamy o „wartościach, które legły u podstaw ruchu kaszubsko-pomorskiego”. Czytelnik zostaje więc niejako uprzedzony, że obiektywna ocena obecnej strategii Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego wymaga zastosowania kryterium etycznego, którego wyznacznikiem, bodaj najważniejszym, jest zaakcentowane w tekście „szeroko rozumiane dobro Pomorza”. W porządku. Publicysta jest od tego, by krytykować, piętnować „śpiączkę” wielu naszińców, szukać także środków zaradczych, stawiać diagnozy. Ale bez popadania w jednostronność i skrajność osądów, o co łatwo, gdy nie wyważa się racji i argumentów.

Tekst „Własną drogą” zaczyna się pięknie - pochwałą umiaru. Wydawałoby się zatem, że sam autor docho- wuje w nim wierności cnocie umiaru. Tymczasem nie, wręcz przeciwnie. Serwuje nam kategorycznie sądy

i stwierdzenia. Oto obwieszcza „gorzką prawdę”, że „Zrzeszenie nie jest już tą organizacją, o jakiej myślał Lech Bądkowski i wcale małe grono działaczy niegdyś w niej zaangażowanych. Oni liczyli na młodych, że lepiej ją poprowadzą w kraju wolnego słowa i odzyskanej suwerenności politycznej, że wniosą do niej ducha nowoczesnego regionalizmu politycznego, łączącego śmieiej wielość w jedność”.

Czy rzeczywiście Zrzeszenie weszło na taką drogę, obrało taką formułę, która nie mieści się w koncepcji krajowości Lecha Bądkowskiego? Przecież gros wysiłków zrzeszeniowych jest zorientowanych na „budowę tak zwanej krajowości, czyli samorządowego regionu, opartego na jego wartościach duchowych i materialnych”. Właśnie to zadanie, wyeksplikowane we wstępie T. Bolduana do „Twarzą ku przyszłości” L. Bądkowskiego, stara się „w kraju wolnego słowa” urzeczywistniać Zrzeszenie. Fakt, iż opowiedziało się ono za respektowaniem zasady neutralności politycznej, nie oznacza, że nie ma woli bycia podmiotem wpływającym na politykę, na charakter rozstrzygnięć i decyzji, zgodny z oczekiwaniami społeczności zrzeszonej, w ogóle mieszkańców Kaszub i Pomorza. Prawomocna pozostaje więc zasada partycypacji w życiu politycznym nie naruszająca niezależność zrzeszeniowej. Wewnętrzna autonomia nie jest jakimś fetyszem, który uniemożliwia uczestnictwo Zrzeszenia w wyborach samorządowych i do parlamentu. Akces ZK-P do Ligi Regionów, to chyba kolejny krok na drodze do „nowoczesnego regionalizmu politycznego”.

W wydaniu praktycznym ów regionalizm nie jest wolny od rozmaitych defektów i słabości, ważne jednak, że usiłuje godzić troskę o duchowe wartości, które należy wzbogacić i rozwinąć (zakorzenienie we wspólnotcie i tradycji, żywy i twórczy stosunek do własnego dziedzictwa kulturowego), z otwartością na szersze inspiracje i kontakty w skali krajowej i europejskiej. Odpowiednich przykładów nie brakuje. W obecnej działalności ZK-P bez trudu można odnaleźć istotne elementy myśli programowej Lecha Bądkowskiego, który akcentował m.in. umiowanie małej ojczyzny, unowocześnienie mentalności i struktury społeczeństwa kaszubsko-pomorskiego, przestawienie się z postawy obronnej na bardziej ofensywną, podnoszenie rangi Pomorza w obrębie wspólnoty polskiej, bliższe kontakty z nadbałtyckimi sąsiadami, wpisywanie regionalnych wartości w kontekst bardziej uniwersalny. Felietonista jakby tego nie dostrzegał. Owszem, w pełni zgodzić się z nim trzeba, gdy oświadcza, że „potrzebny jest, jak nigdy przedtem, przejrzysty program ZK-

P. Program na dziś i jutro”. Wierzę, że taki program powstanie w najbliższym czasie. Póki co zastępują ten program rozmaite - wcale liczne - wypowiedzi publicystyczne, refleksje na temat tożsamości etnicznej, wskazanie jak w praktyce codziennej oddziałów ZK-P osiągać cele zbiorowe, analizy i spory o kształt założeń programowych.

Skądinąd jednak wiadomo, że posiadanie najwspanialszego programu nie rozwiązuje jeszcze wszystkich kwestii, nie oznacza też, że organizacja automatycznie wchodzi w etap nowej dynamiki. Trzeba go jeszcze na- pełnić żywą treścią.

Kolejny postulat: „wielość w jedno- ści”. Felietonista oświadcza, że ów postulat czy raczej podstawowa zasada, określająca pragmatyczne działania, nie jest chyba właściwie rozumiana i realizowana w Zrzeszeniu: „Jestem pełen niepokoju - wyznaje - że Zrzeszenie może zaprzepaścić to, co było jego siłą, mianowicie jednoczenie na równych prawach wszystkich opcji politycznych i ideologicznych we własnym interesie”. Zrzeszenie skupia ludzi o różnych poglądach politycznych, należących do różnych

polemika

ugrupowań, którzy mogą uczestniczyć w kampaniach wyborczych na własny rachunek. Rzecz wygląda jednak inaczej, gdy Zrzeszenie samo lub we współdziałaniu z określonym ugrupowaniem występuje na zewnątrz, np. w wyborach do parlamentu. Wówczas decydującego znaczenia nabiera pytanie o wartości nadrzędne, których nie powinno się narażać na szwank! Dlatego jeśli współpraca, to wybór pada na ugrupowania bliższe programowo ZK-P. „Jednoczenie na równych prawach wszystkich opcji politycznych i ideologicznych” wydaje się być nie najlepszą receptą. Próby jej urzeczywistnienia sprowadzałyby się do tworzenia paradoksalnej jedności w łonie ZK-P różnych nurtów, często biegunowo przeciwnych, nawet tych, które występują przeciw decentralizacji i regionalizacji kraju. Wstąpienie na tego rodzaju drogę prowadziłoby do rozmycia własnej autentyczności. Logiczny jest wniosek, że akceptacja takiego modelu działania oznaczałaby prymat zasady: cel uświęca środki. Rozumiem, że red. Bolduan proponując odejście od „selekcjonowanych opcji” na rzecz całościowych, że tak powiem - wszechpolitycznych opcji, kieruje się uzasadnioną troską o dobro Pomorza.

Oto dalsze sugestie, które według Tadeusza Bolduana są kluczem do sukcesu: „popierać każdego w każdej sytuacji (...) byleby miał na oku dobro Pomorza (...)”. Każdy poseł i senator z Pomorza musi mieć poparcie Zrzeszenia (...). Współpracować trzeba z każdym, nawet z diabłem, jeśli dysponuje on pozytywną mocą sprawczą”. Niektórzy mówią, że świat polityki jest rewirem diabła. Tak źle chyba nie jest. Powiedziałbym, że w ciemno nie można nawiązywać współpracy nawet z aniołem, nie zapytawszy wprzód o jego polityczne opcje i sympatie.

Opowiedzenie się Zrzeszenia za szeroką współpracą z każdym, kto wstępuje w szranki polityki niezależnie od tego, jaki obóz reprezentuje, w istocie oznacza rezygnację z etyki odpowiedzialności, może utratę twarzy, a na dłuższą metę utratę spodziewanych sukcesów politycznych. Iluzoryczne jest też założenie, iż ZK-P umiejscawiając się ponad podziałami i partiami, oferując im pomorskość jako odskocznice do startu, zachowa swą tożsamość i wypłynie na szerokie wody nowoczesnego regionalizmu. Krajowość pomorska to nie worek, do którego wszystko można wrzucić.

Rzeczywistość polityczna znajduje się pod ciśnieniem prądów z prawej i lewej strony. W okresach politycznych przełomów mieszają się one z sobą, co znajduje odbicie w aliażu programów partyjnych. Coś takiego można zaobserwować w polskich partiach. W rezultacie podziały i granice, szczególnie w warstwie programowej, są nieco zamazane. Niemniej żywotna jest potrzeba rozróżniania prawicy i lewicy. Nawiązuje do tego podziału T. Bolduan, zaznaczając, że prawica rozdrobniona, wewnętrznie skłócona zafundowała sobie wyborczą klęskę. To prawda. Czy ma ona w przyszłości szanse - to inna kwestia. Czynienie zarzutu, że „Wybory do parlamentu zachwiały równowagę polityczną Zrzeszenia. Przynajmniej zewnętrznie wyglądało to tak, jakby nasza organizacja straciła swoją busolę i zdecydowanie odchyliła się na prawo” - wywołuje zdumienie. Czyli: konsekwencją zagubienia busoli, wyznaczającej prawidłowy kurs, jest prawicowe odchylenie i pełny dryf. Tylko patrzeć, jak zrzeszeniowy statek rozbije się o skały albo na dobre ugrzęźnie na miellźnie. Skonfrontowanie tych fatalistycznych sądów ze stanem faktycznym nie potwierdza ich prawdziwości. Wszak we wrześniowych wyborach do parlamentu Zrzeszenie, którego kandydatem do Senatu był prof. Edmund Wittbrodt, nie zawierało żadnych aliansów. Skąd więc zarzut prawicowości i utraty busoli? Spory o lewicę i prawicę zostawmy partiom i koalicjom. Wszyscy pragniemy Polski normalnej. Czy siłą

sprawczą tej przebudowy może być lewica? - jak sugeruje T. Bolduan. Ocenia to historiografia, która „wszystko selekcjonuje i wartościuje”. ■

Prof. dr Alfred Majewicz

Kasubaska Biblia

Wielce Szanowna Redakcjo, w związku z ogłoszonymi ostatnio na waszych łamach („Pomerania” 7-8/93) polemikami z recenzją prof. Edwarda Brezy tłumaczenia Ewangelii dokonanego przez księdza prałata Franciszka Gruczę, chciałbym zabrać głos w obronie prawa prof. Brezy do opinii, które w swej recenzji uznał za stosowne przedstawić, nawet jeśli opinie te są zdaniem oponentów nie do przyjęcia czy wręcz nieprawdziwe. Nie dostrzegam dokładnie żadnych powodów, które mogłyby dać asumpt do przypuszczeń o wyłącznie złej woli jako podłożu ogłoszonej przez prof. Brezę w „Pomeranii” recenzji.

Dzieło wypuszczone z rąk autora poprzez publiczne ogłoszenie zaczyna swoje życie odrębne, w oderwaniu od twórcy i jako takie musi bronić się samo. Bronić przed opiniami, także negatywnymi, nawet niesprawiedliwymi, złośliwymi, kłamliwymi, dalekimi od merytoryczności (i broń mnie Bóg, abym wyliczonymi tu przykładowo epitetami miał zamiar etykietować recenzję prof. Brezy). Bronić też przed czasem, bo w ostateczności czas jest najbardziej bezwzględny weryfikatorem wartości wszelkich naszych dokonań. Twórca, decydując się wypuścić w świat swoją pracę, musi na to przystać, musi się z tym pogodzić.

To wszystko nie znaczy, abym broniąc prawa prof. Brezy do swojego zdania w tej materii odmawiał takiegoż prawa tym, którzy się z tym zdaniem nie godzą, reprezentując stanowisko zupełnie odmienne.

Błędów, powiada się, nie robi ten, kto nic nie robi. Właściwie i taki robi błąd, błąd jeden i trudny do wybaczenia - błąd zaniechania. Choć nic nie zwalnia nas od dążenia do doskonałości, niemal wszystko, co robimy, naznaczone jest piętnem naszej słabości. To, że w publikacji tłumaczenia tekstów biblijnych księdza Gruczy są błędy i niedoskonałości, to normalne, tak nawet powinno być. Ich stwierdzenie to banal. Źle jest dopiero, kiedy

przy błędach upieramy się trwać. Kiedy popełniamy inny poważny grzech zaniechania - zaniechanie próby naprawienia.

Należałem do tych, którzy bardzo popierali nie tylko ideę, ale i działania zmierzające do wydania owocu trudu księdza Gruczy i jestem przekonany o słuszności i zasadności mojego stanowiska w tej sprawie (zajętego, na wszelki wypadek dodam, nie bez stosownego rozeznania co do walorów autentyczności i estetyki języka tłumaczenia), jestem przekonany o tym, że w przyszłości Kaszubi będą z tego dokonania (podobnie jak z dokonania pana Eugeniusza Gołąbka) swojego ziomka i swojego duchownego, działającego z pobudek mających swoje źródło w głębokim ukochaniu swojej kaszebizny, tylko dumni.

Miałem zaszczyt gościć u siebie w Stęszewie księdza Gruczę w towarzystwie wydawcy jego tłumaczenia - ks. Antoniego Kleina. Spotkanie uwieczniłmy nawet na fotografii na tle słynnej w lingwistycznym świecie „ściany słowników”. Rozmawialiśmy wtedy też o możliwej recepcji tego tłumaczenia, o tym, że wszystko, co nowe, inne, z reguły jest

polemika

przymirowa-
ne z oporami, o możli-
wych artykulacjach odrzucenia.

Krótko potem ksiądz Grucza napisał do mnie list, który tych - dla niego niestety bolesnych - problemów związanych z recepcją i odrzucaniem dotyczył. Na list naturalnie odpowiedziałem - z przesłaniem podobnym powyższemu - ale po kilku dniach moja epistoła znalazła się ponownie na moim biurku z adnotacją pocztowego urzędnika „zwrot, adresat nie żyje”. Tak dowiedziałem się o śmierci mojego niedawnego gościa, autora pierwszego opublikowanego pełnego tłumaczenia Ewangelii na kaszubszczyznę.

List, który wrócił, nieodpoczętowany pozostał w moich archiwach, jednak uważam, że podobnie jak Biblijō księdza Gruczy, należy on teraz do literatury kaszubskiej i jej historii. Stąd złączam go tu i proszę uprzejmie „Pomeranie” o łaskawe pośrednictwo w przekazaniu go do Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie. Od tej instytucji powinno założyć, co z listem należy zrobić. ■

Prośbę autora spełniliśmy - list przekazaliśmy na ręce dyrektora muzeum Bogusława Brezy.

Red.

Jerzy Treder

O słowniczku i uwagach, o wymowie i pisowni w tłumaczeniu Ewangelii ks. F. Gruczy

Po wejrzeniu w pierwotny wydruk - w postaci czterech książeczek - kaszubskiego przekładu Ewangelii ks. F. Gruczy i na prośbę ks. dra Antoniego Kleina zgodziłem się - nie bez oporów - pomóc w ujednoliceniu i uporządkowaniu wyłącznie ortografii. Przy podejmowaniu tej decyzji nie liczyło się pozostanie anonimem i ogólna awersja do pisowni Gruczy. Nieraz zresztą podkreślałem, iż sprawa pisowni nie powinna paraliżować twórczości literackiej i aktywności wydawniczej Kaszubów. Uradowałem się zatem z samego zaistnienia publicznie translacji Ewangelii na kaszubski. Zabierając się do tej pracy pragnąłem, by tekst był możliwie staranny i jednolity ortograficznie.

Powiem szczerze, że poprawiany tekst czytałem mimo wszystko z dużą przyjemnością. Napracowałem się raczej solidnie, gdyż poprawek było sporo. Część tej przyjemności i satysfakcji z wykonanej pracy odebrał mi potem wstęp, szczególnie w pierwszej wersji w egzemplarzach okazowych, o którym mówiłem publicznie w drugim dniu Kongresu Kaszubskiego, a więc nazajutrz po otrzymaniu egzemplarza. Za moją sugestią Ks. Klein samodzielnie zdecydował o przestyliizowaniu niektórych sformułowań, które już lepiej brzmią w kontekście Chrystusowej nauki o miłości. Muszę tu koniecznie dodać, że ks. Antoni zasłużył sobie na najwyższe uznanie za włożoną pracę i koordynację całego przedsięwzięcia. Był serdecznie zmartwiony tym, że z jakichś tam powodów mój trud pozostanie bezimienny.

Nie spodziewałem się - jak i ja - tak rychłego ujawnienia tego faktu, w dodatku z koniunkturalnymi przekłamaniami na użytek polemiki z moim Kolegą i jednym z członków onegdajszej komisji ortograficznej, który w swojej recenzji nie odkrywał - zgodnie z moją wolą - mojej roli w drukowanym kształcie tłumaczenia F. Gruczy. Jabłoński i Pryczkowski powinni byli o wszystkim wiedzieć dokładnie. Tymczasem oddają mi łaskawie tylko

stworzenie „zarysu słowniczka i uwag”. Jeśli już było im dogodnie akurat w polemice z E. Brezą mówić na ten temat głośno, to powinni się trzymać faktów.

Oświadczam w związku z tym, iż ów mały słowniczek i krótkie uwagi o wymowie i pisowni zaistniały w tym tłumaczeniu wyłącznie z mojej inicjatywy. Nieodczyna, moim zdaniem, instrukcja o wymowie i pisowni co do przecinka pochodzi ode mnie, w mniej zaś może niezbędnym słowniczku drobny udział ma tłumacz lub ktoś z jego otoczenia. Nie zawsze to było zresztą konieczne i trafne: 1. wprowadzać wyrazy zrozumiałe, np. „bóżnica 'synagoga', dil 'koper', 2. dopisywać objaśnienia synonimiczne, np. chłěch 'płacz', też 'lament', 3. wprowadzać dalsze znaczenia, niekoniecznie występujące w tekście, np. często-wac 'częstować' (por. bédowac), dokôz 'dzieło', dwórznicja 'pole blisko zabudowań', 4. eliminować pewne znaczenia, np. czëp 'wieża': na czëpie swjätijnicë (Mt 45), 5. likwidować niektóre hasła wyrazowe, np. dobro 'majątek' (Mt 26, 47), dokumentno 'dokładnie' (w przedmowie do Mk). Porównanie wersji drukowanej z rękopiśmienną nie dostarcza uzasadnienia dla zdania, aby „w dużym stopniu rozbudował słowniczek jeden z niżej podpisanych”.

Na marginesie dodam, że byłem zaskoczony pełnym zaaprobowaniem owego słowniczka i uczynieniem zeń integralnej części książki, gdy osobiście sugerowałem osobną, luźną wkładkę. Zreszeńcy raczej protestowali, by objaśnić po polsku adresowany do Kaszubów tekst kaszubski. Nie można odmówić logiki takiej postawy. Wynikała ona z głębszych pobudek, słowniczek bowiem jakby wspierał opinie, że ich kaszubszczyzna jest dość odległa od potocznej mowy Kaszubów.

Wbrew oczywistym faktom adwersarze E. Brezy moją rolę w tym zakresie wyraźnie pomniejszili, chociaż „zasłużonej chwały” nie odmówili. „Odtajnił” jednak równocześnie mój wkład w ostateczny kształt pisowni, napisali bowiem: „zrobił jedną korektę druku”. I tak było rzeczywiście, a nie będę już wchodził w to, na ile była ona skuteczna.

Byłem wszakże kontrolowany, choć w tym „niewątpliwie jestem osobą kompetentną”, jak zdają się przyznawać polemisci. Podkreślam fakt jednej korekty i jej kontroli, żeby wziąć na siebie część ewentualnych uchybień w tej materii. Przy jednym czytaniu coś mogło ująć uwagę, a przy zagęszczeniu poprawek niektóre mogły nie zostać usunięte.

Tak w skrócie i zwyczajnie wygląda prawda o moim wkładzie w tych konkretnych sprawach. Na anonimowość wyraziłem zgodę, nie zgadzam się natomiast na publiczne zafałszowanie mojej w tym przedsięwzięciu roli. Na inne tematy, sprawność języka i wierność tłumaczenia, nie mam czasu i ochoty wypowiadać się teraz.

Węjherowo 25 września 1993

Jerzy Szukalski

250 ROCZNICA POWSTANIA TOWARZYSTWA PRZYRODNICZEGO W GDAŃSKU

Na początku bieżącego roku minęła 250. rocznica powstania Towarzystwa Przyrodniczego w Gdańsku. Stała się ona okazją do przypomnienia wielostronnej działalności naukowej tego wielce zasłużonego dla Gdańska i Polski stowarzyszenia oraz wybitnych ludzi, którzy przyczynili się do jego świetności i rozstawienia osiągnięć gdańskiej nauki w Europie.

Gdańskie Towarzystwo Naukowe będące spadkobiercą i kontynuatorem dzieła Towarzystwa Przyrodniczego rocznicę uczciło jednodniową sesją naukową w dniu 28 maja, którą przygotował Wydział V Nauk o Ziemi GTN. Wygłoszone na niej referaty ukazują osiągnięcia Towarzystwa w zakresie obserwacji meteorologicznych i astronomicznych w XVIII w. oraz problematykę badawczą z zakresu fizyki, matematyki, geomorfologii, botaniki, medycyny i farmacji, która na przestrzeni dziejów zaprzętała umysły światłych mieszkańców Gdańska i zapraszanych do tego miasta gości krajowych i zagranicznych.

W przerwie obrad uczestnicy sesji zwiedzili Zieloną Bramę - pierwszą siedzibę Towarzystwa Przyrodniczego i budynek Muzeum Archeologicznego - ostatnią siedzibę Towarzystwa.

Jubileuszową sesję poprzedziła zorganizowana w przeddzień w Politechnice Gdańskiej, przez Bibliotekę Główną tej uczelni, okazała ekspozycja pt. „Księgozbiór Towarzystwa Przyrodniczego w Gdańsku”, na której zaprezentowano ocalałe z pożogi wojennej wydawnictwa Towarzystwa, książki i czasopisma z jego bogatej biblioteki, znajdujące się aktualnie w posiadaniu Politechniki. Ekspozycję uzupełniły portrety wybitnych członków Towarzystwa. Historię biblioteki Towarzystwa Przyro-



Karta tytułowa drugiego tomu „Doświadczeń i Rozpraw” (*Versuche und Abhandlungen der Naturforschenden Gesellschaft in Danzig*) wydane przez Towarzystwo Przyrodnicze w 1754 roku. Umieszczona na niej rycina przedstawia godło Towarzystwa.

dniczego przedstawiła dr Lubomira Jankowska.

Dyskusja kończąca sesję uzupełniła treść referatów i podkreśliła wielką rolę Towarzystwa Przyrodniczego w rozwoju nauki w Gdańsku. Nawiązano też do konkretnych zdarzeń, jakie miały miejsce w długim okresie działalności Towarzystwa, podkreślając znaczenie wybitnych osobistości, m.in. Daniela Gralatha - założyciela Towarzystwa, wybitnego uczonego, późniejszego burmistrza Gdańska, którego dziełem jest wspaniała aleja lipowa łącząca śródmieście Gdańska z dzielnicą Wrzeszcz. To ku jego czci w 150-lecie powstania Towarzystwa ustawiono kamień w tej alei, który po ostatniej wojnie zamieniono na pomnik harcerzy. Na sesji podjęto wniosek o wystąpienie do Rady Miasta Gdańska w sprawie przywrócenia tego głazu - pomnika Danielowi Gralathowi, szczeremu - jak określano - przyjacielowi Polaków. Chodzi o uczciwość w stosunku do wartości. Nie można bowiem wykreślić z pamięci zasługi Gralatha dla Gdańska i gdańskiej nauki.

Referaty wygłoszone na sesji oraz wykaz książek i czasopism z biblioteki Towarzystwa Przyrodniczego, tylko w części zachowanych po ostatniej wojnie, opracowany przez dr L. Jankowską, ukaże się drukiem jeszcze w bieżącym roku. ■

Roman Klim

WIEŻA DLA TURYSTÓW

Bez fanfar 9 sierpnia 1993 roku po gruntownym remoncie i adaptacji, udostępniono do zwiedzania wieżę w dawnym kościele św. Piotra i Pawła, gdzie obecnie znajduje się Muzeum Rybołówstwa w Helu, Oddział Centralnego Muzeum Morskiego.

Dawny budynek kościelny, jednonawowy z transeptem i poligonalnym chórem, w części frontowej przechodzi w niewysoką, drewnianą wieżę, założoną na rzucie prostokąta zbliżonego do kwadratu i otwartą w ostatniej kondygnacji. Czterospadowy dach pokryty jest dachówką gąsiorową. Ta ostatnia i aktualna wersja wieży pochodzi z 1959 roku, kiedy odbudowano ją w takiej postaci po zniszczeniach wojennych.

Wieża kościelna od początku swego istnienia, czyli od 1417 roku przechodziła zmienne koleje losu. W 1572 roku wielki pożar, który strawił Hel, nie oszczędził także kościoła i jego wieży. Odbudowana pełniła prawdopodobnie również funkcję latarni morskiej. W roku 1638 grupa żeglarzy zwróciła się do Rady Miasta Gdańska z propozycją ustawienia latarni morskiej na cyplu helskim. Rada zaakceptowała ten plan i wysłała do Helu grupę szprów i budowniczych miejskich, którzy przystąpili do budowy latarni. Nie wiemy jednak, czy chodziło tu o specjalną budowlę, czy też wykorzystano obiekty już istniejące. Na podstawie pewnych relacji można przypuszczać, że takim obiektem aż do roku 1647 była wieża naszego kościoła. Rzekomo dopiero po tej dacie zbudowano dla latarni specjalną konstrukcję. Inne źródła podają, że wieża kościelna i w późniejszym okresie była wykorzystywana do wysyłania sygnałów świetlnych. Oto w czasie kolejnej przebudowy kościoła, nakazanej 21 kwietnia 1732 roku przez administratora helskiego, wzniesiono nową wieżę niższą o 2 piętra od starej, która „obita” była z zewnątrz ołowiem, a w środku mosiądzem, gdyż przed kilkunastu laty nadawa-

no stąd sygnały alarmowe dla statków. Miała ona u samej góry 8 przeszklonych okien i tyle samo otworów niżej, drewnianych i obitych ołowiem”.

Na krótko przed 1747 rokiem na wieży umieszczono nowy zegar wykonany przez Preussa.

W okresie porozbiorowym kościół uległ niszczeniu. Doszło do tego, że front budowli z połową wieży legły w ruinie. W 1863 roku przystąpiono więc do generalnego remontu.

Urząd Budowlany w Gdańsku 7 lipca 1918 roku dokonał ekspertyzy budowlanej wieży, w której czytamy: „Konstrukcja jest wzniesiona z drewna, które w wielu miejscach przegniło. Dach obity blachą miedzianą stanowi zbyt duże obciążenie. Dla bezpieczeństwa należy przenieść dzwon do dzwonnicy usytuowanej u głównej ulicy. W czasie większych sztormów korpus wieży wykazuje znaczne odchylenia od pionu, należy ją zatem wzmocnić konstrukcją stalową”.

Najprawdopodobniej ekspertyza skutkowała nie tylko całkowitą przebudową wieży, ale również innym jej usytuowaniem. W materiałach ikonograficznych z lat międzywojennych w miejsce ażurowej i koronkowej wieży na skrzyżowaniu transeptu z nawą główną, pojawia się całkowicie zabudowana, bardziej surowa w wyrazie i przesunięta zupełnie do ściany frontowej kościoła. Takie rozwiązanie zmieniło pierwotny wygląd kościoła.

Ogromne spustoszenie przyniosła wojna. We wrześniu 1939 roku w czasie oblężenia Półwyspu Helskiego komandor W. Styer, dowódca Rejonu Umocnionego, wydał rozkaz zburzenia latarni helskiej i wieży kościelnej. Te dwa najważniejsze obiekty były doskonałymi punktami niemieckich „Schleswig - Holstein” i „Schliesien”.

Ostatni remont wieży nie zmienił jej zasadniczego wyglądu, ale ją poważnie wzmocnił, poprawił jej estetykę i, najważniejsze, umożliwił udostępnienie jej zwiedzającym. Hel uzyskał niezwykle atrakcyjny punkt turystyczno-krajoznawczy, z wierzchołka wieży można podziwiać wspaniałe widoki na Hel, Półwysep Helski, porty helskie i Zatokę Gdańską. Gorąco zachęcamy wszystkich do wejścia na wieżę bez względu na porę roku. Opłata jest niewielka - tyłu 5000 zł. ■

Izabela Pryczek

POLSZCZYŹNA REGIONALNA POMORZA

W dniach 22-24 września w Jastrzębiej Górze odbyła się VI sesja naukowa „Polszczyzna regionalna Pomorza”.

Od dziesięciu lat (co drugi rok) organizowana jest ona przez warszawski Instytut Słowianoznawstwa (obecnie slawistyki) PAN (pod kierunkiem prof. dr hab. K. Handke) i wejherowskie Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej. Jej celem jest dokonanie kompleksowych badań języka starych tekstów powstałych na Pomorzu. Cieszy fakt, iż w sesji uczestniczą językoznawcy z całej Polski, którzy systematycznie poszerzają stan wiedzy o języku naszego regionu.

Tegoroczne referaty prezentowały język zabytków pomorskich powstałych w XVII-XIX w. i w miarę możliwości były pogrupowane tematycznie.

W pierwszym dniu obrad wysłuchano trzech referatów. Hanna Popowska-Taborska z Warszawy mówiła o niektórych szczególnych cechach leksyki Pomorza. Autorka prezentując słownictwo Kaszub i analogiczne Kociewia i Borów Tucholskich wysunęła wniosek, że nie można mówić o leksykalnej wspólnocie tych regionów Pomorza.

Bardzo interesujący był referat łódzkiej badaczki - Danuty Bieńkowskiej i Elżbiety Umińskiej - Tytuł zatytułowany „Polszczyzna Biblii gdańskiej (1632) na tle XVI-wiecznych przekładów biblijnych”, wykazujący odrębność językową (a niekiedy również większą zręczność stylistyczną) gdańskiego zabytku.

Kolejny referat „Charakterystyka porównawcza języka modlitewników Kalwarii Wejherowskiej” wygłosiła Izabela Pryczek z Gdańska. Autorka zaprezentowała tu krótką historię wejherowskich modlitewników (wydawanych już od 1717 r. przez oo. reformatorów, opiekunów Kalwarii Wejherowskiej), a także przedstawiła (na kilkunastu tekstach) zmiany zachodzące w języku zabytków w XIX w. Warto tu może wspomnieć, iż język kalwaryjski, choć literacki, ujawnia pewne cechy regionalne, zwłaszcza w płaszczyźnie fonetycznej.

Drugi dzień sesji rozpoczęło wystąpienie Teresy Friedelówny z Torunia pt. „Toruński onomastykon Pawła Guldeniusza a »Przymiot« Wojciecha Oczki”. Referentka przytoczyła bogaty i niezwykle interesujący zbiór polskich nazw chorób i leków znajdujących się w prezentowanym zabytku z XVII w. Wiele określeń dolegliwości rozbawiło słuchających. Były tam bowiem np.: *otręby w głowie* 'łupież', *parchy*, *spadanie flusu z głowy* 'łupież', czy *włosów oblecenie* 'wypadanie włosów’.

Badaczka wyjaśniła, że nazwy znajdujące się w „Onomastykonie” są pożyczkami z języków obcych albo XVII-wiecznymi nazwami potocznymi.

Kolejny referat zaprezentowała Kwiryna Handke z Warszawy. Jego tematem był „Opis języka inwentarzy dóbr rodziny Bagniewskich z XVIII w. - fleksja i słowotwórstwo”. Oprócz interesującego materiału językowego, referentka zaprezentowała nową propozycję metodologii badań, polegającą na ich dwufazowości. Pierwszym etapem badawczym jest ogólna prezentacja tezy, etapem drugim jest natomiast przedstawienie szczegółowego materiału językowego będącego poświadczeniem wysuniętej tezy.

Jadwiga Zieniukowa z Warszawy zajęła się językiem „Gazety Gdańskiej” z końca XIX w. Warto przypomnieć, iż „Gazeta Gdańska” jest pierwszą gazetą pomorską, a wydawana była od 1891 roku.

Celem referentki było zbadanie elementów regionalnych języka „Gazety Gdańskiej”, okazało się jednak, iż redakcja zmieniła teksty kaszubskie (czytelników) na polski język literacki. W przebadanych dwu rocznikach (1891-92) pojawiły się jedynie dwa listy kaszubskie, nie wiadomo jednak, czy nie zostały one sztucznie spreparowane przez redakcję. W obu listach znajdujemy zarówno kaszubską strukturę językową, jak i leksykę.

Kolejna warszawska badaczka - Agnieszka Wyszomirska - omówiła charakterystyczne cechy fleksyjne i słowotwórcze czasowników w pomorskich drukach urzędowych z XVI-II-wiecznych inwentarzy pomorskich.

Ostatni dzień obrad rozpoczęły referaty gdańskiej grupy badawczej. Wszystkie dotyczyły języka XVIII-wiecznych inwentarzy pomorskich.

Jako pierwszy wystąpił Edward Breza i zaprezentował system językowy inwentarzy wsi Szczytno, Dąbrowa i Szonowo w pow. człuchowskim, następnie Aneta Lewińska omówiła frazeologię inwentarzy malborskich, a Lucyna Warda-Radys język inwentarza starostwa skarszewskiego z roku 1747.

Wszystkie te referaty przedstawiły wiele ciekawych nazw z zakresu ówczesnej kultury materialnej (m.in. nazwy pieniędzy, danin, itp). Prof. Breza podkreślił, iż w prezentowanym materiale nie pojawiają się nowe zjawiska w odniesieniu do tekstów analizowanych wcześniej, a to stwarza konieczność syntetycznego opracowania przebadanych już tekstów.

W piątkowe popołudnie wysłuchano trzech ostatnich referatów. Regina Pawłowska z Gdańska mówiła o czasowniku w „Viertzig Dialogi” Mikołaja Volkmar z 1612 roku. Zabytek ten, to rozmówki stworzone dla potrzeb gdańszczan. Posiadały one aż 40 pól semantycznych (np. o wojnach, o drogach, o złoczyncach, o handlu, o chorobach, o śmierci). Ich zadaniem było nauczanie języka polskiego przez mówienie. Referentka zaprezentowała treść niektórych rozmówek i scharakteryzowała funkcję i pozycję czasownika w zabytku.

Ewa Wrocławska z Warszawy badała nazwy zawodów w „Parlamente” - podręczniku do nauki czterech języków przeznaczonym dla gdańskich kupców z XVII w. Badaczka podkreśliła, iż przedstawiony w jej wystąpieniu materiał pozwala stwierdzić, że w starych tekstach gdańskich znaleźć można liczniejsze niż na pozostałych terenach Polski nazwy zawodów.

Ewa Maślowska z Warszawy scharakteryzowała semantyczną i leksykalną łączliwość wyrazów w tekstach „Publikantów” Fryderyka II dla Prus Zachodnich. Zwróciła uwagę głównie na znaczenie wyrazów: *musieć*, *nie wolno*, *trzeba* i wykazała, iż „Publikanty” unikają *musieć* jako formy nakazowej, która nie daje odbiorcy żadnej możliwości wyboru.

Każdy referat wywoływał żywą dyskusję uczestników sesji. Dyskusja była zawsze doskonałym uzupełnieniem referatów i wzbogacała treść odczytów.

Wśród dyskutantów wyróżnić należy prof. Alinę Kowalską z Katowic, która od początku wiernie uczestniczyła w obradach sesji, wzbogacając je interesującymi i wnikliwymi uwagami podczas dyskusji.

W ciągu dziesięciu lat badania nad językiem zabytków Pomorza posunęły się bardzo naprzód. Te ożywione prace pozwalają sformułować ogólniejsze wnioski. Językoznawcy zgadzają się, iż w zabytkach pomorskich brak jest jaskrawych przykładów regionalizmów, a zatem język tekstów naszego regionu kształtował się zgodnie z tendencjami rozwojowymi charakterystycznymi dla języka literackiego całej Polski. Warto dodać, że po każdej sesji pozostaje opracowanie

w formie kolejnego tomu „Polszczyzny regionalnej Pomorza”, zawierającego teksty referatów i obszernie fragmenty dyskusji.

W sobotę rano uczestnicy sesji opuścili gościnną i malowniczą Jastrzębią Górę i udali się do Wejherowa, gdzie zwiedzili tamtejszą Kalwarię.

Na koniec chciałyby wyrazić słowa uznania i podziękowania: prof. Kwirynie Handke, dyrektorowi wejherowskiego muzeum mgr. Bogusławowi Brezie i przewodniczącemu Rady Naukowej Muzeum, prof. Jerzemu Trederowi, którzy dołożyli starań, by sesję można zaliczyć do udanych. ■

Tadeusz Sadkowski

CZYSTA WDA

To hasło przyświecało zorganizowanemu przez Urząd Gminy w Kościerzynie i kościerski oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego spotkaniu we Wdzydzach 17 września br. Współorganizatorami były Urzędy Wojewódzkie w Gdańsku i w Bydgoszczy. Zaproszone na spotkanie zostały władze samorządowe gmin położonych w dorzeczu Wdy, instytucje związane z ochroną środowiska, związane niedawno Towarzystwo Miłośników Borów Tucholskich, pracownicy naukowcy Politechniki Gdańskiej (z Katedry Inżynierii Sanitarnej) i oddziału gdańskiego Banku Ochrony Środowiska oraz koledzy z tych oddziałów ZK-P, dla których ochrona Wdy przed zanieczyszczeniami powinna być szczególnie ważna. Duże zainteresowanie spotkaniem świadczy bez wątpienia o ważności problemu. Ton dyskusjom nadały, przewidziane w programie, wystąpienia przygotowane przez Wydziały Ochrony Środowiska UW w Gdańsku i Bydgoszczy oraz przez dra Mieczysława Ostojkiego, dyrektora Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej. W dwóch pierwszych referatach scharakteryzowane zostały przyrodnicze i krajobrazowe walory dorzecza Wdy. Właśnie walory krajobrazowe zadecydowały, iż ostatnio utworzono na terenie województwa bydgoskiego odpowiednik Wdzydzkiego Parku Krajobrazowego - Wdecki Park Krajobrazowy. Plano-

wane jest też powołanie Parku Narodowego Borów Tucholskich.

Wezwaniem do zdecydowanego działania jest pogarszające się zanieczyszczenie środowiska dorzecza Wdy i samej rzeki. W 1972 roku Wda zaliczona została do I klasy czystości wód. Wyniki badań przeprowadzonych w 1984 roku (jeziora) i w 1991 roku (Wda) alarmowały już o znacznym zanieczyszczeniu wód. Obecnie wody licznych jezior na szlaku Wdy zaliczane są do II a nawet III klasy czystości. W fatalnym stanie są północne wody Jeziora Wdzydzkiego. Sama Wda na żadnym ze zbadanych odcinków (od Lipusza do ujścia) nie ma już wód I klasy czystości. Na długości ok. 8 km (na 92 km) na terenie Gdańskiego i 19 km (na 53 km) w Bydgoskim niesie wody pozaklasowe. Ponieważ w najbliższym czasie, przynajmniej przez kilka lat, niewiele się zmieni, jeżeli chodzi o zanieczyszczenie rzeki i jezior setkami hektolitrow nieczystości, sytuacja w tej mierze będzie się nadal pogarszać.

Stan taki trwa zresztą od dawna. To spowodowało, że tego typu spotkania Oddział Kościerski ZK-P zwołuje od 1988 roku. Do tej pory interesowały nas jednak problemy związane tylko z ochroną środowiska przyrodniczego najbliższych okolic Wdzydz Kiszewskich i Jeziora Wdzydzkiego. Niepokoiło nas szczególnie zanieczyszczenie wody jezior przez osiemnaście zlokalizowanych nad ich brzegami ośrodków wczasowych. Niektóre z nich czynne są przez cały rok, inne tylko przez kilka miesięcy w roku. Część z nich to bardzo duże kombinaty wypoczynkowe o 200 do 350 miejscach noclegowych. Ścieki z niektórych ośrodków odprowadzane są wprost do jezior. Wiosenną porą słychać nad jeziorami intensywną pracę pomp, przelewających nieczystości z szamb do jezior. Nadal pokutuje stara, przerażająca zasada: im większy i czystszy zbiornik wodny, tym więcej zanieczyszczeń można do niego wprowadzić. Czy zmieniać coś dwie czynne i trzecia budująca się (we Wdzydzach Kiszewskich) oczyszczalnia nad Jeziorem Wdzydzkim?

Pogarszające się z roku na rok zanieczyszczenie środowiska skłoniło nas do zajęcia się problemem szerzej - rozpoznania i zapobiegania degradacji ekologicznej całej zlewni Wdy. Bowiemy najbardziej jest zagrożona przede wszystkim Wda i jej dopływy, a także inne jeziora na jej szlaku. Raporty przedłożone przez Wydziały Ochrony Środowiska obu województw wskazywały na konkretne źródła zanieczyszczeń wód jezior i rzeki. Goście z Bydgoszczy przedstawili ponadto bogatą listę planowa-

nych oczyszczalni, stopnia wodnego, jazu i innych budowí hydrotechnicznych w dorzeczu Wdy. Nie odnosiło się jednak wrażenia, aby zamierzenia obu województw, w równym stopniu odpowiedzialnych za Wdę, były skorelowane czy wcześniej uzgodnione. A takie kompleksowe działania ratowania przed biologiczną degradacją całego dorzecza są konieczne. Indywidualne mogą zostać łatwo zniweczone beztrudną sąsiada (-ów) w górnym biegu rzeki.

Za całościowym podejściem do sprawy ochrony Wdy wypowiedział się dr M. Ostojski. Powołał się na program opracowany przy współpracy Duńczyków, a dotyczący Regi. Program ten ustala priorytety inwestycyjne według kryteriów ekonomicznych; tzn. odpowiada na pytanie, jakie inwestycje w zlewni Regi i w jakiej kolejności powinny być realizowane, aby efekty były najkorzystniejsze. Opracowanie takiego programu dla Wdy kosztować będzie ok. 600 mln. zł. Rejonowy Zarząd Gospodarki Wodnej może przeznaczyć na ten cel do 150 mln. Nie jest możliwe, aby finansował całość prac, gdyż zobowiązany jest do kontynuowania innych zadań, których ważność przerasta akcję „Czysta Wda”.

Profesor Politechniki Gdańskiej, Piotr Kowalik, autorytet w przedmiocie dyskusji, a także inni, byli zdania, że stworzenie programu to pierwsze niezbędne działanie na rzecz ratowania Wdy. Problemem nie powinny być pieniądze, które w ostateczności powinny wyasygnować oba Urzędy Wojewódzkie, chociaż wojewoda gdański, prof. Józef Borzyszkowski wskazywał też na inne źródła ich pozyskania. Zmiany przepisów o samorządzie terytorialnym nakładają bowiem na nie obowiązek troski o środowisko przyrodnicze. Stąd propozycja zgłoszona przez ZK-P, a merytorycznie dopełniona przez Rejonowy Zarząd Gospodarki Wodnej, zakłada współdziałanie samorządów lokalnych i administracji państwowej w kompleksowym programie ratowania przed degradacją biologiczną całego dorzecza.

Wójtowie gmin zawiązujących Towarzystwo Miłośników Borów Tucholskich wyrazili potrzebę dokładnego zapoznania się z programem opisanym przez dr Ostojkiego. Spotkanie w tej sprawie w Rejonowym Zarządzie Gospodarki Wodnej planowane jest na grudzień br.

Zarząd Oddziału ZK-P w Kościerzynie dziękuje wójtowi gminy Kościerzyna Waldemarowi Tkaczykowi, a także Wydziałom Ochrony Środowiska w Gdańsku i w Bydgoszczy za pomoc w przygotowaniu spotkania. ■

recenzje

KU ANTOLOGII KASZUBSKIEGO HUMORU

Ptak za uszami. Humor i satyra Kaszubów, wybrał, przetłumaczył i opracował Stanisław Janke, Oficyna Wydawnicza GRAF, Gdańsk 1992.

Tadeusz Linkner

W ostatnich latach namnożyło się tyle książeczek z różnymi dowcipami, humorami i pospolitymi kawałami, że leżą teraz w kioskach, księgarniach i na ulicznych stolikach. Ludzie naczytali się już dosyć dowcipów „z Wąchocka” czy z „radia Erewan”, wydumanych pośpiesznie na zamówienie. Choć i tutaj wcisnęła się komercja, jeżeli pamiętać owe dowcipy ze Śląska, Warszawy czy Lwowa. Oczywiście, ktoś kiedyś zowu do nich sięgnie, ale ich żywot będzie zawsze krótszy od mających autentyczny wygłos. Dlatego warto bliżej przyrzeć się wydawnym z inicjatywy Stanisława Jankego anegdotom kaszubskim, zebranych pod tytułem „Ptak za uszami”.

Zanim wpadła mi do ręki ta książka, znałem powiedzenie mojej babci ze szczodrowskich stron „On ma ptaka”, tak mówiło się o człowieku nie zawsze poważnym czy nawet niespełna rozumu. Podobnie - mówili i mówią o człowieku lubiącym żartować i sytać kawałami Kaszubi - ma „ptôcha za uszama”. Niby tamto pierwsze i to następne ma zna-

czyć co innego, chociaż zdaje się być podobnie bliskie sobie jak Kaszuby i Kociewie. Oczywiście, nie teraz jest czas i miejsce na rozważanie merytorycznych, językowych i wreszcie filozoficznych podobieństw i różnic wśród tych powieści, ale na pewno coś w tym jest wspólnego, podobnie jak wiele łączy ze sobą błazna-szaleńca-głupca. Jak bowiem mówi znawca tego tematu, postać ta stale towarzyszy ludzkości, pełniąc w tym samym miejscu i czasie różne funkcje i role, „budząc uczucie oscylujące między lękiem a śmiechem, między grozą a żywiołową radością. Bywa pełnym zręczności aktorem lub odrażającym kaleką, bezmyślnym tępakiem lub ciętym spryciarzem, durniem i filozofem”. (M. Gutowski „Komizm w polskiej sztuce gotyckiej” 1973).

Stuszenie nazwano ten „zbiorek gadek, opowiadań, facecji i anegdot kaszubskich” popularnym w tym regionie powiedzeniem, które spolszczone brzmi tak samo zrozumiale. Dobrze jednak, że z myślą o odbiorcy spoza regionu podano jego treść w języku polskim, ponieważ zwiększyło to znacznie obszar poczytności tej miniantologii kaszubskiego humoru. U nas owe żartobliwe gadki i opowiadanki były już niejednokrotnie publikowane i są w jakimś tam stopniu znane, tymczasem poza Kaszubami dopiero teraz mogą obudzić zrozumiałe zainteresowanie, pozwalając tym samym lepiej poznać mieszkańców tego regionu oraz ich mentalność. Służą zresztą temu pierwsze słowa „Wstępu”, gdzie po przytoczeniu kilku przysłów kaszubskich mówi się, że śmiech miesza się tu często ze smętkiem i zadumą, kpina czy ironią. Stąd nie przypadkiem zmusiło to autora tej mikroantologii do przydania jej podtytułu „Humor i satyra Kaszubów”, co zresztą często się spotyka i w innych zbiorach.

S. Janke teksty do „Ptaka za uszami” zebrał, a właściwie to wybrał z „Pomeranii” oraz wielu antologii i tekstów autorskich. Informują o tym „Noty o autorach”, zamykające tę książkę, a podane w porządku alfabetycznym - od Matyldy Bławat do Jana Walkusza. Skorzystano tu bowiem z tekstów czternastu autorów - od „Rozmowy Polaka z Kaszubą” Floriana Ceynowy rozpoczynając, a potem dając „Figle gnieźdźwskich gospodarzy” Jana Patocka, anegdoty Jana Karnowskiego i Alojzego Budzisz, „dowcipy i facecje ze Słownika Bernarda Sych-

ty”, żartobliwe felietony Aleksandra Labudy, gadki Józefa Bruskiego i Jana Walkusza, dyktoryjki Augustyna Dominika, „wice” Romana Skwierczy, humoreskę Ryszarda Landowskiego i gawędy Matyldy Bławat, Stanisława Okonia i Józefa Roszmana. Dialog, figlik, anegdota, dowcip, facecja, żartobliwy felieton, gadka, dyktoryjka, „wic”, humoreska, gawęda - to bogaty katalog gatunków opowiadających żartobliwie, humorystycznie i satyrycznie o życiu mieszkańców „Modrej Krainy”. Oczywiście, jak można było się tego spodziewać, anegdot, gadek i gawęd jest tu najwięcej, chociaż to wcale nie znaczy, że każda z nich jest rzeczywiście wesoła. Bo przecież inaczej trzeba traktować perypetie Sowizdrzała J. Karnowskiego, a jeszcze w innej konwencji rozpatrywać baśniowe gawędy A. Budzisz.

Anegdota jest krótkim opowiadaniem z przeszłości lub teraźniejszości o jakimś znaczącym zdarzeniu lub o znanej postaci, gdzie oczywiście nie powinno zabraknąć komizmu, humoru i żartu. Dlatego Sowizdrzał ze znanej literackiej kreacji daje w anegdotach Karnowskiego najlepszą tego gwarancję. Podobnie jak w epickim poemacie Hieronima Derdowskiego czytelna jest tu owa „krotochwilno-sowizdrzańska” konwencja. Sowizdrzał Karnowskiego ma tu podobnie wiele z Tilla Eulenspiegla, który wędrował zawsze z miejsca na miejsce strojąc figle i żarty, jak z Marcholta czy nawet Ezopa. Ponadto odnajdujemy tu jakby zagubioną biografię Remusa, której to A. Majkowski nie przepisał ze swego „czarnego zeszytu”. Bo przecież bohater Karnowskiego urodził się w Szyszkwie, a pierwszą przygodę przeżył, kiedy to jechano od chrztu i wypadł z sań. To właśnie wtenczas, kiedy go znaleziono, nauczyciel nazwał go Sowizdrzałem. Ponieważ mówi się tutaj o coraz to nowych jego przygodach, więc sprawia to wrażenie biograficznej opowieści utworzonej z anegdot. A im bliżej jej końca, tym łatwiej rozpoznajemy w tymże Sowizdrzale Derdowskiego, jeżeli i on podobnie jak pisarz, da się poznać jako ten, co „umarł i ożył” i jako „kaszubski łgarz”. Ta wyłaniająca się z anegdot Karnowskiego postać autora „O panu Czorlińskim...” była udanym zamysłem i dobrze się stało, że tego tu nie zabrakło. Zresztą wśród innych anegdot i gadek zyskał ten pomysł tym lepszą wyrazistość.



Zupełnie inne są anegdoty A. Budzisa, wśród których tyle jest baśniowych. Te opowiadające o królu i jego coraz to innych przygodach nie zawsze pozwalają się zorientować, że jest to kaszubska kraina („Królewska pomoc”, „Król i kowal”, „Królewska rada”), a w innych nawet obco brzmią nie zawsze pochlebne powiedzenia o Kaszubach jak np. w „Pomyślniej królewskiej lustracji”. Tym bardziej, że miały one pełnić nie tyle rolę dydaktyczną, co ukonkretniającą miejsce akcji. Podobnie baśniowe w swej konwencji są ostatnie z anegdot Budzisa - „Niezwyczajny majtek”, „Anatomia”, „Oszczędność”. Ale dobrze się stało, że i one znalazły się w tym zbiorze, bo tym większa okazuje się rozmaitość dokonań kaszubskich twórców.

Jeżeli natomiast z gadek bardziej podobają mi się opowiadane przez J. Bruskiego, bo teksty J. Walkusza są nazbyt poważne i przesycone dydaktyzmem, to powinno się pamiętać o koniecznej w takim wydaniu mozaikowej ich różnorodności. Chociaż i tutaj - u Walkusza - jest słyszalne echo owego węgorka z poematu Derdowskiego, „co go Pucczanie mieli na łańcuchu uwiązanego” („Dobry rachunek”), tylko że potem robi się za słono w ustach, gdy czyta się o tej sałacie i weselisku. Dla dobra autora należało tutaj pewnych tekstów ze sobą zderzać.

Wśród gadek J. Bruskiego rozśmiesza niemal każda, a ponadto są one, jak gadkom przystało, krótkie i zawsze w tytule mają coś z pytania. Zbliża to gadkę do owej staropolskiej zagadki. Można więc się

uśmieć czytając, „Jak dziad kalwaryjski śpiewał”, „Jak Jank Knut na drugi świat się wybierał” czy „jak August Breszta testament robił”. A ponadto niektóre z tych utworów wywołują swoją treścią skojarzenia z „Na skalnym Podhalu” K. Przerwy Tetmajera. Oczywiście, to wcale nie dowodzi, że stamtąd przejęto ich pomysły, ponieważ jest to jeszcze jeden przykład wspólnej wielu regionom i społecznościom ludowej mądrości, pozwalającej już utożsamiać się z mitem.

Gadek i bliskich im facecji powinno być w tym zbiorze więcej. Z racji swej ludowej genezy i zawsze żartobliwej treści np. te ostatnie spełniałyby lepiej oczekiwania odbiorcy i bardziej udanie ujawniałyby spontaniczną ludową twórczość. Dlatego tak wyróżniają się tutaj swoją dynamiką i naturalnym wygłosem facecje ze „Słownika...” B. Sychty. Każda ma własnego ducha kaszubszczyzny - w treści i puencie.

Gawędy natomiast, jako najobszerniejsze z zanotowanych w „Ptaku za uszami” gatunków i to ukształtowane przez kulturę szlachecką, są tutaj w swej treści najbardziej współczesne. Tak jest z gawędą M. Bławat „O pierwszym turyście we Wdzydzach”, tak z „Golase” J. Roszmana czy „Jak Kaszubi dostali literaturę” S. Okonia. Ponadto, czy na Kaszubach są one popularniejsze od gadek, facecji i anegdot, nie byłbym taki pewien. Rozśmiesza bowiem opowieść nie za długa i nie męcząca lekturą, a pozwalająca spamiętać to wszystko, na czym opiera się niczym na zworniku gotyckiego sklepienia konceptyczna puenta. Dlatego w tym tomiku lepiej pełnią swoją zabawową rolę, która w literaturze ludycznej jest przecież tak znacząca, żartobliwe felietony A. Labudy, dyktetyki A. Dominika, „wice” R. Skwierca czy humoreska R. Landowskiego.

Trzeba się w tym miejscu zastrzec, że nie oznacza to absolutnie negacji innych tekstów i żadnego tekstu zamieszczanego w tym zbiorze, ale jest to próba ich hierarchizacji i oceny z pozycji chociażby przeciętnego odbiorcy. Nie wdając się więc w dalsze omówienia, aby nie uczynić z recenzji eseju, można tylko się cieszyć, że co bardziej charakterystyczne dla Kaszub teksty zebrano tutaj i wydano, stwarzając tym samym dobry początek dla przyszłej antologii kaszubskiego humoru. ■

METAFORY JAK SNOPI ISKIER

Zygmunt Bukowski, Ślad istnienia, 1993. Wyd. nakładem autora.

Maria Pająkowska

Dwa lata temu redakcja „Pomeranii” przyznała Zygmunutowi Bukowskiemu Skrę Ormuzdową. Nie nadaremnie - tak pomyśli każdy, kto weźmie do ręki kolejny tomik jego poezji pt. „Ślad istnienia” wydany (nakładem Autora przy udziale przyjaciół) z okazji dwudziestolecia twórczości. Ciągłe skrzy się talent poety, tylko umownie - bo ze względu na rodowód i status społeczny (słusznie podkreśla to we wstępie do tomiku znawca poezji ludowej, D. Niewiadomski) - nazywanego ludowym. Z. Bukowski osiągnął już „pozycję literacką poważnie przekraczającą środowiskowy krąg twórców ludowych”.

Ze wstępu pt. „W twórczym żniwie” poznać można dotychczasowe osiągnięcia tego pomorskiego artysty (jest i rzeźbiarzem), a jest ich niemało. Napisany z życzliwością i uznaniem dla autora jest zachętą, by przejść do wierszy, przy których trzeba się zatrzymać. A warto prawie w każdym podziwiać niezwykłość metafor, wnikliwość obserwacji przyrody i dojrzałe przemyślenia ludzkiego losu.

W zbiorze liczącym 87 wierszy większość jest poetyckim zapisem życiorysu twórcy, który - nim zaczął budować „małego dworek”, gdzie drzwi „oszkli seledynem by korytarz oświeślały) Zielonymi wciąż świętami” - przeżyć musiał rodzinną tułaczkę i przedwczesną śmierć matki. Dorosłe życie przyniosło mu miłość („pościele haftowane przylaszczkami/ wciąż kusity nasze ciała”). Nie tylko w „sennych marze-

niach" znajdujemy jej ciepłymi słowami malowany obraz. Wrażliwego poetę praca na roli skłania do różnych refleksji („Jesienna orka”), wśród nich („Moje skiby”) nad obecną sytuacją na wsi.

W poezji Z. Bukowskiego świat zwykłych przedmiotów i obiektów z wiejskiej zagrody („Wozownie pod strażą łopianów/bryczka ze zgaszoną latarenką/ sanie paradnie ugięte”) nabiera wymiarów świętości. To na nich osiada tradycja i upomina się o pamięć. Trzeba tu zaznaczyć, że poeta nie tylko ze smugi światła tworzy promienie kół do wózka, „by nim zwozić gwiazdy z nieba”, ale te prawdziwe też chroni w przydomowym skansenie. W większości wierszy wychodzi poza zagrodę: „Codziennie do ciebie przychodzę pole/ W tłumie macierzanki siadam na miedzy”. Po samotnych wędrówkach wśród pól powstały pełne tkliwości wiersze, w których „złocą się w słońcu dziewanny”, jesienne słoneczniki pochylają nad grzędą „jak posłane nad żłóbkiem”.

Wiersz pt. „Rozmowa z grzybami” jest kolejnym dowodem na spostrzegawczość autora. Bogactwo skojarzeń wskazuje na ogromną wyobraźnię. Dzięki niej mógł powstać zawierający mistrzowski opis żyłatek utwór „Owadzi kościółek”, gdzie „W salkach mszyce ze skrzydłami jak welony”.

Ciągle od nowa wyrażanej w wierszach fascynacji przyrodą i życiem towarzyszy świadomość przemijania i powracająca potrzeba określania sensu ludzkiego życia. Stąd do Wszechmogącego kierowane skargi, ale i prośby: „kiedy stanę u wrotni gorejącej... pozwól bym mógł wnieść/ Słowa ponad biel znaczące”. Tych pięknych słów ułożonych w wiersze uzbierało się już w twórczości Z. Bukowskiego wiele. Utwór pt. „Poetyckie orki” opisuje twórcze zmagania poety, ale też i radosną świadomość tworzenia „najczystszej i ciągle świeżej chłopskiej poezji”, która często staje się modlitwą składaną Bogu w podziękę za talent i chwile olśnienia. Wszyscy, którym bliskie jest Kociewie, mogą cieszyć się tym, że właśnie z tą ziemią ten pomorski poeta wiąże swoje korzenie („Bo gdzież mi droższa kraina/ Niż ta przytulona do Wisły”), tu swoim wzruszeniem nadaje kształt w poezji lub rzeźbie. ■

DZIENNIK OFICERA

Andrzej Bukowski, *Za drutami oflagów. Dziennik oficera 1939-1945*, PWN Warszawa 1993.

Stanisław Mikos

Zzadowoleniem należy odnotować ukazanie się pisanego w latach 1939-1945 przez Andrzeja Bukowskiego dziennika pt. „Za drutami oflagów”. Tego rodzaju literatura wzbogaca naszą wiedzę o latach ostatniej wojny światowej. Choć tak wiele już o tej wojnie napisano, to jednak są nadal tematy zasługujące na opracowanie. Inne wymagają rozwinięcia lub skorygowania. Przy pisaniu dziennika osobistego, podobnie jak pamiętnika i wspomnień istotne znaczenie ma subiektywne podejście autora, selekcja materiału oraz oceny zdarzeń, a także wiedza. Dlatego poznanie autora ułatwia korzystanie z tych źródeł.

Dla mieszkańców Wybrzeża powstać Autora „Dziennika” jest znana. Jest człowiekiem zasłużonym, zwłaszcza w dziedzinie kultury i nauki. Paranie się piórem nie było nowością dla młodego podporucznika rezerwy, a przed wybuchem II wojny światowej pracownika naukowego Książnicy Miejskiej w Toruniu. We wstępie książki jest obszernie streszczenie pisanego 10 lat wcześniej „Dzienniczka”. Z przedstawionego w niej życiorysu przebija umiłowanie Ziemi Kaszubskiej, rodzinnych stron Autora, dostrzegającego jej uroku.

„Dziennik” A. Bukowskiego jest ciekawą lekturą dla historyka i socjologa. Składa się ze wstępu, 6 rozdziałów oraz 40 zdjęć związanych z tematem. Rozpoczyna się od udziału w wojnie polsko-niemieckiej w 1939 roku. Rozdział II dotyczy pobytu w Oflagu XI B w Braunschweigu (Brunswicku)

do 25 VI 1940 roku, a rozdział III - pobytu w Oflagu II C w Woldenbergu (Dobiegniew) w województwie gorzowskim, gdzie Autor przebywał do 25 I 1945 roku. Są to dwa najobszerniejsze rozdziały. Natomiast rozdział IV (s. 290-296) stanowi faktycznie lukę w publikacji „Dziennika” (od końca listopada 1943 r. do 20 I 1945 roku) z powodu zaginięcia jednego zeszytu rękopisu. Mam wątpliwość, czy należało ten rozdział wyodrębnić. W rozdziale V zatytułowanym „Trudna droga do wolności” jest opis trudów przemarszu jeńców (25 I - 22 III 1945 r.) z Woldenbergu do Murnau w Bawarii na podgórze Alp. Rozdział ostatni zawiera informacje o pobycie w Oflagu VII A w Murnau aż do wyzwolenia obozu przez wojska amerykańskie i ucieczki Autora stamtąd do kraju w końcu czerwca 1945 roku.

W „Dzienniku” znajdują się związane informacje o przebiegu mobilizacji i wycofywaniu się wraz z armią polską z Torunia przez Włocławek, Gostynin, Gąbin i Sochaczew do Warszawy. Następne dni września spędził Autor w oblężonej Stolicy. Dalej to już kapitulacja i niewola. Dotkliwy brak rzetelnej informacji o sytuacji politycznej i działaniach wojennych coraz częściej był wypełniany przez plotkę, określaną w „Dzienniku” jako „jotpepe” (jedna pani powiedziała). Jej treść, niekiedy fantastyczna, była przeważnie życzeniem. Sporo na ten temat pisze Autor i będzie ona towarzyszyła w dalszych etapach wojennych wędrówek. Jej dodatnią stroną było to, że pomagała przeżyć ciężkie lata, przynosząc nadzieję.

Większą wartość źródłową posiada ta część „Dziennika”, która była pisana w obozach jenieckich. Sporo tych przekazów może stanowić uzupełnienie materiałów odnoszących się do warunków bytowych jeńców. Należy mieć jednak na uwadze, że władze niemieckie musiały się trochę liczyć z konwencją międzynarodową o traktowaniu jeńców. Toteż w wielu wypadkach warunki „za drutami” były znośniejsze niż na „wolności”. Dla wielu ludzi, którzy pamiętają okupację, wzmianka o bułkach, serkach, owocach i warzywach w obozie brzmi niewiarygodnie. Wydaje się, że bardziej był odczuwalny brak opieki lekarskiej, kontaktów z najbliższymi czy po prostu brak zająca.

Nie zawsze władze niemieckie przestrzegały postanowienia kon-

Andrzej Bukowski

ZA DRUTAMI OFLAGÓW

Dziennik oficera 1939~1945

WYDAWNICTWO NAUKOWE PWN

wencji międzynarodowej w sprawie traktowania jeńców wojennych. W „Dzienniku” są liczne tego przykłady, np. nieuzasadnione strzelanie do bezbronných ludzi w obozie, w wyniku którego byli zabici i ranni, lub przeprowadzanie rewizji połączonych z konfiskowaniem niektórych przedmiotów osobistych. A w celu usprawiedliwienia własnych zbrodni hitlerowcy prowadzili ostrą kampanię prasową, w której podawano kłamliwe informacje o znęcaniu się Polaków nad Niemcami. W następstwie antypolskiej nagonki zdarzały się wypadki samobójstw lub podejmowania desperackich prób ucieczki, które też kończyły się niekiedy śmiercią. Pod wpływem beznadziejnego przedłużania się pobytu w obozie ludzie załamywali się psychicznie.

Polacy w oflagach zdawali sobie sprawę z następstw przedłużającego się pobytu za drutami młodych przecież i wykształconych ludzi. Starano się więc organizować w obozach różne formy działalności kulturalno-oświatowej i rozrywkowej. W tej dziedzinie „Dziennik” A. Bukowskiego ma dużą wartość poznawczą. Zawarte w nim informacje świadczą o aktywności i pomysłowości tych ludzi. Kursy języków obcych, księgowości i stenografii oraz organizowanie wielu imprez, konkursów, wykładów i czytelnictwo świadczą o tym dobitnie. Autora

„Dziennika” poznajemy jako człowieka bardzo zaangażowanego, zwłaszcza w wygłaszaniu odczytów z dziedziny literatury. Widzi też i ujemne cechy ludzi znajdujących się w tym środowisku. Z goryczą pisze o poziomie moralnym niektórych oficerów, a przecież była to „przodująca warstwa narodu”. Zdarzały się bowiem wypadki cwaniactwa, oszustwa i chamstwa, czego nie można było usprawiedliwić trudnymi warunkami.

Mniejszą wartość źródłową posiadają informacje na temat sytuacji w kraju, głównie na Pomorzu. Pochodziły one bowiem z drugiej ręki, bo albo z listów Ewy Bukowskiej, żony Autora, albo innych osób. Należało się liczyć z cenzurą. Pisano więc umownym szyfrem,

a odczytywano między wierszami. Podobny stopień wiarygodności posiadały wiadomości o sytuacji na frontach, pochodzące zazwyczaj z komunikatów niemieckich, ubarwionych odpowiednimi komentarzami.

Natomiast ciekawe spostrzeżenia i przeżycia zawiera opis pobytu w Oflagu VII A w Murnau. Tuż po wyzwoleniu obozu rozgorzały tam namiętności polityczne, zwłaszcza wokół dylematu, czy wracać do kraju czy pozostać na emigracji. Brak rzetelnej informacji o sytuacji w kraju spowodował, że niedawno wyzwoleni z niewoli jeńcy byli zdezorientowani. Autor zajął zdecydowane stanowisko powrotu do Polski. Zastanawia się też nad przyczynami pozostania na emigracji znacznej części znajdujących się w Niemczech Polaków oraz narastania wzajemnej nieufności. Wyraża również opinię na temat stosunku państw zachodnich do Polaków.

Książka zawiera sporo ciekawego materiału. Autor nie rejestruje tylko faktów, ale jest bystrym obserwatorem, który analizuje wydarzenia i nie stroni od formułowania własnych opinii. Można się z nimi zgadzać lub nie, ale nie można ich nie dostrzegać. Oceniać te opinie należy w konfrontacji z innymi źródłami, a te potwierdzają spostrzeżenia i oceny Autora.

BLIŻEJ REGIONU I UCZNIA

Bliżej regionu i ucznia, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1993

Ewa Rogowska

Opublikowany przez Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego tomik „Bliżej regionu i ucznia”, który ukazał się na początku roku szkolnego 1993/94 (do kupienia m.in. w uniwersyteckiej księgarni „Literka”), w rzeczywistości powstał o wiele wcześniej, jako rezultat dwóch - odległych już w czasie - cykli odczytowych zorganizowanych przez Zakład Metodyki Nauczania Literatury i Języka Polskiego UG dla nauczycieli z regionu gdańskiego. Cykl w roku 1985 poświęcony był „Uczniowi jako badaczowi tekstu literackiego”, a wykłady głoszone w 1987 roku objęte były wspólnym tytułem „Patriotyzm i regionalizm”, toteż wydana na ich podstawie książka stanowi zbiór artykułów naprawdę bardzo różnorodnych; łączy je właściwie tylko jedno: adresat, którym jest nauczyciel języka polskiego, zwłaszcza pracujący na obszarze Pomorza Gdańskiego.

Każdy z osiemnastu tekstów składających się na ten tom jest propozycją rozwiązania pewnych - ogólnych lub szczegółowych - problemów dydaktycznych, które stawia przed nauczycielem nowy program szkolny. Na przykład w artykule R. Pawłowskiej „Lekcja jako system ćwiczeń” czytelnik znajdzie sprawdzony w praktyce scenariusz lekcji dla klasy IV o czasownikach dokonanych i niedokonanych, L. Wierbowski radzi „Jak uniknąć werbalizmu w realizacji programu z językoznawstwa ogólnego”, K. Kujawska na przykładzie mitów, legend i ich bohaterów omawia „Rozumienie i wartościowanie epiki przez uczniów klas piątych szkoły podstawowej”, a H. Popławska zastana-

wia się nad „Odbiorem poezji współczesnej przez uczniów starszych klas szkoły podstawowej”.

Szczególne miejsce zajmują w tym zbiorze artykuły pomyślane jako pomoc nauczycielom w szerzeniu wiedzy o najbliższej ojczyźnie, jej języku i kulturze.

Różnorakie motywy zachęcające do propagowania w szkole wartości regionalnych wylicza i omawia artykuł E. Brezy pt. „Region a kultura i literatura ogólnopolska”. Rozważania R. Pawłowskiej „Dialekt - bogactwo czy przeszkoda w nauce szkolnej” prowadzą do wniosku, że każdy drugi język jest bogactwem i dla władającego nim człowieka, i dla społeczeństwa, a przeszkodą w rozwoju ucznia może się stać jedynie w wypadku nieumiejętnego postępowania rodziców i nauczycieli. Jak w praktyce dydaktycznej interpretować wskazania programowe z dialektologii, proponują G. Surma w „Wiedzy o dialektach w szkole średniej” oraz J. Treder w „Języka polskiego lekcji... w dialekcie”.

Tematem kilku artykułów jest literatura powstała na Pomorzu lub Pomorza dotycząca oraz możliwości jej wykorzystania w nauczaniu szkolnym. Przegląd najważniejszych i najwartościowszych takich utworów zawiera szkic R. Karwackiego pt. „Morze - region - literatura”. Analogiczne zestawienie materiału pamiętnikarskiego przynosi J. Borzyszkowski „Pamiętnikarstwo kaszubsko-pomorskie w szkole”, a omówienie wierszy i poematów poświęconych największej z naszych rzek znajdzie czytelnik w artykule E. Mazurkiewicza pt. „Wisły nurtami płynie. Poezja o Wiśle w polskiej literaturze nowożytnej i najnowszej”. Trzy artykuły to bardziej szczegółowe opracowania problematyki konkretnych utworów literackich: T. Lipski w „Remusowej mozaice” zajmuje się znaną powieścią Majkowskiego, wyczerpującą charakterystykę „Hymnu kaszubskiego” daje „Pieśń sercu bliska. O »Hymnie kaszubskim« Hieronima Derdowskiego” pióra D. Żebrowskiej, zaś I. Miłek opisał „Realia pomorskie w »Wietrze od morza«”.

Pomocą w przygotowaniu trasy wycieczki szlakiem J. Wybickiego posłuży artykuł D. Żebrowskiej „Walory dydaktyczno-wychowawcze Muzeum Hymnu Narodowego w Będominie”, a interesujący materiał onomastyczny zawarty w „Polskich nazwach osobowych w dawnym Gdańsku” L. Wierzbowskiego

oraz w szkicu B. Mossakowskiej „Antroponimy świadectwem polskości Warmii” może być wykorzystany dla powiązania nauki o regionie z problematyką nazewniczą, której miejsce w programie szkolnym omawia w tym zbiorze G. Surma (artykuł pt. „Problematyka onomastyczna w szkole”),

Każdy z artykułów zawartych w „Bliżej regionu i ucznia” zajmuje się nieco inną problematyką dydaktyczną i proponuje nieco inne podejście, ale to właśnie sprawia, że każdy nauczyciel języka polskiego, który sięgnie po ten tomik, powinien w nim znaleźć zagadnienia mogące go zainteresować. Zwłaszcza, jeśli jest to nauczyciel z regionu gdańskiego, uwzględniający w swej pracy tematykę regionalną pomorską i kaszubską. ■

MADONNA Z KOŚCIERSKICH PÓL

Aleksandra Banach, Dzieje obrazu Matki Bożej Kościerskiej, Parafia Trójcy Świętej w Kościerzynie, Zakład Matej Poligrafii Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie 1993, wykonano na zlecenie parafii pw. Trójcy Św. w Kościerzynie.

Stanisław Janke

Zgoła inny jest obecnie ruch wydawniczy niż kilka lat temu. Ogólnie rzecz biorąc mamy na rynku księgarskim mniej literatury pięknej, więcej natomiast pozycji o charakterze dokumentacyjnym, rejestrujących najnowsze wydarzenia i zjawiska życia społecznego i politycznego, więcej jest także różnego rodzaju poradników, monografii i przewodników. Ponadto ruch wydawniczy, podobnie jak prasa, nie koncentruje się już tylko w dużych ośrodkach, lecz wręcz rozlał się na tak zwaną prowincję. Wydawcami są środowiska lokalne - samorządy, rozmaite organizacje i stowarzyszenia oraz wspólnoty parafialne.

W ostatnim czasie także na Kaszubach kilka parafii opublikowało monografie swoich kościołów i obiektów kultu. Wśród opracowań dotyczących kultu maryjnego na uwagę zasługuje praca Aleksandry Banach „Dzieje obrazu Matki Bożej Kościerskiej”.

Obraz mieści się w kościele farnym Świętej Trójcy, pochodzi z początku XVII wieku. Jak twierdzi proboszcz parafii, ks. Marian Szczepiński „obraz ten był od samego początku otoczony szczególną czcią przez wiernych Kościołowi katolickiemu Kaszubów”. Murowany kościół kościerski prawdopodobnie został zbudowany w 1642 roku, kilkanaście lat po spaleniu się świątyni drewnianej. W budowie kościoła bardzo zaangażowani byli ojcowie kartuzi z sąsiednich Kartuz. Autorce nie udało się wyjaśnić, w jaki sposób wizerunek Madonny trafił do kościerskiej fary. Jest to dość wierna kopia obrazu Matki Boskiej Śnieżnej, znajdującego go się od IX wieku w Bazylice Santa Maria Maggiore w Rzymie. Kopie tego obrazu rozpowszechnili głównie w Małopolsce i Wielkopolsce jezuita, kościerska jest jedyna na Pomorzu. Dodatkowo wyróżnia ją dziewięć kolistych medalionów, przedstawiających sceny różańcowe, niespotykane w sztuce pomorskiej pierwszej połowy XVII wieku. Z późniejszych lat pochodzą srebrne szaty Madonny i Dzieciątka oraz korony. Autorka w interesujący sposób opisała związki tych dodatkowych elementów obrazu z dramatycznymi wydarzeniami religijnymi rozgrywającymi się na Pomorzu w XVII i XVIII wieku.

Późnobarokowy kościół, z którym złączył się kult Matki Bożej Kościerskiej, został rozebrany w 1914 roku. Trzy lata później na jego miejscu wzniesiono obszerną neobarokową świątynię. Pomieszczono w niej cenniejsze elementy wystroju poprzednich świątyń, w tym najcenniejszy obraz, cieszący się w ostatnich latach szczególnym kultem kościerskich wspólnot parafialnych. Powierzają oni swej Matce Bożej opadające się rodziny. Cała historia obrazu zawiera liczne odniesienia do specyfiki miejscowego środowiska, jest swoistym świadectwem życia duchowego na tym terenie, nie tylko religijnego.

Cennym uzupełnieniem tekstu są dobrej jakości barwne fotografie całego obrazu i ważniejszych szczegółów wizerunku. ■

Kartuzy

Do napisania listu skłonił mnie artykuł Wojciecha Turka pt. „Portret Gminy Kartuzi”, zamieszczony w nr. 4/93 „Pomeranii”. Otóż autor pisze, cytując: „Ponadgminne znaczenie miasta uznaje również struktura Kościoła, w której Kartuzi są siedzibą dekanatu”. Czy wiadomo jest autorowi, że na obszarze przyszelego powiatu kartuskiego mamy jeszcze trzy dekanaty: Żukowo, Sierakowice, Stężyca, czyli że dekanat kartuski nie jest argumentem za „ponadgminnym znaczeniem miasta”. Natomiast autor pominął to, co rzeczywistość ma nie tylko ponadgminną, ale diecezjalną strukturę - kolegiatę i przynależną do niej Kapitułę Kolegiacką, jedyną w diecezji pelplińskiej. Druga kolegiata na Kaszubach jest w Wejherowie, ale to archidiecezja gdańska.

Również w tym samym numerze w artykule „Raj dla Turystów” Janusz Kowalski pisze: „Stan wiedzy pozwala odwrócić budowlę Kartuzi. Zrekonstruować można by przede wszystkim eremy okalające wielki krużganek. W eremach można by urządzić dom księży emerytów albo dom samotnych matek”. Autor ma jak najbardziej rację, trzeba by odbudować. Jestem skromny, więc myślę o odbudowaniu nie wszystkich eremów, ale choć jednego czy dwóch. Mógłby zamieszkać w nim zakrystianin albo organista. Zakrystianin musi mieszkać przy kościele choćby tylko ze względu na turystów zwiedzających naszą świątynię. Istniejący erem nie za bardzo nadaje się na mieszkanie. Można by go przeznaczyć na muzeum. Czy wiadomo jednak, że w tym jedynym zachowanym eremie, w jego najcenniejszej części - Oratorium utworzono kotłownię? Czy nie jesteśmy zbyt brutalni? Czy konserwator zabytków zgodził się na coś podobnego? Czy nasze pokolenie oddaje w jakiś sposób hołd tym, którzy tu byli 444 lata i wzniesli te wspaniałe budowle? - chyba nie. Nie potrafimy nawet uczcić jednego z najciekawszych i świątliwych przeorów konwentu kartuskiego o. Jerzego Schwen gla, nadając jego imię jednej z ulic miasta, o co bezskutecznie stara się grono osób. Bardzo proszę, aby Redakcja poparła tę propozycję. Dlaczego nasza Rada Gminy jest głucha na to wołanie?

(imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

Szanowny pan dyrektor
Jerzy Kiedrowski

(...) zastanawiałem się dosyć długo, w jaki sposób podziękować panu, zarządowi Zrzeszenia, także wszystkim osobom, które przyczyniły się do sukcesu Symposium we Wieżycy na Kaszubach. Serdeczne Bóg zapłać. Jestem pewny, że ten zjazd przyniesie owoce dla Kaszubów, kaszubskiej ziemi.

Serdeczne pozdrowienia zasyła
Alfons Bladowski
USA

(...) serdecznie dziękuję za ten przepiękny pobyt na Kaszubach w ramach I Symposium dla Polonii Pomorskiej! Widziałam tyle nowego i mam tyle wrażeń, że nie wiem, kiedy uda mi się coś napisać.

Proszę przekazać podziękowania oraz serdeczne pozdrowienia dla pana Konstantego Rosenera oraz dla pana wice wojewody, Józefa Borzyszkowskiego.

Z wyrazami szacunku
Kirsti Siraste-Suda
Finlandia

(...) dopiero niedawno wróciliśmy z Polski. Nasz tegoroczny pobyt na rodzinnej Ziemi był inny niż wszystkie poprzednie. Dzięki Symposium dla Polonii Pomorskiej mieliśmy wiele przyjemnych, ciekawych, urogających i wzruszających przeżyć.

Za to wszystko pragniemy jeszcze raz bardzo serdecznie panu Dyrektorowi podziękować.

(...) Żywe są w naszej pamięci wszystkie spotkania, dyskusje, rozmowy, które - to jest naszym życzeniem - oby były początkiem dalszych kontaktów i współpracy ze Zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim (zostałem jego członkiem) i z Pomorskim Oddziałem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

Łączymy wyrazy uznania
i serdeczne pozdrowienia
Zofia i Mieczysław Hildebrandt
Vanves, Francja

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł Stanisława Jankego pt. „Z kaszubskiej anteny”, zamieszczony w kwietniowym numerze miesięcznika „Pomerania” z 1991 roku. Piszę o tym po tak długim czasie, bo dopiero teraz otrzymałem kopię tego artykułu od mojej siostry Marii Kullas, zamieszkałej w Gdańsku.

Jeśli chodzi o przedwojenne audycje radiowe, moja pamięć informuje mnie przede wszystkim, że audycja zatytułowana „Gwiazdka na Kaszubach” została przekazana słuchaczom na Boże Narodzenie w 1937 roku przez rozgłośnię w Toruniu. W audycji tej uczestniczyli moi rodzice Bolesław i Elżbieta Kullasowie, Marta Stanke, Franciszek Brzeski i dwóch artystów z Teatru Ziemi Pomorskiej w Toruniu. Ja w tym czasie miałem siedem lat i grałem rolę aniołka. Była to jedyna audycja kaszubska, w której uczestniczyłem do roku 1939.

Pan Franciszek Brzeski, porucznik Wojska Polskiego (z zawodu nauczyciel), był wielkim przyjacielem naszej rodziny. Pan Brzeski propagował kaszubszczyznę wraz z moim ojcem Bolesławem Kullasem i Janem Biangą.

Audycje radiowe pn. „Tona i Gust” zaczęto nadawać w drugiej połowie lat trzydziestych przez Rozgłośnię Pomorską w Toruniu, a w latach 1945-1958 w Gdańsku. Autorami byli Bolesław Kullas i Jan Bianga. Audycje te pisano u nas w domu, w kuchni. Moja matka, Elżbieta Kullas często dodawała do tekstów parę słów. Pamiętam, że zawsze było przy tym dużo śmiechu. Nie było jednak wyrażnego podziału funkcji w pisaniu audycji. Mój ojciec był znany z tworzenia komizmu postaci i sytuacji, zaś pan Jan Bianga był szczególnie utalentowany w poezji i liryce, w tworzeniu treści piosenek. Autorzy dobrze znali psychikę Kaszubów i teksty audycji zbliżyły Tonę i Gusta do naszego społeczeństwa, bo odzwierciedlały życie codzienne na Kaszubach, podane na „wesołą nutę”.

W czasie nieobecności pana Biangi, ja grałem rolę Gusto. Byłem również współautorem (wprawdzie nielicznych) audycji i, o ile pamiętam, pewnego wiersza (integralna część programu). W niektórych audycjach grała cała rodzina Kullasów, czyli Bolesław Kullas (Tona), Elżbieta Kullas (Anka), Witold Kullas (Feliks), mój brat, Henryk Kullas (Franck) i moja siostra Maria Kullas (Monika).

Po wojnie audycje były nadawane przez rozgłośnię gdańską (na żywo, nie z taśmy), która znajdowała się w bunkrze na Biskupiej Górze. Około roku 1955 rozgłośnię przeniesiono do Gdańska-Wrzeszcza, naprzeciwko kortów tenisowych YMCA. Z tej rozgłośni też nadawaliśmy audycje kaszubskie na żywo, a od roku 1956 (?) ponownie z taśmy.

Mój ojciec Bolesław, matka Elżbieta i brat Witold zmarli i pochowani są na cmentarzu na Srebrzysku we Wrzeszczu. Siostra, Maria Kullas żyje. Ona posiada kopie „naszych” audycji (zbiory ojca). Akordeonistami przygrywającymi byli Zygmunt Koporski do 1939 roku oraz Eugeniusz Zdunek i Maria Redzińska po roku 1945; oboje mieszkali we Wrzeszczu.

Audycje „Tona i Gust” cieszyły się wielką popularnością. Chylę czoło przed moim ojcem Bolesławem Kullasem i panem Janem Biangą, których pokolenia Kaszubów pamiętają jako Tonę i Gustę.

mgr inż. **Henryk Kullas**
Lanson, Australia

Ksiądz dr Bernard Sychta jako znawca psychiatrii duszpasterskiej

W moim tekście o ks. dr. Sychcie („Pomerania” 7-8 z 93 r.) znalazł się istotny błąd, który wprowadza czytelników w błąd. Na stronie 38 w drugim akapicie pierwszej szpalty zdanie zaczynające się: „Nic więc dziwnego, że równoległe z objęciem obowiązków wikariusza aktualnego parafii katedralnej w Pelplinie, powierzono mu wykłady z zakresu psychiatrii...” dalej powinno brzmieć „... w Wyższym Seminarium Duchownym”. Następnie „W celu zweryfikowania własnej wiedzy, poddał się w dniu 5 lipca 1949 roku egzaminowi z psychopatologii i psychiatrii w Akademii Medycznej w Gdańsku, uzyskując odpowiedni dokument potwierdzający kwalifikacje w tym zakresie”.

Prof. dr hab. med. **Adam Bilikiewicz**

Przepraszamy Autora i Czytelników za nasz ewidentny błąd korektorski, zniekształcający fakty.

Redakcja



„BIAŁA SOBOTA” W ZBLEWIE

■ Z inicjatywy Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego Oddział Kociewski w Zblewie zorganizowana została 2 października br. tzw. „Biała sobota”. W tym dniu w ośrodkach zdrowia w Zblewie i Semlinie lekarze-specjaliści z terenu Trójmiasta udzielali bezpłatnych porad lekarskich mieszkańcom tutejszej gminy. Z porad lekarzy pediatrów, okulistów, internistów, kardiologa, ortopedy, onkologa, neurologa, psychiatry i laryngologa skorzystało ponad 500 pacjentów. Chętnych było znacznie więcej, jednakże możliwości obsługi były ze względów technicznych ograniczone. Z pomocy skorzystały szczególnie osoby niezdolne, mające trudności z utrzymaniem kontaktu z lekarzami miejscowego Ośrodka Zdrowia.

„Biała sobota” spotkała się z dużym uznaniem społeczności gminy Zblewo, która dziękując serdecznie zespołowi lekarzy nieśmiało prosiła o podobną akcję w przyszłości. Lekarze zapewnili, że spotkają się jeszcze z mieszkańcami gminy na przełomie listopada i grudnia br.

W imieniu mieszkańców, którzy skorzystali z pomocy lekarskiej i tych, którzy na nią jeszcze oczekują, składamy całemu gronu lekarzy specjalistów i personelowi pomocniczemu ośrodków zdrowia w Zblewie i Semlinie wyrazy najserdeczniejszych, z głębi serca płynących, podziękowań.

F. Puttkammer

SPOTKANIE Z KS. ANTONIM PEPLIŃSKIM

■ W kościele św. Jadwigi Śląskiej w Lęborku odbyła się msza św. w intencji Zespołu Wokalnego „Lewino”, istniejącego już siedem lat, od kilku lat związanego z Oddziałem Lęborskim Zrzeszenia. Mszę św. z kaszubską liturgią słowa odprawili ks. Antoni Pepliński z Mściszewic i ks. dziekan Stanisław Formela z Bożegopola. Śpiewał oczywiście zespół „Lewino”, którym kieruje Jan Formela.

Po mszy św. odbyło się spotkanie z ks. Antonim Peplińskim, autorem

wielu znanych piosenek kaszubskich. Sędziwy kapłan opowiadał o swoim życiu, a zespół grał i śpiewał jego utwory.

St. F.

ZESPÓŁ GOSPODARCZY W WEJHEROWIE

■ We wrześniu członkowie Zarządu Wejherowskiego Oddziału spotkali się z biznesmenami, którzy zadeklarowali członkostwo zbiorowe ZK-P. Obecni byli także prezydent miasta Jerzy Budnik oraz Jerzy Kiedrowski wiceprezes ZG ZK-P. Dyskutowano o stworzeniu materialnych warunków dla coraz prężniejszej działalności oddziału, kierowanego przez Bronisława Naczka. Powołano zespół gospodarczy, na którego czele stanął Marian Czoska. Wspierać go będą Irena Senderska i ks. Stanisław Bigus.

Wejherowskie poczynania śledzić będziemy z zainteresowaniem.

(jot-ka.)

KOŁAM PO NAWISŁU

■ Pod koniec sierpnia grupa turystów na rowerach (był to I Kociewski Rajd, więc zaprosiliśmy tylko sąsiedzkie oddziały) przez trzy dni robiła wyprawę do niezwykle ciekawych miejsc ziemi świeckiej i chełmińskiej, posuwając się wzdłuż Wisły. Miejscem zbiórki była tzw. Stara Fara w Świeciu (tu gościnność, w tym noclegi w Domu Pielgrzyma, zapewnił ks. M. Miotk). W pierwszym dniu dotarliśmy do zażytkowego kościoła w Topolnie. Jego niezwykle dzieje przedstawił życzliwy nam ks. kanonik A. Regent. Posiłek załatwiliśmy sobie u sióstr pasterek. Obejrzelśmy też w Chrystkowie zażytkową drewnianą chatę (tak okazała się nie ma nawet we Wdzydzkim Skansenie). Będzie ona zapewne ozdobą tworzącego się nadwiślańskiego parku krajobrazowego. Drugi dzień wypełniło zwiedzanie Chełmna, w którym liczba zabytków na kilometr kwadratowy jest chyba największa na Pomorzu. Przeżywanie historyczności tego miasta dopełniło się na kryjącej grodzisko Górze Świętego Wawrzyńca, którą odszukaliśmy jadąc do Starogardu. Ostatniego dnia dotarliśmy przez Sartowice do Grudziądza. Tu jedyny w swoim rodzaju zespół warownych spichlerzy, pomnik Światowida, Starówka...

I tak w ciągu trzech dni przejechaliśmy kołam 160 km z pewnym zdziwieniem, że aż tak bogate są nasze strony, i z postanowieniem - będziemy zachęcać innych do takich wypraw.

MP

WIEŚCI Z SIERAKOWIC

■ Działalnością kulturalną w gminie kieruje oczywiście Gminny Ośrodek Kultury, który harmonijnie współpracuje z różnymi organizacjami, między innymi ze Zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim.

5 września odbyły się dożynki gminne połączone z turniejem sołectw. Siedem sołectw zaprezentowało specyfikę swoich środowisk od scenek rodzajowych po zbiory etnograficzne. Najlepsze otrzymały cenne nagrody m.in. siewnik, kosiarke spalinową, które zwycięzcom wręczyli sponsorzy.

20 października rozpoczyna nowy sezon teatralny Kaszubski Zespół Teatralny „Bina”, który w swej półtorarocznej działalności wystawił już trzy sztuki. Członkowie „Biny” od roku należą do Zrzeszenia. W listopadzie pragniemy wystawić sztukę Stanisława Jankego pt. „Roczëzna”.

Faktem godnym odnotowania jest powstanie w Sierakowicach muzeum. 12 października nastąpiło uroczyste jego otwarcie. Twórcami tej placówki są pracownicy Gminnego Ośrodka Kultury. Dotychczas zebraliśmy 112 eksponatów i z pewnością uda się nam poszerzać ekspozycję. Muzeum mieści się w budynku Gminnego Ośrodka Kultury i czynne jest od poniedziałku do piątku w godz. 10-17.

Serdecznie zapraszamy wszystkich!

Barbara Klawikowska

PROMOCJA DZIENNIKA OFICERA

■ 21 października w sali Wydziału Filologiczno-Historycznego Uniwersytetu Gdańskiego odbyła się promocja książki Andrzeja Bukowskiego „Za drutami oflagów. Dziennik oficera 1939-1945”, opublikowanej przez Wydawnictwo Naukowe PWN. Promocja miała charakter akademicki; spotkaniu z autorem książki, na które przybyło liczne grono historyków i filologów, a także przedstawiciele PWN i Wydawnictwa „Marpres”, przewodniczył dziekan, prof. dr hab. Jan Data.

O książce prof. dr. Andrzeja Bukowskiego wypowiadali się, nierzadko analitycznie, profesorowie: Roman Wapiński, Stanisław Mikos, Małgorzata Czerwińska, Edmund Kotarski oraz mgr Jan Gruchała i Tadeusz Bolduan.

Ogólna ocena książki wypadła bardzo dobrze, na co niewątpliwie wpłynął jej charakter. Jest ona au-

tentycznym dziennikiem pisany w bieżyco, zaczynającym się w ostatnim dniu pokoju, a kończącym pod koniec czerwca 1945 r. Prof. Bukowski zauważył, że w swoim życiu zawsze więcej notował niż czytał, bo w świadczeniu historii chciał być dokładny, wierny, a pamięć ludzka zawodzi, zwłaszcza w miarę upływu czasu.

Autentyzm dziennika może najwyraźniej dostrzegł prof. Wapiński, który uznał go za źródło, dokument chwili, nie zniekształcony zapis momentu - czasu historycznego. Prof. Kotarski uznał dziennik za ważne studium nastrojów, własnych odczuć autora ze znaczną dozą intymności, zwłaszcza w tych fragmentach, w których pisze o żonie, synu i w korespondencji rodzinnej. Książkę prof. Bukowskiego rozpatrywano też na szerszym tle życia obozowego (prof. Mikos, mgr Gruchała), poznawania zmian, jakie zaszły w Niemczech (prof. Wapiński) i poddano ją rzeczowej analizie filologiczno-fotograficznej (prof. Czerwińska).

Promocja książki prof. Bukowskiego - szkoda, że odbyła się ona tylko w środowisku naukowym - wskazała na wartość zapisu chwili przez obecnego w niej człowieka myślącego i obserwującego. Tego typu źródeł prawie nie mamy, a pamiętniki i wspomnienia - jak zauważył prof. Wapiński - piszą dzisiaj ludzie, którzy nie pamiętają przeszłości, a szczególnie nastrojów panujących w opisywanym czasie.

(T.B.)

PIAŚNICA

■ Las Piaśnicki jest miejscem jednej z największych bezpośredniej eksterminacji w Europie z czasów II wojny światowej.

24 października odbyły się tradycyjnie już rocznicowe uroczystości ku czci pomordowanych. Tysiące zgromadzonych powitał proboszcz z Leśniewa ks. Jan Meller. Mszę św. koncelebrował ks. arcybiskup Tadeusz Gocłowski, który w kazaniu powiedział m.in. że pamięć o tamtych zbrodniach nie jest wyzwalaniem nienawiści, jest ona konieczna, by nie tylko oddać hołd ofiarom, ale by przypominała nam, że mamy pilnować relacji międzyludzkich i narodowych we współczesnej Europie, by u korzeni samych likwidować to, co mogłoby być w przyszłości potencjalną zbrodnią.

W imieniu rodzin ofiar zbrodni podziękował Wojciech Kiedrowski.

Współorganizatorem uroczystości był Społeczny Komitet Opieki nad Mogiłami Piaśnicy w Wejherowie, któremu przewodniczy ks. kan. Bogusław Żurawski.

W przededniu uroczystości, 18 października w Piaśnicy, a następnie w Bolszewie spotkał się Społeczny Komitet. Zapoznano się z pracami porządkującymi i modernizującymi ten olbrzymi grób. Wszystkim zaangażowanym w te prace instytucjom i osobom prywatnym serdecznie podziękowano. Wysłuchano też informacji red. Reginy Osowickiej o bieżącej pracy Komitetu i zapoznano się z najbliższymi planami, m.in. wydania informatora o Piaśnicy. Uczestniczący w spotkaniu dyrektor Wydziału Spraw Obywatelskich UW Jerzy Kiedrowski przekazał zebranym szczere wyrazy uznania za trud, za bardzo efektywną pracę nad godnym utrzymaniem tego miejsca pamięci.

(Lew)

JUBILEUSZ SZKOŁY

■ 28 października w Szkole Podstawowej nr 11 im. Teodora Bolduana w Wejherowie uroczystość obchodzono jubileusz jej 15-lecia. Imię Teodora Bolduana nadano szkole z wyboru rodziców, nauczycieli i dzieci w 1984 r. W roku szkolnym 1984/1985 uczęszczało do szkoły 1792 uczniów; zatrudnionych w niej było 120 nauczycieli i pracowników administracyjno-gospodarczych. Obecnie uczy się w niej 925 uczniów, a zatrudnionych jest 88 pracowników. Jej mury opuściło 2352 absolwentów. O historii szkoły, uzdolnieniach uczniów, często artystycznych i humanistycznych oraz o osiągnięciach w różnych dziedzinach życia pozalekcyjnego, mówiła dyrektor Lidia Prylińska.

Uroczystość zaszczylił swą obecnością prezydent miasta Wejherowa Jerzy Budnik i członek Zarządu Miasta Krzysztof Hildebrandt, przybyli też poprzedni dyrektorzy - Wojciech Jastrzębski, Stanisław Zalewski i przedstawiciele komitetu rodzicielskiego. Było bardzo uroczyste, przemówienia były krótkie, rzeczowe, pełne uznania dla grona pedagogicznego i komitetu rodzicielskiego, dla wszystkich, którzy tworzyli i tworzą dobry klimat w szkole i przede wszystkim z ogromnym poświęceniem uczy i wychowują dzieci.

Starannie przygotowano program artystyczny, umiarkowanie patriotyczny, ale podniosły, przyjęty z za-

służonym aplauzem. Potem była kawa, torty i szampan, i niekończące się rozmowy towarzyskie, bardzo miłe, bo na uroczystość zaproszono również byłych nauczycieli i tych przebywających już na emeryturze, ale wciąż młodych.

Szkoła, jak wiele innych, przeżywa trudności finansowe. W następnym roku powinno się przeprowadzić w niej remont kapitalny. Na zakończenie uroczystości prezydent Jerzy Budnik nie odmówił pomocy miasta. Na słowie prezydenta Wejherowa można polegać.

(t)

105 LAT OSP W KARTUZACH

■ 5 września br. Kartuzcy obchodzili 105-lecie swojej Ochotniczej Straży Pożarnej. Miasto gościło liczne delegacje OSP z najbliższej okolicy. Uroczystości jubileuszowe miały szczególnie godną oprawę. Mszę św. w kościele parafialnym p.w. św. Kazimierza odprawił biskup pelpliński Piotr Kruppa. W homilii biskup nawiązał do życzliwej ludzom i Bogu służby strażaków, którym patronuje św. Florian. Udekorował też strażacki sztandar medalem papieskim, którym Jan Paweł II odznaczył kartuską OSP. Po Mszy św. zebrano się przed Urzędem Gminy, gdzie wręczono odznaczenie. Po defiladzie oddziałów OSP z sąsiednich gmin z pocztami sztandarowymi (był też poczet Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego) przemaszerowano na stadion, gdzie odbyły się emocjonujące zawody sprawnościowe strażaków, dopingowanych gorąco przez mieszkańców Kartuz.

Zawodową Straż Pożarną utworzono w 1836 r. w Warszawie. Pierwsza Ochotnicza Straż Pożarna w kraju powstała w 1863 r. w Kaliszu. Jedną z najstarszych na Pomorzu jest OSP w Kartuzach, powstała w 1888 r. z inicjatywy adwokata Stachowicza. W 1907 r. oddano do użytku nowo wybudowaną remizę, która, przebudowana po II wojnie, służy strażakom do dziś. Prezes Zarządu OSP Zbigniew Ostoja-Lniski podczas jubileuszowej uroczystości powiedział, iż działalność OSP to nie tylko służba w obronie życia i mienia, to także działalność społeczna w swoim środowisku.

(jot-ka)

WIELKIE PARKI

KASZUBY

Słowiński Park Narodowy (18 247 ha) - nadmorskie wydmy ruchome od Łeby do Rowów oraz sąsiednie jeziora i mokradła. **Zarząd:** 76-214 Smołdzino, ul. Bohaterów Warszawy 1, tel. 0-59/11-62-04.

Park Krajobrazowy „Dolina Słupi” (37 040 ha) od jeziora Jasień i Soszycy do Słupska - dolina Słupi, obszary źródłiskowe Łupawy i Skotawy oraz sąsiednie lasy, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 0-59/43-60-08, w. 517;

Nadmorski PK (14 453 ha) od Helu i Rewy do Dębek (ujście Piaśnicy) - półwysep, Zatoka Pucka, klify, 84-120 Władysławowo, ul. Morska 6, tel. 74-06-85;

Trójmiejski PK (18 154 ha) od Wejherowa do Gdańska - stok pradoliny i sąsiednie lasy; **Kaszubski (Raduńsko-Mirachowski) PK** (34 544 ha) od Stężycy po Kamienicę Królewską - jeziora i lasy; **Wdzydzki PK** (17 650 ha) od Wyrówna i Grzybowa do Borska - jezioro Wdzydze oraz sąsiednie lasy i wody, 80-308 Gdańsk-Oliwa, Polanki 51, tel. 52-34-68;

Zaborski PK (31 279 ha) od Jeziora Skoszewskiego do Charzyków i Męcikału - szlaki Zbrzycy i środkowej Brdy oraz sąsiednie lasy i wody, 89-600 Chojnice, ul. Lichnowska 5, tel. 0-531/724-60;

BORY I KOCIEWIE

Tucholski PK (36 983 ha) - dolina Brdy od Rytle do Piły oraz sąsiednie lasy i wody. **Zarząd:** 89-500 Tuchola, ul. Świecka 66, tel. 15-574/37-12;

Wdecki PK (19 177 ha) - Wda od Błędna do Gródka, jej dopływy i sąsiednie lasy, 86-150 Osie, Rynek 9, tel. 3.

Nadwiślański PK (25 965 ha) - stoki północne Pradoliny Toruńsko-Eberswaldzkiej (odcinek bydgoski) i północno-zachodnie (lewe) Doliny Wisły od Fordonu do Kozielca oraz pobliskie lasy (część północna - 20 845 ha na Kociewiu).

KASZUBSKIE MSZE ŚWIĘTE

RAZ W MIESIĄCU

80-840 Gdańsk, zautek Świętojański 2, kaplica kościoła Św. Jana, druga niedziela, g. 12, ks. **Marek Adamczyk**; po mszy spotkanie w Domu Kaszubskim;

84-120 Władysławowo, ul. Żeromskiego 32, kościół Wniebowzięcia NMP, trzecia niedziela, g. 12.30, ks. **Leszek Kryża**;

81-107 Gdynia-Oksywie, ul. Płk. Dąbka 1, kościół Św. Michała, jw., g. 13, ks. **Roman Skwiercz**;

Rzuszcze, 76-220 Główny, Dom Kultury Regionalnej, czwarta niedziela, g. 14.30, ks. **Tadeusz Stromski**;

81-197 Gdynia-Babie Doły, ul. Rybaków 2A, kościół MB Licheńskiej, ostatnia niedziela, g. 12.15, ks. **Edmund Skierka**;

83-400 Kościerzyna, ul. Kościelna 6, kościół Trójcy św., jw., g. 18, ks. prałat **Marian Szczepiński** i ks. **Jacek Dawidowski**;

84-200 Wejherowo, ul. 3 Maja 19, kościół Św. Leona Wielkiego, jw., g. 18.30, ks. **Stanisław Bigus**;

80-384 Gdańsk-Przymorze, ul. Zwycięzców 19, kościół NMP, pierwszy wtorek, g. 19.15, ks. **Bogusław Głodowski**; po mszy spotkanie w salce parafialnej;

W CO DRUGIM MIESIĄCU

83-311 Goręczyno, kościół Trójcy św., najbliższy termin: niedziela 12 XII, g. 9.30, ks. **Hubert Kitowski**.

RZADZIEJ

84-208 Kielno, kościół Św. Wojciecha, najbliższy termin: niedziela 20 II, g. 12.00, ks. **Franciszek Rompa**.

MAGAZYN KASZUBSKIE

Polskie Radio Gdańsk, fala 67,85, niedz., g. 13.05-14, „Na bótach ẽ w bórach”, red. **Dominik Sowa** i **Leszek Szmidtke**;

Telewizja Polska, co dwa tygodnie, gdański progr. II, niedz., g. 10-10.30 i III, czw., po 20, „Rodnõ zemia”, red. **Izabella Trojanowska**. W magazynie kurs kaszëbiznë „Gôdómë po kaszëbsku”, który opracował **Eugeniusz Pryczkowski**.

KSIĘGARNIE

W sprzedaży ● cassubiana i pomerańska ● kaszubskie muzykalia:

77-100 Bytów, ul. Wojska Polskiego 16, „Conrad”, pon.-piąt. 9-17, sob. 10-14;

81-366 Gdynia, ul. 10 Lutego 2, „Ex Libris”, pon.-piąt. 10-19, sob. 11-15;

84-100 Puck, pl. Wolności 33, im. Abrahama, pon.-piąt. 9.30-18, sob. 9.30-14.

SKLEPIKI KASZUBSKIE

Oferta jw. oraz ● kaszubskie, kociewskie i borowiackie hafty, rzeźby i inne wyroby ludowe ● kaszubska porcelana „Lubiany” grubo- i cienkościenne (sklep fabryczny 83-407 Łubiana, tel. 0-58/86-37-84, w. 223, pon.-piąt. 10-16), są w kilku muzeach i oddziałach ZK-P oraz w nast. miastach:

80-834 Gdańsk, ul. Szewska 1-4, tel. 31-32-35, pon.-piąt. 10-17;

77-100 Bytów, ul. Bauera 1A, stoisko w sklepie „Dewocjonalia-Hafciarstwo” I. i W. Machów, pon.-piąt. 10-16;

84-140 Jastarnia, ul. Ks. Stefańskiego 27, tel. 75-21-34, stoisko w sklepie „U Justyna”, pon.-piąt. 9-17, sob. 9-14;

83-300 Kartuzy, ul. Klasztorna 18, stoisko w sklepie wielobranżowym W. Natęcza-Wardęskiego, wt.-niedz. 10-18;

83-400 Kościerzyna, ul. Jeziorna 4, sprzedaż „Pomeranii” w sklepie „Artykuły papiernicze i akcydensowe” J. Dorawy, pon.-piąt. 9.30-17, sob. 10-13;

84-230 Rumia, ul. Dąbrowskiego 26, kiosk w kościele NMP, śr.-piąt. 17-18;

POMERANIA

KASZUBY • ZIEMIA I LUDZIE

G R U D Z I E N 1 9 9 3



STANISŁAW SKŁADANOWSKI

Była sobie wieś...

28 października 1993 r. rozstrzygnięty został **Ogólnopolski Konkurs Fotograficzny KASZUBY-ZIEMIA I LUDZIE** ogłoszony przez redakcję „Pomeranii” i Regionalny Ośrodek Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego oraz Gdańskie Towarzystwo Fotograficzne.

Na konkurs wpłynęło 146 zdjęć 18 autorów.

Jury w składzie:

przewodniczący - Krzysztof Jakubowski (ZPAF), Alfons Klejna (ZK-P), Piotr Najmayer (ROŚIOSK), Eugeniusz Nurzyński (GTF), Arkadiusz Staniszewski („Pomerania”) wybrało do ekspozycji pokonkurowej 56 prac 10 autorów oraz przyznało następujące nagrody:

I nagroda - **Stanisław Składanowski** za zestaw 6 zdjęć pt. *Była sobie wieś...*

II nagroda - **Adam Matuszewski** za pracę pt. *Córka rybaka i Przepierka*

III nagroda - **Piotr Zabłocki** za trzy barwne prace bez tytułu

oraz 5 równorzędnych wyróżnień, które otrzymali:

Piotr Januszewski za pracę bez tytułu

Stanisław Kaniewski za zestaw 4 zdjęć pt. *Wodociąg*

Marcin Pazio za pracę bez tytułu

Andrzej Tanewski za pracę pt. *Kupcie kury* oraz **Janusz Wroński** za pracę pt. *Taniec*.

Melchior Wańkowicz niegdyś napisał: *Kiedy wglądam w wieki, które przez tę ziemię szły, są one jak zmienne i ruchome fale (...) Ale jeśli uniesiesz wzrok, to tkwi przed nim zatoka ta sama, ziemia ta sama, morze to samo.*

Niby wszystko to samo, a jednak ... Oko obiektywu fotograficznego jest w stanie zatrzymać w czasie to, co skazane zostało przez człowieka i cywilizację na zagładę, jak ta wieś Krotoszyno pochłonięta przez buldożery, samotny wozowoda pobierający wodę z jeziora, szkudła pokrywające dach starego domu, kobieta piorąca w jeziorze bieliznę. Intencją organizatorów konkursu fotograficznego, który ogłaszany będzie co dwa lata, jest utrwalanie tych zanikających lub ulegających zmianie elementów kaszubskiego krajobrazu, obyczaju i architektury.

Organizatorzy dziękują Urzędowi Gminy Chmielno, Urzędowi Gminy Kartuszy, Urzędowi Gminy Lina, Zarządowi Miasta Rumia, Urzędowi Gminy Sierakowice, Zarządowi Gminy Somonino za sfinansowanie konkursu.

Katalog wydany został z funduszu Wydziału Kultury, Nauki i Sportu Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku.



IWONA GŁĄŻEWSKA

Wyspa



PIOTR JANUSZEWSKI

*** (oryginał barwny)



ADAM MATUSZEWSKI

Wnętrze chatupy



PIOTR ZABŁOCKI

*** (oryginał barwny)



IWONA GŁĄŻEWSKA



ANDRZEJ TANEWSKI

Droga do miasta



ADAM MATUSZEWSKI

Szyper

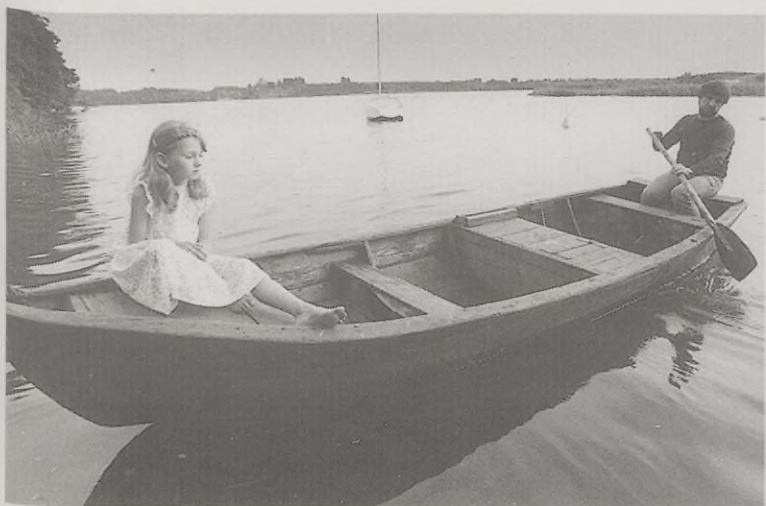


ANDRZEJ TANEWSKI

Kupcie kury



STANISŁAW KANIEWSKI



ADAM MATUSZEWSKI

Córka rybaka



MARCIN PAZIO



ZBIGNIEW STRAHL



JANUSZ WROŃSKI

Taniec



ANDRZEJ TANEWSKI

Odnowa



ADAM MATUSZEWSKI

Przepierka

MUZEA, STAŁE EKSPOZYCJE

Ceny biletów normalnych. Nazwiska właścicieli placówek prywatnych. Placówki o nie oznaczonych godzinach funkcjonowania są otwierane na życzenie.

Będomin, Muzeum Hymnu Narodowego, 83-422 Nowy Barkoczyn, tel. 0-58/87-71-83, 10 000 zł: wt.-sob. 9-15, niedz. i św. 10-15, VI-IX: jw. + 15-16;

Biała Góra, 83-441 Wiele, Ptaków, Ssa-ków i Motyli (Irena Skwierawska);

86-122 **Bukowiec**, ul. Ceynowy 14 (UG), tel. 0-532/195-80, Izba Regionalna;

77-100 **Bytów**, Zachodnio-Kaszubskie, ul. Zamkowa 2, tel. 26-23, 6000 zł: wt.-niedz. 10-15, V-IX: jw. + wt.-piąt. 15-16;

83-333 **Chmielno**, Ceramiki Kaszubskiej, ul. Franciszka Necla 1, tel. 81-95-11, w. 10-89, 5000 zł: pon.-sob. 8-16;

89-600 **Chojnice**, Historyczno-Etnograficzne, ul. Podmurna 1, tel. 0-531/723-19, 4000 zł: wt. 11-17, śr.-piąt. 10-15, sob. 9-14, niedz. 9-13;

89-650 **Czersk**, ul. Szkolna 3 (LO), tel. 0-531/842-21, Izba Powstania Listopadowego;

76-150 **Darłowo**, Muzeum Zamkowe, ul. Zamkowa 4, tel. 0-94/14-23-51, 10 000 zł: wt.-niedz. 10-16, VI - 15 IX: jw. + wt.-czw. 16-18;

80-833 **Gdańsk**, Archeologiczne, ul. Mariacka 25, tel. 31-50-31, 10 000 zł: 16 X-V: wt. 9-16, śr. 10-17, czw. i piąt. 9-16, sob. i niedz. 10-16, V - 15 X: wt.-niedz. 10-16.30;

80-827 **Gdańsk**, Historii M. Gdańska, ul. Długa 47, tel. 31-97-22, 10 000 zł: 16 IX - V: wt.-czw. i sob. 10-16, niedz. 11-16, VI - 15 IX: wt.-niedz. 10-17;

80-851 **Gdańsk**, Ratusz Staromiejski, ul. Korzenna 33, tel. 31-10-51, 5000 zł: XI-III: dni robocze 8-18, dni wolne 12-16, IV-X: jw. + dni wolne 16-17;

80-839 **Gdańsk**, Poczty i Telekomunikacji, pl. Obrońców Poczty Polskiej 1-2, tel. 31-76-11, 2000 zł: pon. i śr.-piąt. 10-16, sob. i niedz. 10.30-14;

80-822 **Gdańsk**, Muzeum Narodowe, ul. Toruńska 1, tel. 31-70-61, 15 000 zł: 16 IX-V: wt. 11-17, śr.-niedz. 9-15; VI-15 IX: wt.-piąt. jw., sob. 11-17, niedz. 9-16;

80-330 **Gdańsk-Oliwa**, Muzeum Narodowe, Oddział Sztuki Współczesnej, ul. Cystersów 15A, tel. 52-12-71, 10 000 zł: 16 IX - V: pon. 10-15, wt. - piąt. i niedz. 9-15, VI - 15 IX: wt. 10-16, śr. 11-17, czw.-sob. 10-16, niedz. 11-17;

80-330 **Gdańsk-Oliwa**, Etnograficzne, ul. Opacka 12D, tel. 52-41-39, cena jw.: 16 IX - V: wt.-niedz. 9-15, VI-15 IX: wt. 10-16, śr. 11-17, czw.-sob. 10-16, niedz. 11-17;

80-328 **Gdańsk-Oliwa**, Kuźnia Wodna, ul. Bytowska 1, tel. 52-51-51, 4000 zł: wt.-niedz. 10-16.30;

80-835 **Gdańsk**, Centralne Morskie, ul. Szeroka 67-68, tel. 31-69-38, ul. Szafarnia 1, tel. 31-86-11 i statek „Sotdek”, Otłownia (Mottawa), tel. 31-26-47, po 10 000 zł: X-V: wt.-niedz. 10-16, VI-IX: codz. 10-19;

81-345 **Gdynia**, statek „Dar Pomorza”, al. Zjednoczenia (nabrzeże Pomorskie), tel. 20-23-71, 15 000 zł: X-V: wt.-niedz. 10-16, VI-IX: codz. 10-19;

81-345 **Gdynia**, Oceanograficzne, al. Zjednoczenia 1, tel. 21-70-21, w. 178, 20 000 zł: wt.-niedz. 10-16.30;

81-374 **Gdynia**, Marynarki Wojennej, ul. Sędzickiego 4, tel. 26-35-65, 6000 zł: wt.-niedz. 10-16;

81-370 **Gdynia**, okręt „Błyskawica”, skwer Kościuszki (basen Prezydenta), tel. 26-36-58, 10 000 zł: wt.-niedz. 10-13 i 14-17;

81-342 **Gdynia**, Muzeum Miasta Gdyni, ul. Waszyngtona 21, tel. 21-04-17, 8000 zł: wt.-niedz. 11-17;

81-356 **Gdynia**, Domek A. Abrahama, ul. Starowiejska 30, tel. 21-62-18, jw.;

81-453 **Gdynia**, ul. Światowida 7, tel. 22-15-20, Zbiory księdza H. Jastaka;

83-316 **Gołubie**, Ogród Botaniczny, ul. Botaniczna 21, tel. 81-53-11, w. 10-03 (IX-VI), (Z. i L. Butowscy): 10 000 zł: V-IX;

84-150 **Hel**, CMM, Oddz. Rybołówstwa, bulwar Nadmorski 2, tel. 75-05-52, 10 000 zł: 16 IX-15 VI: codz. 9.30-16, 16 VI - 15 IX, jw. 10-17.30;

Jagły, 89-632 Brusy, tel. 0-531/823-74, Rzeźby Józefa Chelmskiego;

84-140 **Jastarnia**, ul. Mickiewicza 115, tel. 75-22-45, Zbiórów Rybackich (Juliusz Struck);

83-440 **Karsin**, ul. Długa 167 (SP), tel. 0-58/87-31-79, Izba Pamięci Narodowej;

83-300 **Kartuzy**, Muzeum Kaszubskie, ul. Kościarska 1, tel. 81-03-78, 20 000 zł: wt.-sob. 8-16, V-IX: jw. + niedz. 10-14;

Kluki, MPŚ, Oddz. Skansen Słowiński, 76-214 Smołdzino, tel. 0-59/11-63-44, 5000 zł: śr.-niedz. 9-16;

Kłęczno, 77-143 Studzienice, Izba Regionalna (opiekun St. Szroeder);

83-400 **Kościerzyna**, Wystawa Muzealna „Kościerzyna i Ziemia Kościarska”, ul. Długa 31, tel. 0-58/86-23-63, 4000 zł: pon.-piąt. 8-16;

83-400 **Kościerzyna**, Taboru Kolejowego, ul. Towarowa 11, tel. 0-58/68-35-00, w. 331, 10 000 zł: dni rob. 7-14;



84-300 **Lębork**, Muzeum Regionalne, ul. Młynarska 14-15, tel. 0-59/62-24-14, 5000 zł: 16 IX - 15 V: wt. 10-16, śr. 10-15, czw. 10-16, piąt. i sob. 10-15, niedz. 9-14, 16 V - 15 IX: wt.-piąt. 10-17, sob. i niedz. jw.;

83-407 **Lubiana**, tel. 0-58/86-37-84, w. 315, Wzorcownia ZPS „Lubiana”: pon.-piąt. 7-15;

Nadole, MZP, Oddz. Zagroda Gburska, 84-253 Gniewino, tel. 76-76-44, 5000 zł: IX-VI: pon. i śr.-piąt. 9-15, sob. i niedz. 9-13, VII i VIII: pon. i śr.-piąt. 9-12 i 14-17, sob. i niedz. 9-13;

83-130 **Pelplin**, Muzeum Diecezjalne, ul. Bpa Dominika 11, tel. 0-69/36-12-21, w. 62, 6000 zł: wt.-sob. 11-16, niedz. 10-17;

83-261 **Pieć**, ul. Szkolna 11 (SP), tel. 0-69/877-37, w. 18-03, Izba Pamięci Izydora Gulgowskiego;

Plotowo, 77-131 Rekowo, tel. 64-26, Szkoły Polskiej: VII i VIII: wt.-niedz. 12-16, IX-VI: na życzenie;

83-304 **Przodkowo**, ul. Kartuska 21, tel. 81-96-98, Strażacka Izba Pamięci (opiekunowie W. i L. Deykowie);

84-100 **Puck**, Muzeum Ziemi Puckiej, archeologia, historia, sztuka: pl. Wolności 28, tel. 73-29-96, etnografia: ul. Wałowa 11, tel. 73-22-29, 5000 zł: IX-VI: pon. i śr.-piąt. 9-15, sob. i niedz. 9-13, VII i VIII: pon. i śr.-piąt. 9-12 i 14-17, sob. i niedz. 9-13;

84-100 **Puck**, ul. Morska 13, tel. 73-29-72, Małe Rybackie (A. Budzisz i E. Budzisz-Szczepańska);

84-198 **Rewa**, ul. Morska 92 (Tadeusz Krzysztof);

83-340 **Sierakowice**, ul. Kartuska 26, tel. 81-62-14: pon.-piąt. 10-17;

89-661 **Silno**, Chata Kaszubska, 4000 zł; 76-200 **Słupsk**, Pomorza Środkowego, ul. Dominikańska 5-9, tel. 0-59/240-81, 5000 zł: śr.-niedz. 9-16;

76-214 **Smołdzino**, Parku Narodowego, ul. Mostnika 3, tel. 0-59/11-62-04, 5000 zł: V-IX: codz. 9-17, X-IV: na życzenie;

83-200 **Starogard Gdański**, Ziemi Kociewskiej, ul. Boczna 3, tel. 0-69/246-75, 5000 zł: pon.-sob. 9-16, niedz. 10-14;

83-200 **Starogard Gdański**, ul. Chojnicka 70, tel. 0-69/225-48, al. Jana Pawła II 4, tel. 0-69/220-81 i ul. Sobieskiego 6, tel. 0-69/222-49, Izby Martyrologii i Walki Kociwieja;

Strysza Buda, 83-329 Mirachowo, tel. 81-56-95, Etnograficzne (Franciszek Kowalewski);

83-100 **Tczew**, CMM, Oddział Wistyl, ul. 30 Stycznia 4, tel. 0-69/ 31-07-05, 6000 zł: wt. i śr. 10-16, czw. 12-18, piąt.-niedz. 10-16;

89-500 **Tuchola**, Borów Tucholskich, ul. Podgórna 1, tel. 15-574/37-12, 3000 zł: wt. 9-15.40, śr.-piąt. 9-14.40, sob. i niedz. 10-13.40;

Wdzydze Kisz., Park Etnograficzny, 83-406 Wąglikowice, tel. 0-58/86-12-88, 15 000 zł: 16 X - 15 IV: wt.-niedz. 10-15, 16 IV - 15 X: jw. 9-16;

84-200 **Wejherowo**, Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, czytelnia: ul. Wałowa 14A, tel. 72-25-66: pon.-piąt. 8-15;

83-441 **Wiele**, Ziemi Zaborskiej i Galeria Współczesnej Sztuki Ludowej Kaszub, Dom Kultury, tel. 0-531/818-70, 10 000 zł: IX-V: wt.-sob. 11-15, VI-VIII: jw. 9-16;

84-120 **Władysławowo**, ul. Morska 6, tel. 74-06-85, Parku Krajobrazowego, 2000 zł i Józefa Hallera, 1200 zł: pon.-piąt. 9-15, sob. 9-12; **Rozewie**, poczta jw., tel. 74-95-42, Latarnictwa, 6000 zł;

83-330 **Żukowo**, ul. Klasztorna 18, tel. 81-82-42, Parafialne: śr. 16-18, sob. 9-12.

Prosimy o zgłaszanie zmian. **Kow.**



SZTUM



Na patronkę Sztumu założyciele miasta obrali Najświętszą Marię Pannę. Motywem decyzji był kult głoszony oficjalnie przez Krzyżaków, nazwa ich zgromadzenia wszak brzmiała - Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego. Być może istniały także szczególne powody, jak czyjaś osobista nabożna cześć dla Matki Chrystusa, lecz ich nie znamy. Musimy przeto zadowolić się hipotezą, że przeniesiono opiekę NMP na miasto Sztum, ponieważ sprawowała pieczęć nad całym państwem.

O wstawianictwo możnej patronki zabiegali rycerze krzyżowi także dla innych miast, lecz wyrażali to w różnych formach. Dwa najbliższe Sztumowi ośrodki głosiły chwałę NMP w swych nazwach - Marienburg (Malbork) i Marienwerde (Kwidzyn), Toruń natomiast umieścił Matkę Bożą w najstarszej pieczęci. Także uczynił Sztum, biorąc do herbu Madonnę z Dzieciątkiem, aczkolwiek stało się to prawie dwieście lat później.

Podczas ekspansji z Ziemi Chełmińskiej na północ, zakładając swe bazy dla prowadzenia akcji misyjnej wspieranej orężem w Prusach, Krzyżacy pod wodzą Henryka z Miśni w 1236 r. zburzyli starą osadę grodową Sztum na ziemi zwanej Alyem. Nie od razu dostrzegli potrzebę wybudowania własnej siedziby. Walory obronne owego miejsca były jednak znaczne, zaś wobec wzrastającej ruchliwości na szlaku z Torunia i Chełmna do stolicy państwa krzyżackiego, pojawiła się konieczność wzniesienia nowych twierdz, jako punktów etapowych i strażniczych.

Zamkowi w Sztumie, wybudowanemu w latach 1331-1336 na wyspie otoczonej dwoma jeziorami, przypadła dodatkowa rola wysuniętego fortu na przedpolu Malborka; oddalony był od siedziby władz Zakonu tylko o dwie mile. Wielcy mistrzowie chętnie też przebywali w nowym, dobrze umocnionym zamku.

Pierwszy wójt rezydował w Sztumie od 1331 roku, doglądając budowy. Miasto powstawało powoli, na rozległym przedzamczu, pełniąc przede wszystkim funkcję usługową. Wybudowany został w XIV wieku kościół pod wezwaniem św. Anny i osada stopniowo powiększała się. Dostęp na wyspę umożliwiała dwa mosty zwodzone, miasto otoczone zostało też murami, w których były dwie bramy.

Ciekawostką jest, iż wójtostwo sztumskie, podległe zamkowi w Malborku, przyjęło herb austriacki - czarnego orła. Około 1377 roku zatrzymał się bowiem w zamku austriacki książę Albrecht, który podjął był krucjatę przeciwko Prusom; Europejczycy wciąż jeszcze widzieli potrzebę niesienia wiary chrześcijańskiej nadbałtyckim ludom. Tenże Albrecht wraz ze stu towarzyszymi został w Sztumie pasowany na rycerza (*Vir generosus fortalicium Stumis dono et nobilitatis suae clenodia ordini ibidem relinquendo patriam repeciit*). Skutkiem tego wydarzenia był także udział austriackich zacieężnych w bitwie pod Grunwaldem 1410 r. pod banderą sztumską, którą dzierżył nadkomtur.

Po wielkiej bitwie grunwaldzkiej po raz pierwszy w swych dziejach Sztum znalazł się w rękach polskich. Stąd Władysław Jagiełło wystosował 25 lipca do załogi Malborka wezwanie do poddania się. W zamku sztumskim król osadził załogę pod wodzą Andrzeja Brochockiego, która sprawiła się bardzo dzielnie, trzymając placówkę (według świadectwa Jana Długosza) przez 6 tygodni. Gdy Jagiełło zaniechał oblężenia Malborka, Brochocki otrzymał odeń zezwolenie na poddanie Sztumu, zaś Krzyżacy w uznaniu męstwa zgodzili się na wyjście żołnierzy w pełnym rynsztunku.

Osada przy zamku formalnie nie była jeszcze miastem. Stało się to dopiero w 1416 roku, gdy wielki mistrz Michał Kuschmeister v. Sternberg nadał przywilej na dziedziczne sołectwo Ambrożemu Gerhardowi v. Schoenenburg, wraz z sądownictwem „małym i dużym” oraz trzecią częścią kar sądowych, zaś mieszczanom ogrody, prawo rybitwy w jeziorach Zajezierskim i Barlewickim oraz inne uprawnienia.

Z wydarzeń związanych z miastem, oprócz burzliwych losów w wojnie 13-letniej, odnotowania godne są wydarzenia z pierwszej wojny szwedzkiej (1626-1629); zamek i miasto przechodziły z rąk do rąk, zaś król Gustaw Adolf dwakroć w lesie sztumskim został pojmany przez żołnierzy Koniecpolskiego, lecz nie rozpoznano go i umknął. W 1635 roku w Sztumskiej Wsi opodał miasta został zawarty rozejm polsko-szwedzki na 28 lat. W czasach I Rzeczypospolitej Sztum był siedzibą starostwa niegrodowego, do którego należało 18 wsi.

Stara nazwa Alyem po raz ostatni występuje w pieczęci wójta krzyżackiego w 1388 roku. Austriacki herb wójtostwa także wkrótce został zaniechany. Natomiast nazwa miasta, pochodząca od pruskiego imienia Stumo, trwa i przechowuje w sobie najdawniejsze dzieje miasta. Nieprzerwanie po dzień dzisiejszy utrzymuje się także herb przyjęty w XV wieku, niezależnie od tego w czym władaniu znajdował się Sztum. Patronką w herbie uwiecznioną jest Madonna z Dzieciątkiem.

K.O.

W NASTĘPNYCH
NUMERACH: **SŁUPSKIE REMINISCENCJE • KOCIEWSKA SAGA**
KASZUBSKI W KOŚCIELE